

NORMAN FINKELSTEIN O NACISKACH NA POLSKĘ:

Sprzeciw wobec Izraela może się skończyć karą ze strony USA



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 24/276 11-17 CZERWCA 2018
CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Marek Suski: Proszę być spokojnym, prezes czuwa

**SZUKAJ
WYDANIA
Z FILMEM
„ZERWANY KŁOS”**



**Krzysztof Masłoń
o biografii Herberta**

Co zrobić z Rosją

Mocny tekst Rafała A. Ziemkiewicza



Jerzy Dudek

Edycja limitowana - Jerzy Dudek

Zegarek sygnowany przez ambasadora CITIZEN w Polsce - Jerzego Dudka, który poleca technologie jutra:

Eco-Drive generuje energię z dowolnego źródła światła: naturalnego lub sztucznego, jasnego lub przyciemnionego i zasila nią mechanizm.

Radio Controlled automatycznie koryguje dokładność wskazania czasu zgodnie z wzorcem z nadajników radiowych.

Seria 500 numerowanych zegarków - wyłącznie w Polsce!


Eco-Drive.
Radio-Controlled
Watch

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Na co mogą sobie pozwolić sędziowie?

Wygłąda na to, że na wszystko. Tak przynajmniej należy interpretować wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, zgodnie z którym związki homoseksualne stały się równe małżeństwom.

Pozornie orzeczenie dotyczyło sprawy nie najważniejszej, a mianowicie zasad rozumienia swobody przepływu osób w UE. Trybunał rozstrzygał spór między rumuńskim Trybunałem Konstytucyjnym a parą panów, z których jeden był Amerykaninem i formalnie „mężem” drugiego. Chodziło o to, czy ich relacja nakłada na Rumunię obowiązek przyjęcia na swoje terytorium Amerykanina w taki sam sposób, jakby był małżonką Rumuna. Sędziowie Trybunału ogłosili, że „pojęcie »współmałżonka« w rozumieniu przepisów prawa Unii dotyczących swobody przemieszczania się obywateli Unii i członków ich rodziny obejmuje współmałżonków tej samej płci. Chociaż państwa członkowskie mają prawo decydowania o tym, czy chcą dopuścić możliwość zawierania małżeństw homoseksualnych, to nie mogą naruszać swobody pobytu obywatela Unii na swoim terytorium, odmawiając wydania jego mającemu tę samą płć współmałżonkowi, będącemu obywatelem państwa nienależącego do Unii, pochodnego prawa

pobytu na swoim terytorium”. Wiem, tekst jest nieco zawikłany i nie wszyscy zdają sobie sprawę, przynajmniej po pobieżnym przeczytaniu, z jego wagi.

Wistocie jednak oznacza on prawdziwy przewrót, rewolucję. Może trochę mniej dramatycznie: pierwszy krok w stronę rewolucji. I, jak łatwo zauważyć, jest wewnętrznie sprzeczny. Z jednej strony bowiem sędziowie stwierdzają, że „państwa członkowskie mają prawo decydowania, czy chcą dopuścić możliwość zawierania małżeństw homoseksualnych”, z drugiej mówią, że „nie mogą [państwa członkowskie] naruszać swobody pobytu obywatela Unii na swoim terytorium, odmawiając wydania jego mającemu tę samą płć współmałżonkowi”. To się nazywa absurd, za który czcigodni sędziowie powinni dostać dwóję z logiki na pierwszym roku prawa.

Przecież jeśli państwa „mają prawo decydowania, czy chcą dopuścić możliwość zawierania małżeństw homoseksualnych”, to mają prawo określić, czy dany obywatel jest, czy nie jest współmałżonkiem drugiego! Zgodnie z logiką sędziów, jeśli na terenie UE pojawi się muzułmanin z czterema żonami lub całym haremem, to należałoby uznać, że wszystkie jego panie są jego „współmałżonkami”, bo takie zasady obowiązują

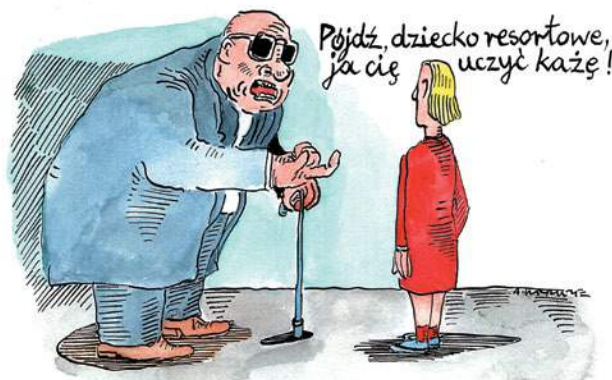
w państwie, z którego przybywa! Niedorzeczność rozumowania sędziów polega na tym, że ich zdaniem „bycie współmałżonkiem” jest czymś niezależnym od prawa danego państwa! O tym, kto jest, a kto nie jest współmałżonkiem, decydują – wynika z tego – te państwa, które tzw. małżeństwa homoseksualne uznały. To ich decyzja ma być respektowana przez te narody, które takie prawo odrzucają. Po prostu w głowie się to nie mieści. To tak, jakby powiedzieć, że państwo ma prawo decydować o czasie wolnym na swoim terytorium, ale nie może uniemożliwić swobodnego otwierania sklepów obywatelowi innego państwa tylko dlatego, że w jego kraju obowiązuje inne prawo!

Określenie „współmałżonek”, zdaniem sędziów, może odnosić się do osób tej samej płci. To tak, jakby ktoś ogłosił, że kolor czerwony odnosi się do barwy czarnej albo że ssak jest owadem, albo że zwierzę jest osobą ludzką. W dzisiejszej kulturze, w której wszystko jest arbitralne, ta decyzja nie zaskakuje. Skoro można uznawać, tak jak uczynili to choćby sędziowie Sądu Najwyższego w USA w 1972 r., że nawet dziewięćmiesięczny człowiek nie jest człowiekiem, to również pan może być traktowany jak pani, a pani jak pan.

W oczywisty sposób sędziowie podważyli zasadę suwerenności poszczególnych państw Unii i naruszyli ich prawo do samookreślenia. Władza sądownicza już dawno zmieniła swój charakter. Mimo że sędziowie nie pochodzą z wyborów i nie są poddani demokratycznym procedurom, przypisują sobie coraz częściej przywilej kreowania prawa wiążącego całe społeczeństwo. Udając, że interpretują przepisy, tworzą je od nowa. A niekiedy wręcz, tak jak w tym przypadku, dokonują przewrotu.

Nie na to się z Unią umawialiśmy. Nie tak to miało być. ©©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KWADRATURA ROSJI I NIEMIEC
Jak powinna wyglądać polityka Polski wobec sąsiadów?

20 JACEK PRZYBYLSKI
SPORTOWA WOJNA ŚWIATOWA

KRAJ

24 ROZMOWA Z MARKIEM SUSKIM
DELFINÓW SIĘ NIE BOIMY
W Brukseli już byłem i mnie tam nie ciągnie

27 PIOTR GOCIEK
WSZYSTKIE LĘKI PIS

30 KAMIŁA BARANOWSKA
POOBIJANA MINISTER

32 TADEUSZ PŁUŻAŃSKI
BAUMAN ZDEKOMUNIZOWANY

36 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŚLEPA TEMIDA

38 ŁUKASZ WARZECHA
NOWE ACTA?

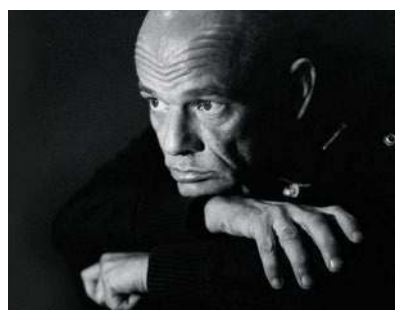
40 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM SELLINEM
TRZEBA PRZYPOMINAĆ

42 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
JAK ZAROBIĆ NA LIBACJI

KULTURA

44 KRZYSZTOF MASŁOŃ
KLUCZ DO HERBERTA
„Herbert. Biografia” Andrzeja Franaszka

48 GRZEGORZ BRZOSZOWICZ
ODESZŁA LEGENDA



NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 ROZMOWA
Z PROF. NORMANEN G. FINKELSTEINEM
TRUMP ICH NIE POPRZE
Żydowskie organizacje i Izrael to nie to samo

60 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DRUCIARZE EUROPY

62 PIOTR SEMKA
WILDSTEINOWI WCIAŻ SIĘ CHCE

HISTORIA

66 JACEK KOMUDA
HARCERZE KRÓLA ZYGMUNTA
Rycerskie sparingi

70 SEBASTIAN REŃCA
UTOPIONY DZIAŁACZ SOLIDARNOŚCI

ŚWIAT

72 OLIVIER BAULT
CZERWONY ZMIERZCH
Dokąd zmierza Hiszpania?

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
TRZECIA ŚWIĄTYNIA

76 JOANNA BOJAŃCZYK
GRUNT TO NAZWISKO
Rodzina przepustką do kariery

EKONOMIA

80 TOMASZ WRÓBLEWSKI
GLOBALNA WOJNA CELNA
Amerykanie kontra reszta

84 STEFAN SEKÓWSKI
FISKALIZM À LA PIS

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu zamieszczamy list Pani Anny Lebet-Minakowskiej, kustosz Muzeum XX Czarotoryskich i odpowiedź redaktora Marcina Makowskiego, autora artykułu o wykupie przez Polskę kolekcji Czarotoryskich.

„Opozycja chce »krwi«”

Szanowny Panie Redaktorze, uprzejmie proszę o sprostowanie moich słów, które ukazały się w tygodniku „Do Rzeczy” (20/272 z 14–20 maja 2018 r.). Chodzi o artykuł „Opozycja chce »krwi«”.

Dziennikarz tygodnika (chyba sam Marcin Makowski, ale nie pamiętam dokładnie) zadzwonił do mnie ok. 3 maja. W czasie rozmowy telefonicznej przedstawiłam mu trochę powszechnie znanych faktów na temat Muzeum XX Czarotoryskich. Opowiadałam o tym, co w tych zbiorach się znajduje i dlaczego są takie cenne. Tłumaczyłam, dlaczego uważam, że zakup ich był dobrą decyzją.

W rozmowie telefonicznej pojawiło się też pytanie o sposobie przechowywania tych zbiorów przed ich zakupem. Nie

kustosz. – Musieliśmy je nakrywać kocami, aby promienie UV w pierwszej kolejności degradowały ich włókna, a nie drogocennych tkanin. I te koce po kilku miesiącach rozpadały się w pył”.

Nie mogłam tego powiedzieć, choćby dlatego, że w żadnym magazynie nigdy niczego nie przykrywaliśmy żadnymi kocami. W magazynie zaś, w którym włączona byłaby lampa ultrafioletowa, żaden kustosz nie pozwoliłby na przechowywanie tkanin ani żadnych zabytków, które byłyby wrażliwe na promieniowanie UV i mogłyby zostać zniszczone, świadczyłoby to o braku profesjonalizmu. Nie wiem, czy ta rozmowa była nagrywana, w każdym razie z pewnością nie dostałam tego tekstu do autoryzacji, a nawet nie zostałam poinformowana, czy i które moje słowa zostaną wykorzystane. O tym, że tak się stało, dowiedziałam się dopiero, gdy gazeta była dostępna w kioskach.

Ponieważ taki artykuł narusza moje imię i podważa moje kompetencje, uprzejmie proszę o zamieszczenie stosownego sprostowania.

**Anna Lebet-Minakowska,
Muzeum XX Czarotoryskich, kustosz**

Od autora:

Nie jest prawdą, co sugeruje Pani Anna Lebet-Minakowska, że podczas naszej rozmowy nie padły słowa o przykrywaniu rzeczy kocami „w żadnym magazynie”. Mam pełne nagranie rozmowy, w którym Pani kustosz wprost opowiada o meblach i lampach przykrywanych kocami, które następnie (koce) niszczą się po jakimś czasie od promieniowania. Nigdzie w artykule ani nie sugerowałam, że ucierpiały w związku z tym zbiory kolekcji, ani nie sugerowałam braku profesjonalizmu. Pani Anna Lebet-Minakowska w przeciwieństwie do wszystkich innych rozmówców, których wypowiedzi autoryzowałam, nie prosiła mnie o weryfikację wykorzystanych do artykułu cytatów. Jak sama zaznacza, nie pamięta, o czym dokładnie rozmawialiśmy. Jak sądzę, doszło do zwykłego nieporozumienia. Jestem przekonany, że nie wynikło ono ze złej woli żadnej ze stron. Chciałbym również nadmienić, że pani kustosz – co zresztą zostało zaznaczone w tekście – z poświęceniem dbała o stan kolekcji Czarotoryskich, dlatego ostatnią rzeczą, którą mógłbym mieć na celu, jest podważanie jej kompetencji.

Marcin Makowski



pamiętam dokładnie, co powiedziałam, zwłaszcza że święto spędzałam poza domem i nasza rozmowa kilkakrotnie się przerywała w wyniku braku zasięgu. Nie mogłam jednak powiedzieć słów, które zostały włożone w moje usta, ponieważ są zupełnie nieprawdziwe.

Chodzi o wypowiedź zamieszczoną na str. 17:

„Wspomina [...] Anna Lebet-Minakowska [...]. Lampa ultrafioletowa działała przez całą dobę, aby wytruć grzyby i drobnoustroje, ale nie bez szkód dla samej struktury przedmiotów – mówi

TYGODNIK LISKIEGO
**DO
RZECZY**

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociel**, **Waldemar Łysiak**,
Krzysztof Masłoń, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiak**

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cenciekiewicz**, **Wiesław Chelminiak**, **Dominika**
Ćosić (Bruksela), **Krzysztof Czabański**, **Roman Graczyk**, **Piotr Cursztyn**,
Katarzyna, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk** (Rzym),
Jakub Kowalski, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchlewska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Anna Piotrowska, **Jan Pospieszalski**, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**,
Krzysztof Rybiński, **Stefan Sójkowski**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**, **Tomasz**
P. Terlikowski, **Błażej Torajski**, **Matthew Tyrmard**, **Paweł Wawrzynski**, **Szewach**
Weiss, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**, **Tomasz Wróblewski**,
Wojciech Wybranowski, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**,
Damian Cygan, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress), **Mateusz**
Maranowski (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Marcin Berłowski**,
Jacek Nadarowski, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoodręka: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Mazena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**,
Mirosław Owczarek

Okładka: **East News**, **Fotolia**, **montaż: JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG
POLSKIE MEDIA SA

spółka
notowana na
GPW

STAN ROZDZIAŁU
POLSKA
WYDAWCA

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż):

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z filmem 296430

Nakład 94 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adaptacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
z zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tamtej Europy już nie ma

Tak, z tych głosów można już stworzyć chór. Unia w dawnym kształcie już nie istnieje. Spróbujmy choćby pobieżnie wyliczyć sprzeczności interesów. Pierwszy podział narzuca projekt budżetu unijnego autorstwa Komisji Europejskiej. Południe, czyli „strefa oliwki” plus Bułgaria i Rumunia, ma dostać więcej środków kosztem „nowej” Europy Północno-Wschodniej. Po kieszeni dostaną Wyszehrad i państwa bałtyckie.

Trzeszczy też alians Berlina z Paryżem. Gospodarz Pałacu Elizejskiego nadrabia słabą pozycję ekonomiczną Paryża wobec Berlina napoleońskimi pozami i osobistą ambicją. Coraz natarczywiej żąda wzmocnienia ekonomii Południa kredytami ze wspólnego budżetu strefy euro. Niemcy kręcą nosem. Czują, że odbędzie się to kosztem ich pieniędzy i w efekcie wzmocni tylko popularność Alternative für Deutschland.

Europę dzieli też stosunek do USA. Zerwanie przez Amerykę umowy atomowej z Iranem uznano za lekceważenie Europy.

Zaczyna się już wojna handlowa Unii z USA. Na złość Trumpowi Berlin chce zbliżenia z Chinami i wraca do idei resetu z Rosją. To musi niepokoić państwa bałtyckie i Polskę – kraje przekonane, że w razie nawrotu imperialnych marzeń Kremla mogą liczyć tylko na obecność US Army na ich ziemiach.

Tyle że w zamian musimy zapomnieć o karaniu za oczernianie Polski przy opisie Holokaustu, bo USA stoją w sprawie nowelizacji ustawy o IPN twardo po stronie Izraela. A z obozu obecnej administracji USA słychać głosy, takie jak np. gen. Bena Hodgesa, niechętnie idei stałych baz. To nie powód do rozdzierania szat, że rok temu daliśmy się uwieść na pl. Krasińskich pięknym słowom Trumpa, ale wskazówka, że w Waszyngtonie też istnieje lobby przestrzegające przed „prowokowaniem Rosjan”. Obrazić się na Amerykę? Tyle że nic lepszego niż wojska amerykańskie na realną obronę przed Putinem nie mamy. A pomysły wiązania się z Rosją, skoro Waszyngton ulega Izraelowi, to droga ku wasalizacji.

Kolejna linia podziału to Berlin i Paryż plus „zdrowy, proeuropejski trzon” kontra wyklęta grupa krajów rządzonych przez „populistów” – Polskę, Węgry, Austrię, Włochy. Tyle że Polska jest w tym klubie pod jednym względem wyobcowana – nie ufa Putinowi. A nowi liderzy Włoch Rosję uwielbiają. Kanclerz Kurz, który gości właśnie Putina w Wiedniu, i premier Orbán chcą podłączać się pod rosyjski system energetyczny.

Odeszła w przeszłość stara Europa, na tle której Placówka pozowała na mistrza dyplomacji. Nie można trzymać się głównego nurtu, bo już go nie ma.

Można lawirować, budować różne sojusze z różnymi partnerami, ale nie ma mądrego na to, jak załatać te wszystkie rysy i pęknięcia. I tak samo zdezorientowane są Niemcy jak Francuzi, Estończycy, Czesi czy Holendrzy. Nie my wywołaliśmy ten chaos i nie my mamy największy wpływ na jego choćby częściowe załagodzenie. Smutne, ale prawdziwe. ©©

AUSTRIA ZAMYKA MECZETY

Co najmniej siedem meczetów finansowanych przez zagraniczne rządy zostanie zamkniętych, a ok. 60 z 260 imamów będzie wydalonych z Austrii. Taką decyzję ogłosiły w zeszłym tygodniu władze w Wiedniu po tym, jak na jaw wyszło, że przynajmniej niektóre meczety są mocno powiązane z tureckimi nacjonalistami. – W naszym kraju nie ma miejsca na społeczeństwa równoległe, polityczny islam i radykalizujące tendencje – ogłosił kanclerz Sebastian Kurz. Decyzja austriackich władz oburzyła kancelarię prezydenta Turcji, która zarzuciła Austrii „islamofobię, rasizm i dyskryminację”. (jap) ©©



FOT. DOMINIC EBBICHLE/REUTERS/FORUM

Kierunek
ORLEN



Złap Waszą piłkę!

**Tankuj, kupuj i odbierz
w atrakcyjnej cenie!***

Zbierz 15 naklejek i złap piłkę już za 10 złotych
lub 4900 punktów VITAY.

Kierunek jest jeden...



ORLEN

*Sprzedaż promocyjna do 05.08.2018 r. lub do wyczerpania zapasów. Szczegóły promocji w regulaminie na: dlakierowcow.orken.pl.
eprasa.pl a87b2c4414



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Nowy wiktorianizm

Konkurs Miss Ameryki wymyślono sto lat temu jako atrakcję dla turystów w nadmorskim kurorcie. Właśnie dlatego nieodłączną częścią konkursu, który szybko doczekał się naśladownictwa na całym świecie, był występ kandydatek w kostiumach kąpielowych, z roku na rok coraz bardziej skąpych.

Kiedy wolno, to się nie chce. Chce się wtedy, kiedy jest zakazane i łamanie zakazu dostarcza dreszczyku

Był. Nie ma takiej tradycji, która zostałaby uszanowana przez heroldów politycznej poprawności – komitet organizacyjny Miss Ameryki ogłosił właśnie, że kostiumów kąpielowych od tego roku już nie będzie, albowiem pokazywanie

kobiet w bikini uprzedmiotawia je, poniża i w ogóle kieruje nadmiernie uwagę na walory fizyczne uczestniczek, podczas gdy ideą konkursu jest – wpadłbyś na to, drogi czytelniku? – pokazanie ciekawych kobiecych osobowości.

Oto kolejny z wielu znaków, że doszliśmy do kolejnego skrzyżowania wariackiej sinusoidy, po której miota się cywilizacja zachodnia w sprawach seksu, raz popadając w kompletne rozwyrzenie, a raz w histeryczną pruderię. Wydaje się, że symbolicznym końcem epoki rozwyrzenia była śmierć Hugh Hefnera i mające miejsce dosłownie kilka tygodni później oskarżenia o świński tryb życia Harveya Weinsteina. To, co w latach młodości pokolenia było rewolucją seksualną, wielką cywilizacyjną zdobyczą i zerwaniem z chrześcijańskim zakłamaniem, kompleksami i obciachem – padło ofiarą feminizmu, który samo

wyzwoliło, i nagle okazało się molestowaniem, przemocą seksualną i ogólnie złem. Kolejna rewolucja pożarła swoje dzieci, oblesnie przy tym ciamkając.

Mogą nas śmieszyć starzejące się gwiazdy, które po kilkudziesięciu latach odkrywają nagle, że to, co zrobiły, żeby zostać gwiazdami, było gwałtem – ale samo zjawisko jest oczywiste. Kiedy wolno, to się nie chce. Chce się wtedy, kiedy jest zakazane i łamanie zakazu dostarcza dreszczyku. Z wierzchu epoka wiktoriańska była arcy-moralna, seks po prostu nie istniał – ale zdaniem historyków tyłu domów publicznych i prostytutek co wtedy nie było w żadnej innej epoce. A to, czy mieszczą się one w ciemnych portowych zaułkach, czy w sieci komputerowej, nie stanowi w końcu istotnej różnicy. Podobnie jak to, czy panująca bigoteria czerpie z protestanckiego purytyzmu, czy z dewocji feministycznej. ©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Fakty z alkowy

Warszawa, wieczór, kilka miesięcy po wygranej PiS, kawiarenka niedaleko ul. Foksal. Wśród gości, w otoczeniu kilku dziewcząt, bryluje konserwatywny poseł PiS. Właśnie stał się bohaterem seksafery po tym, jak „Fakt” ujawnił, że miał romans z eromodelką.

W zasadzie afera powinna skończyć się błyskawicznie: złożeniem przez kochliwego posła rezygnacji z funkcji w Sejmie i publicznymi przeprosinami. W całej sprawie nie ma ani dziewczęco niewinnej ofiary poselskiej chuci, ani prowokacji służb specjalnych. Jest modelka, która zapewne chciała wypłynąć

przy dobrej zmianie, tyle że pechowo dla siebie bliższe relacje nawiązała z parlamentarzystą wpływów w obozie rządzącym niemającym żadnych, ale przekonująco potrafiącym o nich opowiadać. I jest poseł, który zapominał nie tylko o deklarowanych przez siebie wartościach, lecz także że kobieta, czując się oszukana, potrafi się strasznie mścić. Na przykład idąc na skargę do bliskiego opozycji brukowca.

Niestety, parlamentarzyście zabrakło „cojones”, by przeprosić i zejść ze sceny. Okazało się też, że dla wielu mediów jest to świetna okazja, by w seksskandalu spróbować – dość groteskowo –

utaplać prezydenta Andrzeja Dudę. A wszystko to dzięki temu, że owa panienka próbująca nawiązać kontakty, z kim się da, w obozie idącym wówczas po władzę strzeliła sobie z nim kilka fotek i wymieniła parę zdań. Swoją drogą przypomina to nieładne zagrania z wyborów 2015 r., gdy przeciwnicy Dudy „metodą szeptaną” rozpowszechniali nieprawdziwe plotki, jakoby był on ojcem nieślubnego dziecka.

W efekcie afera i jej kulisy złe świadczą zarówno o kregosłupie moralnym niemoralnego posła, jak i bliskich opozycji mediach wyznających, jak się wydaje, zasadę, że cel uświęca środki. ©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Świadome psucie państwa

Zeby była jasność: ja będę głosował za tą ustawą w imię lojalności wobec klubu, wobec tego, że jestem częścią tego kontraktu Prawa i Sprawiedliwości, ale uważam, że my rzeczywiście, głosując za, najprawdopodobniej przyczynimy się do psucia państwa” – oznajmił senator Jan Żaryn podczas dyskusji

Czy lojalność wobec PiS jest ważniejsza niż lojalność wobec państwa i sumienia?

w izbie wyższej nad ustawą o obniżeniu uposażeń posłów i senatorów.

Radko zdarza się, żeby tak wyraźnie objawiła się tragiczna jakość polskiej polityki. Oto szanowany profesor, którego można było uznawać za państwowca, całkiem otwarcie przyznaje, że pomysł partii, z listy której został wybrany – zapewne pomysł samego prezesa tejże – jest dla państwa najprawdopodobniej szkodliwy. A mimo to, wbrew własnej ocenie, oznajmia, że zgłasza za. W imię lojalności wobec klubu. I zapewne nie jest w takim postępowaniu odosobniony. Klub PiS w dużej części składa się z tych, którzy się nie cieszą, ale głosują za kolejnymi fatalnymi rozwiązaniami.

Szanuję prof. Żaryna, więc chciałbym go publicznie

spytać: Czy naprawdę lojalność wobec PiS jest ważniejsza niż lojalność wobec państwa, własnego rozeznania i – trudno, zabrzmi to górnolotnie – sumienia? Za iloma w czasie tej kadencji niemądrymi, populistycznymi pomysłami Jan Żaryn zgłaszał i jeszcze zgłasza, wiedząc, że takie właśnie są? Czy to nie zdrada własnych wyborców?

Obniesienie wynagrodzeń posłom i senatorom, a także samorządowcom, to na razie najbardziej populistyczne posunięcie PiS – choć niejedynie takie. Populizm oznacza tutaj dokładnie to, co powiedział jasno prof. Żaryn: opowiedzenie się za jakimś rozwiązaniem przy pełnej świadomości, że jest ono szkodliwe dla państwa, ale korzystne dla partii. Krótko mówiąc – robimy dobrze partii kosztem państwa.

Prawo i Sprawiedliwość miało Polskę naprawiać po fatalnych rządach PO. Tymczasem utknęło w paradoksie: żeby móc kraj naprawiać, trzeba sobie najpierw zapewnić władzę, a żeby ją sobie zapewnić, trzeba najpierw Polskę jeszcze bardziej popsuć, w wielu miejscach i aspektach, bo złe rozwiązania części wyborców się podobają. W ostatecznym rozrachunku, gdy władzę przyjdzie oddać, może okazać się, że bilans jest ujemny. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Polskie Watergate

Od prawie dwóch tygodni polska polityka żyje romansem Stanisława „Młota Na Lewaków” Pięty. Ten, zamiast milczeć, wysnuł teorię, że wszystko, co złe, spotkało go za walkę z rosyjsko-niemieckim układem gazowym. „Wyobrażam sobie, ilu polskich żonatych chłopów myśli teraz o narażeniu się interesom niemieckiego Siemensu na Krymie...” – filozoficznie gdybał doc. Jerzy Gątarz.

„Tyle fajnych teorii spiskowych. Tyle niemiecko-agenturalnych tropów. I wszystko jak krew w piach. Prezes nie uwierzył, a ich twórcy zostali jak Himilbach z angielskim” – zauważył z kolei Konrad Piasecki, ale chyba nawet on nie spodziewał się celnej kontry z ust kolegi z „Rzeczpospolitej”.

„Zawieszenie posła Pięty to zły ruch. Pokazuje, że byle prowokacja obcych służb działających z niewiadomej inspiracji doprowadzić może najuczciwszą nawet osobę do medialnego linczu ze strony dawnego establishmentu przy aprobacie władz PiS” – skomentował Michał Szuldrzyński.

„Michał, brak emotikonki w obecnych czasach to za duże ryzyko” – popsuł jednak zabawę Michał Wójcik z „Faktu”, który jako pierwszy opublikował wypowiedzi – używając terminologii Watergate – Głębokiego Gardła. Ostatnie zdanie musiało jednak należeć do samej zainteresowanej. „Nie zaszczujesz mnie, Pięto. Dowody zabezpieczę notarialnie. Spisałam kilka oświadczeń. Publicznie oznajmiam, że nie zamierzam popełnić samobójstwa. Nie wycofuję swoich zeznań. Nie boję się ciebie. Jestem gotowa na badanie na wariografie” – rzuciła desperacko Izabela Pek, ale po kilkunastu minutach straciła animusz i tweeta wykasowała. Ciekawe dlaczego?

W podsumowaniu nie może zabraknąć jeszcze jednej prawdziwej afery. Prezydenta tańczącego na chrześcijańskim zlocie młodzieży. „Tym, który hejtują prezydenta Andrzeja Dudę tańczącego w Lednicy, przypomnę, że prezydent Bronisław Komorowski też tam pisał na scenie” – ruszyła z obroną Dominika Wielowiejska.

„Jak się patrzy na pozory, to można tak oceniać PBK strażnika Konstytucji, który tu dawał wyraz, że jest prezydentem wszystkich, i Dudę, gwalciciela Konstytucji, który tu potwierdza, że jest prezydentem wyselekcjonowanych” – sprowadził ją jednak szybko na ziemię Waldemar Kuczyński. Eh, przekleśi symetriści z „Wyborczej”. ©©



FOT. TAVEL GORDANA

JAJKO MĄDRZEJSZE OD KURY

Córka Jana Englerta i Beaty Ścibakówny, 18-letnia Helena, postanowiła iść w ślady swoich rodziców i też zostać aktorką. Sęk w tym, że nie za bardzo chce słuchać rad swoich bardziej doświadczonych w tym zawodzie rodziców. A już zwłaszcza ojca. „Dorastająca panienka miewa kłopoty z porozumiewaniem się z kimkolwiek, nie tylko ze mną. Teraz jest ten gorszy okres w jej życiu” – wyznał w jednym z wywiadów.

Najgorzej, że ojciec z córką grają razem w serialu „Diagnoza” w TVN. Helena jest zła, bo wszyscy uważają, że dostała tę rolę po znajomości. Dlatego ostentacyjnie nie chce słuchać żadnych rad ojca na planie. „Nawet nie przegadywaaliśmy tekstu, bo nie chciała mnie słuchać” – żali się Englert w rozmowie z „Faktem”. Reszta ekipy za to chętnie z rad doświadczonego aktora korzystała. „Pozostali byli otwarci na moje sugestie. Nawet wprowadzali zmiany pod wpływem naszych rozmów” – mówi Englert, dodając, że córkę w sumie nawet rozumie. „Nie mam jej tego za złe. Moja córka jest ambitna i nawet do głowy jej nie przychodzi, że mogę ją reżyserować czy pouczać. Rozumiem to i cenię” – dodaje. A co, jeśli inni nie docenią talentu ani kunsztu młodej aktorki? Wtedy będzie można zrzucić wszystko na ojca!

ŻADNA TAM ZWYKŁA GOLIZNA

Piosenkarka Cleo rozpoczęła właśnie promocję swojego nowego albumu. Płytkę promując singiel i teledysk. W teledysku widzimy Cleo w całej okazałości, jak ją pan Bóg stworzył, czyli nagą. Pod wodospadem. Cleo tłumaczy, że rozbierane sceny były konieczne ze względu na scenariusz i że nie wstydziła się przy ich kręceniu. – Na planie byli sami moi, ludzie, z którymi pracuję od lat. Nie krępowałam się – opowiada w „Fakcie”. – Temat tego teledysku jest specyficzny. Chodzi o pierwsze dni pierwszej



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

miłości pierwszych ludzi. Wtedy nie istniał wstyd, który jest wymysłem późniejszych czasów. Dopiero po spróbowaniu zakazanego owocu Adam i Ewa zrozumieli, że są nadszy – tłumaczy. A my myśleliśmy, że golizna ma po prostu pomóc sprzedać płytę, a tu proszę, jaki wykład z protologii!

O ZGROZO!

I to jest dopiero news! Organizatorzy amerykańskiego konkursu piękności Miss America ogłosili rewolucję, jeśli chodzi o tego typu imprezy. Uznali, że odtąd nie będą oceniać kandydatek do tytułu Miss „na podstawie ich prezencji”. Kandydatki nie będą już prezentować się w strojach kąpielowych ani nawet w sukniach wieczorowych, bo to ma urągać ich godności. „Nie będziemy już oceniać kandydatek na podstawie ich wyglądu fizycznego i prezencji. To ogromna zmiana” – tłumaczy Gretchen Carlson, była Miss America, obecnie jurorka i szefowa konkursu. „Miss America będzie konkursem, a nie widowiskiem. Nie jesteśmy już »wyborami najpiękniejszej«, ale prawdziwym konkursem. Wiele młodych kobiet mówiło nam, że chętnie wzięłyby udział w wydarzeniu, ale nie godzą się na chodzenie w szpilkach i kostiumie kąpielowym” – dodaje Gretchen. Jak więc teraz będzie wyglądać konkurs Miss America? Wybory miss mają być otwarte dla kobiet o różnych kształtach, a nie tylko tych idealnych. I będzie w nim chodziło o „pokazanie świata, jak bogatą ma się duszę”. Wynika z tego, że kandydatki teraz będą głównie mówić, zamiast wyglądać. Zgroza dla świata!

MISJA MAJDANIĄTKO

Portal Pudelek odkrył, że z okazji swoich 40. urodzin Małgorzata Rozenek-Majdan zabrała męża do kliniki in vitro. A to oznacza... No, wiadomo co. Jeśli dobrze pójdzie, to będzie Majdaniątko! Swoich dwóch synów z poprzedniego małżeństwa celebrytka też ma z zapłodnienia in vitro, więc teraz od razu postanowiła działać w tym kierunku. „Gosia ma dwóch synów, których bardzo kocha. Radek ma z nimi doskonały kontakt, więc nic dziwnego, że coraz poważniej myślą o własnym potomku” – zdradza portalowi osoba z otoczenia celebrytów. „Za wcześniej, by mówić o konkretach. Małgosia lubi mocno stąpać po ziemi i planuje tak ważne rzeczy powoli i z rozważą. Są już po pierwszej wizycie i badaniach. Wszystko zmierza w jasnym kierunku” – dodaje. Za wcześniej, by mówić o konkretach, i dlatego sprawa wyciekła na Pudelku. Aha, logiczne. My traktujemy tę informację jak pilot nowego serialu. Czyli najlepsze przed nami! ©©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, chcieliśmy się jeszcze wypowiedzieć w sprawie afery lednickiej. Wiecie, chodzi o tę kompromitację Andrzeja Dudy, który tańczył tam z waginoosobami podczas katofashystoffskiego spędu młodzieży, która zamiast normalnie pójść w weekend na piwko ze sprajtem, pojechała uprawiać churching w plenerze.

Otóż chyba nigdy się katoprawica nie nauczy, iż prezydentowi wypadłoby brać udział w marszach równości, ale zdecydowanie nie wypada brać udziału w tego typu eventach, które godzą w podstawy świeckości państwa. Skąd mamy teraz uzyskać gwarancję, iż prezydent nie zechce nam narobić siary na święcie i zatańczyć na szczycie NATO? Albo że pokaże uniesiony kciuk, albo uśmiechnie się w nieodpowiednim momencie? Fatalnie się czujemy z tą świadomością i jest nam strasznie wstyd :(

Wygląda też na to, że musimy się przyłączyć do dyskusji nad Centralnym Portem Komunikacyjnym. BTW to dziwne, że port ma być nie nad morzem. Ale czego to ten kraj nie wymyśli?

W każdym razie zasmuca nas, iż w projekcie nie ma mowy o ścieżkach rowerowych, które prowadziłyby do CPK. Nie dość, iż na rowerze miejskim trudno jest dojechać ze Szczecina do Rzeszowa, iż nie ma do tego odpowiedniej infrastruktury, a poza tym to daleko, to jeszcze największa inwestycja drogowa w tym kraju wyklucza osoborowerzystów.

A przecież nie jest trudno wyobrazić sobie sytuację, kiedy ktoś chce dojechać na rowerze na samolot albo po prostu chce mieć nową ścieżkę rowerową.

Podobno Sejm uchwalił ustawę, według której w miastach w tym kraju zostanie ustano-

wiona strefa „czystego transportu”. Czy ktoś ma jeszcze wątpliwości co do odradzających się w tym kraju nazizmu i rasizmu? Przeciesh „czystość transportu” to pojęcie, które boleśnie przywołuje skojarzenia z „czystością rasy”. Skąd mamy wiedzieć, że pod przykrywką stref „czystego transportu” nie będzie dochodzić do prześladowań na tle narodowościowym, etnicznym lub orientacji seksualnej?

Czy ktoś nam zagwarantuje, że do strefy „czystego transportu” będzie mogła wjechać osoba pigmentalnie uposażona na holenderce? Czy raczej będzie ona dostępna jedynie dla wąsatych januszów w polonezach, zasilanych mieszkanką taniego oleju napędowego, smalcu i żużlu? I co dalej? Naklejki na rowery dla nieprawdziwych Polaków? Jeśli tak, to my od razu takie poprosimy, skoro i tak jesteśmy gorszego sortu, to możemy też być nieczyści transportowo. ©©

REKLAMA

PRESTIGE MJM, VECTOR MANAGEMENT I UNITED TALENT AGENCY PREZENTUJĄ

AN EVENING WITH STEVEN WILSON

12 lipca 2018
Hala Stulecia we Wrocławiu

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK

NOWY ALBUM **TO THE BONE** STEVENWILSONHQ.COM



Prestige 10 lat MJM

ANTYRADIO
cgm.pl

wprost
Multikino

PO RZECZY
empik

pap

GAZETA BANKOWA
PRESS SERVICE

Gitarzysta
STRÖER

WP
VIXON



SPECJALNY POLSKI SPOT NA MUNDIAL

Twórcy kampanii #RespectUs z Fundacji Wsparcia Rolnika „Polska Ziemia” przygotowali kolejny spot. Ten ma dodać ducha walki piłkarskiej reprezentacji Polski na mistrzostwach świata w Rosji.

Wcześniej film kampanii, w którym młody mężczyzna ucharakteryzowany na zakrwawionego więźnia przeprasza za krzywdy wyrządzone Polsce, odbił się szerokim echem. – To zainteresowanie i miłe słowa dodają nam skrzydeł i chęci do działania – mówi Marek Miśko, jeden z organizatorów akcji. – Tym razem postanowiliśmy wykorzystać cały nasz potencjał i wszystkie znajomości. W kilka dni udało nam się ściągnąć rekonstruktorów z całego kraju, którzy wystąpili w naszym spotcie. Zrobili to całkowicie społecznie. Trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie udało nam się wszystko zorganizować. Bez zaangażowania tych wszystkich ludzi byłoby to niemożliwe. Nasz przyjaciel Piotr Dublański spędził przy montażu dwuminutowego filmu cztery noce, kładł się na dwie-trzy godziny i rano szedł do pracy – opowiada.

– Każda okazja jest dobra, aby jednoczyć Polaków. Nie potrzebujemy dziś wewnętrznej rywalizacji i wzajemnego wyniszczania – mówi Szczepan Wójcik, prezes fundacji i pomysłodawca kampanii. – Mistrzostwa świata interesują wszystkich, nawet tych, którzy na co dzień nie lubią piłki nożnej. Chcemy wykorzystać tę okazję, aby zmanifestować swój patriotyzm i wesprzeć naszych zawodników przed najważniejszym od lat turniejem.

Twórcy kampanii zapowiadają, że ich produkcja będzie czymś zupełnie nowym. Internetowa premiera już w najbliższych dniach. W spotcie zobaczymy m.in. woja z czasów Mieszka I, husarza, żołnierza Legionów Polskich czy strajkującego robotnika poznańskiego Czerwca 1956 r. Główną rolę ma odgrywać legenda polskiego sportu. Kto to będzie, dowiemy się niebawem. ©



Ósma drużyna

Tuż przed mistrzostwami świata w piłce nożnej, które odbędą się w Rosji, FIFA uaktualniła swój ranking reprezentacji. Polska kadra, która jeszcze w maju była na dziesiątym miejscu, tuż przed mundialem awansowała o dwa oczka i jest obecnie ósmą drużyną świata (1183 pkt). Przeciwnicy naszej drużyny z mundialowej grupy H notowani są niżej – Kolumbia (13), Senegal (27), Japonia (61). Pierwsze w rankingu są Niemcy, a za nimi Brazylia i Belgia.

Na mistrzostwa wyjedzie 23 polskich zawodników. Selekcjoner Adam Nawałka podał ich nazwiska w ubiegłym tygodniu. Jego wybór obejmował wówczas Kamila Glikę – ale

już podczas prezentowania numerów na koszulkach było wiadomo, że prawdopodobnie obrońca zostanie w kraju. Miał ogromnego pecha i na jednym z treningów podczas gry w siatkonogę upadł tak nieszczęśliwie, że doznał poważnej kontuzji barku. Po badaniach w Polsce lekarze nie dawali szans na szybkie załatwienie problemu. Lekarz kadry przyznawał w mediach, że leczenie będzie długie i Kamil Glik raczej nie uniknie operacji. Pod koniec ubiegłego tygodnia zawodnik AS Monaco przechodził jeszcze badania w Nicei.

– Zostaje z nami w dalszym ciągu Marcin Kamiński, w sytuacji, kiedy Kamil Glik nie będzie w pełnej gotowości,



Polska kadra piłkarska na zgrupowaniu w Arłamowie
7 czerwca 2018 r. FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

świata

Marcin zajmuje jego miejsce – wyjaśniał Adam Nawałka podczas prezentowania kadry. Zgodnie z regulaminem FIFA w przypadku ciężkiej kontuzji można na 24 godziny przed pierwszym meczem zastąpić zawodnika innym.

Tuż przed piłkarskim świętem TVP zdecydowała się udostępnić w naziemnej telewizji cyfrowej program TVP Sport. Zastąpi nadawany do tej pory TVP Rozrywka. – Dla nas to jest wielkie święto i wyzwanie technologiczne. Udać mi się spełnić ważną obietnicę: wreszcie TVP Sport będzie dostępny na multipleksie – mówił prezes Telewizji Polskiej Jacek Kurski. – Wielu prezesów TVP to obiecywało, nam się udało – podkreślał.

Od 14 czerwca, czyli od początku mundialu, TVP Sport będzie nadawać wiele materiałów dotyczących rozgrywek. Od rana trwać będzie program „Prosto z mundialu” dotyczący m.in. najnowszych informacji o reprezentacji Polski, później widzowie będą mogli obejrzeć analizy dotyczące meczów z poprzednich dni, a po południu zobaczą bieżące transmisje wraz z komentarzami i opiniami (wszystkie mecze turnieju będą pokazywane w TVP 1 i TVP 2). Na koniec dnia będą jeszcze dodatkowe analizy w „Mundialowym wieczorze” oraz specjalne komentarze Macieja Szczęsnego i program poświęcony tematyce lifestyle’owej. ©©

Łukasz Zboralski

Skład reprezentacji Polski na mundial (z numerami koszulek)

BRAMKARZE

12 **Bartosz Białkowski**
22 **Łukasz Fabiański**
1 **Wojciech Szczęsny**

OBRONCY

5 **Jan Bednarek**
18 **Bartosz Bereszyński**
4 **Thiago Cionek**
15 **Kamil Glik**
3 **Artur Jędrzejczyk**
2 **Michał Pazdan**
20 **Łukasz Piszczek**

POMOCNICY

16 **Jakub Błaszczykowski**
6 **Jacek Góralski**
11 **Kamil Grosicki**
10 **Grzegorz Krychowiak**
21 **Rafał Kurzawa**
8 **Karol Linetty**
17 **Sławomir Peszko**
13 **Maciej Rybus**
19 **Piotr Zieliński**

NAPASTNICY

23 **Dawid Kownacki**
9 **Robert Lewandowski**
7 **Arkadiusz Milik**
14 **Łukasz Teodorczyk**

Terminarz meczów grupy H

19 czerwca (wtorek)

godz. 14 – **Kolumbia – Japonia** (Sarańsk)

godz. 17 – **Polska – Senegal** (Moskwa)

24 czerwca (niedziela)

godz. 17 – **Japonia – Senegal** (Jekaterynburg)

godz. 20 – **Polska – Kolumbia** (Kazań)

28 czerwca (czwartek)

godz. 16 – **Japonia – Polska** (Wołgograd)

godz. 16 – **Senegal – Kolumbia** (Samara)

Zaczynamy od obrzydliwej plotki, która przynosi odpowiedź na pytanie, dlaczego PiS zwlekał z powieszeniem, znaczy zawieszeniem, posła Pięty Stanisława. Otóż – jak wiadomo – Kaczor Dyktator w chwili wybuchu afery piętowej znajdował się w szpitalu. W pokoju ma telewizor, owszem, nawet ciągle ogląda. A telewizor jest nastawiony ciurkiem na TVP Info. Ustalenie stanu faktycznego musiało zatem trochę zająć, stąd opóźnienie w egzekucji.

Złośliwi ludzie twierdzą, że Kaczor Dyktator po wielu dniach oglądania TVP Info od świtu do nocy ma bardzo wiele ciekawych przemyśleń na temat funkcjonowania telewizji, tej anteny i życia zawodowego Jacka Kury-Kurskiego. Podzieli się nimi po wyjściu na wolność. Czekamy, czekamy.

Oczywiście tak naprawdę w najbliższych tygodniach nie liczy się żadna polityka, tylko haratanie w gałę. Niestety, obecnie rządzą nami ludzie ponurzy, którzy nie pozwolą Mirkowi Drzewieckiemu organizować wspólnego oglądania gały z winkiem i cygarami u niego w pokoju sejmowym, zwanym w Peło Sherwood. Głównie dlatego, że nie mają swojego Mirka Drzewieckiego.

Dobra wiadomość: wspólne rządowe oglądanie rozgrywek o puchar Putina jednak będzie, ale na Stadionie Narodowym, gdzie przy okazji ludycznej imprezy dla 70 tys. kibiców i transmisji meczu z Senegalem wyszykowano łożę specjalną, do której minister od sportu Bańka Witold zaprosił członków Rady Ministrów. Niektórzy się zgodzili. Nie powiemy którzy, bo od razu pojawi się tam Izabela Pek vel Czarna Pantera żądna nowych selfie. O cygarach na razie nic nie słyszeliśmy.

Swoje plany kibicowania ma też prezydent Andrzej Sebastian. Jeden mecz będzie oglądał w pałacu z personelem wyższego i niższego szczebla, a drugi – gdzieś w plenerze, zdaje się z żołnierzami. Nie powiemy gdzie, bo pojawi się tam od razu Izabela Pek vel Czarna Pantera żądna nowych selfie.

Äpropos Izabeli Pek. Jak mówią wiewiórki, prowadziła ona obszerną korespondencję



internetową nie tylko z posłem Piętą Stanisławem. Ulubionymi adresatami byli rozmaici pracownicy Kancelarii Prezydenta Andrzeja Sebastiana. Była to korespondencja nietypowa, bo mocno jednostronna, to znaczy Czarna Pantera dzieliła się obszernie swoimi przemyśleniami na różne tematy, ale zwykle nikt jej nie odpowiadał.

Skoro już jesteśmy przy dużym pałacu. Ważny komunikat: dobra zmiana odkryła, że może niektórzy jej krytycy mają trochę racji i trzeba przystopować z wydawaniem budżetowych pieniędzy na lewo i prawo. Na początek zamierza poinformować o tym prezydenta Andrzeja Sebastiana. Na przykład takie referendum w sprawie zmian w konstytucji. Akurat na nie może

zabraknąć pieniędzy, a budżet przecież nie jest z gumy. Co za pech.

Wracając do rozgrywek o puchar Putina – mamy radę dla wszystkich przedstawicieli dobrej zmiany wybierających się do Rosji. Wyjedźcie doń wcześniej, niż zamierzaliście, bo takiego trzepania bagaży i kontroli osobistych jeszcze w życiu nie widzieliście. O czym przekonał się niedawno pewien senator podróżujący w tamtym kierunku. Po jego opowieści w izbie zadumy i refleksji zainteresowanie przyjmowaniem zaproszeń ze Wschodu znacznie spadło.

Tymczasem w rządzie. Jak wiadomo, premier Mateusz przejął osobisty nadzór nad Lotosem i Orlenem, oficjalnie – żeby szybciej i sprawniej dokonać ich fuzji. To wprawiło wielu w stan nerwowego wyczekiwania, bo to znaczy, że będą zwalniać, a jak będą zwalniać, to znaczy, że będą też przyjmować. Mamy jeszcze bardziej ekscytującą informację: nie są to ostatnie spółki Skarbu Państwa, nad którymi w najbliższym czasie osobisty nadzór przejmie premier Mateusz.

Zmiany, zmiany. Szykują się i w służbach. Z ABW odszedł szef kluczowego departamentu postępowań Marek Tołwiński. Złe języki mówią, że to wycinanie ludzi Bogdana Świączkowskiego. Tołwiński był bowiem poprzednio prokuratorem. Dobre języki mówią, że... No nie, bez przesady. W świecie służb nie ma dobrych języków.

Inne złe języki opowiadają, że kiedy „Fakt” zaczął jechać po miłośniku Czarnych Panter, pośle Pięcie Stanisławie, to ludzie z okolic Zbyszka Zizou Ziobry odezwali się po cichu do tabloidu z pretensjami: Dlaczego piszecie tylko o Pięcie? Przecież za Andrzejem Sebastianem też łąziła Czarna Pantera! Taki tam przykład typowej przyjaźni po krakowsku.

To teraz po warszawsku. Rafcio Trzaskowski, KNPKW (Kandydat NieProwadzący Kampanii Wyborczej), oświadczył, że nie wie, czym ma być Warszawa, ale nad tym pracuje. To zupełnie jak z samym Rafciem. Nikt nie wie, jaki on ma być. I też są tacy, którzy nad tym pracują. Na razie, zdaje się, z podobnym efektem.

dwaj panowie g





Mamy nowego KNPKW – to Jakub Stefaniak z Peezelu, który też będzie walczył o stolicę. Na razie ogłosił, że Warszawa powinna być jak truskawki, czyli pełna energii, świeżości i ekologiczna. Naszym zdaniem w tym przypadku możliwe jest znacznie prostsze tłumaczenie: żeby była cała czerwona z zielonym ogonkiem.

Tymczasem u Patryka Jakiego (to kolejny KNPKW) pojawiło się pytanie: „Co dalej?”. Niezależnie od tego, czy Patryk zostanie nową HGW, czy nie, nadchodzi powoli czas, żeby zamykać prace komisji do spraw dzikiej reprzywatykacji. No i co tu zrobić, skoro jeszcze wiele spraw czeka na rozstrzygnięcie? Stąd pomysł, żeby wyposażyć w podobne uprawnienia – chodzi o odbieranie zagrabionego – jakieś inne ciało. Mogłoby to być np. ciało wojewody.

Premier Mateusz przejął osobisty nadzór nad Lotosem i Orlenem. I to nie są ostatnie spółki, nad którymi przejmie ten osobisty nadzór

Telewizja Republika świętowała swoje pięciolecie. Gałę miała prowadzić uroczą ekspogodynka Ilona Januszewska, ale w ostatniej chwili okazało się, że nie poprowadzi, bo znalazła się na czarnej liście. To znaczy przeszła do TVP, i to bez zgody Tomasza Sakiewicza. W niełaskę popadli też dzisiejsi reporterzy „Wiadomości”, którzy kiedyś pracowali w Republice. I dobrze im tak, niech

sobie jadą na festiwal do Opola, zamiast na porządną prawicową galę.

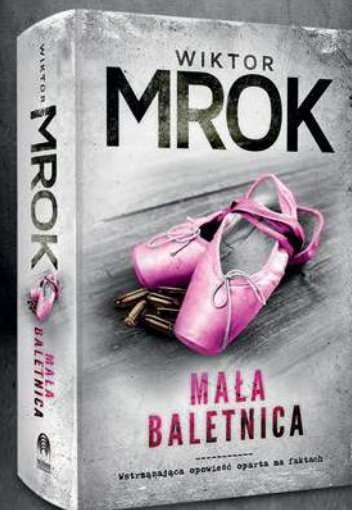
Gala miała też reperkusje polityczne. Po pierwsze, dobra wiadomość, bardzo podobała się wicepremier Bełacie. Po drugie, pojawił się na niej osobiście Krwawy Antoni, by odebrać nagrodę. I to koniec dobrych wiadomości. Inny nagrodzony, premier Mateusz, nie przybył, a złe języki twierdzą, że to z powodu dyspozycji wydanych prosto z Nowogrodzkiej przeniesionej chwilowo do szpitala przy Szaserów. Nowogrodzka bowiem, wyjaśniamy, znajduje się tam, gdzie aktualnie przebywa Kaczor Dyktator.

Teraz Saki ma tydzień, by dokonać pokuty, wyrzec się Krwawego Antoniego i przebłągać Wysokie Kolano, aby pilnie ozdrowiało i do Spały, na zjazd klubów Gazolu, przyjechało. Bo Saki obiecał Kaczora, jak co roku, a dla samego Sakiego klubowicze przyjeżdżać już za bardzo nie chcą. Z Mateuszem też już piwo pili, zanim jeszcze został premierem. Liczy się tylko Kaczor Dyktator.

Tymczasem w innych telewizjach, znanych jako czołowe i komercyjne. Łążą po nich rozmaici generałowie narzekający a to na Krwawego Antoniego, a to na jego następcę Błaszczaka Bezprzymiotnikowego. Żli ludzie opowiadają, że dziwnym trafem najbardziej narzekają ci, którzy za poprzedniego reżimu na lewo przytulili kasę. Co gorsza, żli ludzie dodają jeszcze, że wiedza, którą się w tym temacie z nami dzieli, ma charakter procesowy. Zawsze mówiliśmy, że telewizja szkodzi. Czytajcie książki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**WSTRZĄSAJĄCA –
OPARTA NA FAKTACH –
OPOWIEŚĆ
O MIĘDZYNARODOWYM
SKANDALU
PEDOFILSKIM.**



Współczesna Rosja. Kulisy tzw. child porn industry i spraw związanych z nadużyciami w stosunku do dzieci. Głośny skandal obejmujący międzynarodowe powiązania biznesowe, wielką politykę, a także emerytowanych agentów KGB. Ta opowieść, która niestety nie jest fikcją, sprawi, że na wiele spraw już nigdy nie spojrzysz tak samo.



www.initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium





Rafał A. Ziemkiewicz

Jak powinna wyglądać normalna, niehisteryczna polityka Polski wobec Niemiec i Rosji?

Wszyscy straszą Putinem, wszyscy oskarżają się nawzajem o spiskowanie z Putinem, o sprzyjanie Putinowi bądź o działanie będące Putinowi na rękę – i wszyscy starają się z Putinem zaprzyjaźnić. Rozpoczynające się mistrzostwa świata wydają się do tego doskonałą okazją, więc nawet tym, którzy najusilniej straszą „proputinowskimi populistami”, do głowy nie przyjdzie w tych dniach przypominać o Donbasie czy dzieciach zestrzelonych w malezyjskim samolocie. Trudno o bardziej dobitne pokazanie skuteczności putinowskiej polityki.

Możemy z tego powodu zgrzytać zębami i szukać odpowiednio mocnych fraz, zdolnych oddać cynizm i niemoralność światowej polityki. Chyba jednak rozsądniej byłoby się zastanowić nad naszą polityką wobec Rosji, a raczej nad przyczynami, przez które od ćwierć wieku nie jesteśmy w stanie jej stworzyć.

Streszczając sprawę najkrócej, przy swoim geograficznym położeniu i stosunku sił wobec sąsiadów Polska ma tylko trzy możliwości. Pierwsza: dogadać się z Niemcami przeciwko Rosji. Druga: dogadać się z Rosją przeciwko Niemcom. Trzecia – być w konflikcie z obydwoima, co oznacza popychanie ich do tego, by dogadały się przeciwko nam.

Taki powinien być punkt wyjścia do wszelkich rozważań o naszej polityce – z kim da się dogadywać, na jakich warunkach, kto da więcej, względnie – komu więcej musimy zapłacić, by uniknąć najgorszego, trzeciego wariantu. Nie tracąc przy tym z oczu wariantu, który byłby idealny, czyli takiej sytuacji, w której każdemu z partnerów na tyle zależałoby, aby dobre stosunki z Polską nie wzmocniły zanedo tego drugiego, że wymusiłoby to utrzymanie z nami stosunków przyzwolonych i opartych na szacunku przez obu.

Polityka jest grą, a nie prostym przełożeniem na państwa prywatnych relacji między ich przywódcami, jak to często sobie wyobrażamy. Nawet ci, którzy mają u nas tę świadomość, potrafią sobie tę



Kwadratura Rosji i Niemiec



FOT. SERGEI KARPUKHIN/REUTERS/FORUM

w przypadku ustrojów niedemokratycznych – swojego otoczenia i koterii w nim funkcjonujących. Nierzadko też polityka zagraniczna staje się narzędziem polityki wewnętrznej, służy wzmocnieniu pozycji polityków prowadzących ją na własnym politycznym rynku, niekiedy nawet ze szkodą dla interesów państwa – a nierzadko wykorzystuje się w niej do manipulowania partnerem agentury wpływu.

Wszystko to sprawia, że bardzo trudno nam nie tylko prowadzić rozsądną politykę wschodnią, lecz także nawet dyskutować o niej. Bo z kim jak z kim, ale z Rosją nasze stosunki obciążone są emocjami wyjątkowo silnymi. Po obu stronach, trudno jednak nie dostrzegać, że strona rosyjska umie na naszych emocjach doskonale grać, podczas gdy nam analogiczna sztuka jest obca.

NIEMIECKIE OCZEKIWANIA

Właśnie emocje i ich rozgrywanie sprawiają, że fundamentalna zasada, streszczona na początku, jest u nas realizowana w sposób skrajnie kulawy. Ponieważ z Rosją dzielą nas bardzo bolesne zaszłości, nie jesteśmy w stanie prowadzić z nią racjonalnej polityki – co sprawia, że nie jesteśmy jej w stanie prowadzić także z Niemcami, bo nie mamy planu B, innej niż niemiecka opcji. Nie mając normalnych stosunków z Rosją, pozostajemy wobec Niemiec w sytuacji klienta szatni z kultowego „Misia”. Gdy nasi partnerzy mówią nam: „Nie mamy waszego płaszcza i co nam zrobicie?”, rzeczywiście możemy tylko, w wariacie „PiS-owskim”, uderzać w lament i oburzenie albo – w wariacie „platformerskim” – uderzać w pokorę.

Przez kilkanaście lat szukaliśmy równowagi dla Berlina w innych stolicach Europy oraz w – mówiąc hasłowo – „Brukseli”, czyli strukturach wspólnotowych Unii, traktując je, niejako na wyrost, jak osobny podmiot polityki międzynarodowej. Jednak Bruksela, mimo całego rozpychania się przez Komisję Europejską w ostatniej kadencji – notabene, wyłącznie kosztem naszym i Węgier, państw ocenianych jako słabe – nie jest siłą zdolną prowadzić politykę nieuzgodnioną z Niemcami, a pozostałe stolicy mają w Polsce ograniczone interesy, głównie handlowe, i z pewnością nie da się nimi zrównoważyć oczekiwań niemieckich, nawet gdyby partnerzy mieli taką wolę – a nie mają, zwłaszcza Londyn, na który postawił PiS jeszcze przed brexitem.

grę wyobrazić tylko pod warunkiem, że będziemy mieli w ręce silne karty. Sztuka blefu, w której celują Rosjanie, czy impasu, w czym mistrzami wydają się dziś Chińczycy, w ogóle nie mieści się w naszym wyobrażeniu. Jeśli Polska nie ma silnych kart, to przyjmuje jedno z dwóch złych rozwiązań: albo uznajemy, że nic się nie da zrobić, i poddajemy się całkowicie obcym oczekiwaniom, na dodatek naiwnie wmawiając sobie, że mamy samych przyjaciół, którzy chcą dla nas jak najlepiej, albo upieramy się przy swoim wbrew zasadom uznawanym w światowej polityce za oczywiste, według

modelu „nie oddamy ani guzika” i „jedyną rzeczą bezcenną jest honor”.

Nie brnijmy jednak w karciane metafory, bo są one zawodne. Polityka międzynarodowa jest grą, ale o tyle odmienną od szachów czy brydża, że jest w niej duży margines na subiektywne, często błędne oceny sytuacji i własnych możliwości oraz emocje, które czasem popychają uczestników do zachowań nieracjonalnych. Niestety, tej gry nie prowadzą komputery. Prowadzą je przywódcy, którzy miewają swoje idiosynkrazje, poddani są presji nastrojów swoich społeczeństw bądź –

Normalnych stosunków z Rosją nie daje się też zastąpić budowaniem szczególnych relacji z państwami powstałymi po rozpadzie ZSRS. Tutaj Polska przez ostatnie dwie dekady wykazała się wielką naiwnością, zakładając, że państwa te z natury podzielać muszą przekonanie, iż zagrożone przez Rosję muszą szukać oparcia w nas. Podobnie jak po roku 1918 okazały się kompletnie niezainteresowane jakimikolwiek „jagiellońskimi” wizjami. Co jest prostą zrozumiałą, zważywszy, że dla prostego Ukraińca czy Białorusina jesteśmy jako potomkowie wygnanych „polskich panów”, kimś podobnym jak dla nas nowojorscy Żydzi ze swymi roszczeniami do bezspadkowych kamienic i nasze oferty zbliżenia postrzegane są w takim właśnie kontekście.

Państwa te nauczyły się więc dość szybko okazywać nam dystans i odwoływać ponad naszą głowę do Niemiec jako głównego rozgrywającego, szczególnie Ukraina od zarania swej państwowości bardzo ważna w niemieckiej układance środkowej Europy jako czynnik osłabiający Rosję, ale też wyznaczający Polakom miejsce w drugiej lidze. W normalnej sytuacji czynnikiem ograniczającym ich możliwości byłaby groźba zbliżenia polsko-rosyjskiego, ale właśnie tym hamulcem nie dysponujemy.

Żeby zakończyć kwestię niemiecką, dodajmy, że dodatkowo osłabia naszą pozycję wobec Berlina istnienie w Polsce, by użyć określenia ukutego przez PiS, silnej „partii zewnętrznej”, odrzucającej w ogóle prowadzenie przez Polskę samodzielnej polityki i oferującej pełne podporządkowanie hegemonowi, w zamian za udzielenie jej liderom wsparcia w utrzymaniu – w kraju sprowadzonym do roli unijnej prowincji – władzy, a wspierającym ją elitom – w zachowaniu uprzywilejowanej pozycji. Tylko ze względów marketingu politycznego partia ta odwołuje się do haseł „wspólnej Europy” i symboliki unijnej, obnosząc na swych demonstracjach błękitne flagi z wieńcem gwiazd, zamiast czarno-czerwono-żółtych, które nie byłyby przyjmowane przez Polaków tak chętnie. W istocie jednak nie może być wątpliwości, kto ma „przywrócić wolność” i wymusić na Polakach, „żeby znowu było tak, jak było”.

Szczęśliwie dla Polski obecna koniunktura „partii zewnętrznej” nie sprzyja. Wiele kłopotów, które mają Niemcy z Europą, w połączeniu z wykazaną przez „opozycję totalną” bezsilnością skłania

Berlin raczej do szukania z Warszawą trwałego, opartego na wzajemnym wsparciu swoich interesów „modus vivendi”. Gra zresztą o to zrezygnuje, od kilku miesięcy widać wyraźnie, że obsadził kontrolowaną przez siebie eurokrację w roli „agresora”, przed którym gotów jest nas ratować – oczywiście, jeśli wyjaśnimy sobie pewne sprawy. Paradoksalnie, wydaje się, że największym problemem Berlina jest dziś to, że Polacy do tego stopnia nie potrafią prowadzić polityki, iż nie są w stanie wyartykułować racjonalnych i realistycznych oczekiwań od Niemiec, które można by zacząć na poważnie negocjować.

POLITYKA ROMANTYCZNA WOBEC ROSJI

Brak „drugiej nogi”, czyli stosunków z Moskwą, jest więc nie do zastąpienia. Jak bardzo ich nawiązanie zmieniloby naszą sytuację, pokazuje choćby przykład Węgier – dobry układ z Putinem był istotnym elementem sukcesu Orbána,

Lekcja, którą otrzymujemy przez te dwie dekady, jest taka, że Rosja uważa złe stosunki z Polską za bardziej dla siebie korzystne

bez równoważenia zachodnich nacisków wschodem stosunkowo słaby kraj zostałby zapewne łatwo zhołdowany przez eurokrację i państwa „starej unii”.

Świadomość, jak bardzo byłaby podobna normalizacja stosunków z potężnym sąsiadem pożyteczna dla Polski, nie jest polskim elitom politycznym obca – można śmiało powiedzieć, że właściwie każda kolejna polityczna zmiana, poczynając od rządu Mazowieckiego, starała się tu coś zmienić. Liczono swego czasu, że szczególnie stosunki z Moskwą postkomunistów mogą okazać się „szczęściem w nieszczęściu” ich powrotu do władzy – ale jednostronne starania Kwaśniewskiego zostały przyjęte w Moskwie chłodno, podobnie jak i jego następców. Wyjątku nie stanowił tu także Lech Kaczyński, z którego prezydentury chce się dziś pamiętać tylko wyprawę do Gruzji i montowanie bloku powstrzymującego rosyjski imperializm, zapominając to, że i on zaczął od prób nawiązania z Rosją dialogu.

Starał się o to także Tusk, w typowy dla siebie sposób zadowolając się przyjęciem zaoferowanych mu przez Rosję pozorów – co gorsza, przyjmując także wsparcie Rosji w prowadzonej przez siebie politycznej wojnie przeciwko prezydentowi Kaczyńskiemu, co pośrednio doprowadziło do tragedii, która naszą politykę zdemolowała bardziej niż cokolwiek innego.

Lekcja, którą otrzymujemy przez te dwie dekady, jest taka, że z jakichś względów Rosja uważa złe stosunki z Polską za bardziej dla siebie korzystne. Ilekroć pojawiała się szansa ich poprawy, rujnowała je jakąś prostą prowokacją – a to nagle negując prawdę o pakcie Ribbentrop-Mołotow, a to grając sprawą Katynia, a to „odkrywając” bakterie w polskiej żywności.

To oczywiście woda na młyn licznego stronnictwa zwolenników polityki romantycznej, opartej na założeniu, że Rosja jest naszym wrogiem odwiecznym, a Rosja Putina – niekryjąca ambicji mocarstwowych – strategicznym zagrożeniem. Czyż trzeba lepszego dowodu, zdają się oni mówić, że Rosja to państwo gangsterskie, czyhające na naszą niepodległość, i trzeba z nią walczyć wszelkimi sposobami? I tu zaczyna się wyliczanka wszystkich niegodziwości Putina, a także wszystkich krzywd doznanych od Rosji od czasów rzezi Pragi do „drugiego Katynia”, za jakie uznawane są w tych okolicach sceny politycznej tragedii w Smoleńsku i demonstracyjne wytarcie Polską Tuska podłogi i potraktowanie „śledztwa” w tej sprawie. Przy czym uprawiającym to rozdzieranie szat umyka, że skoro, jak wskazuje doświadczenie lat ostatnich, Rosja woli mieć z Polską stosunki ostentacyjnie złe, by przywódcom Zachodu przedstawiać nas jako obsesyjnych rusofobów i przeszkodę w dopięciu z nimi intratnych kontraktów – to ich antyrosyjskie działania właśnie bardzo służą Putinowi.

W istocie, o ile niemożność dogadania się z Rosją wynika w dużym stopniu z braku zainteresowania Moskwy, o tyle stronnictwo polityki romantycznej w znacznym stopniu winne jest temu, że Polska nie potrafi znaleźć na tę sytuację racjonalnej odpowiedzi. To oni właśnie narzucają nam prowadzenie rozmów o Rosji w historycznej stylistyce, choć jednocześnie nie tylko nie wypominają w kółko Ukraińcom Wołynia, a Litwie Ponarów, lecz przeciwnie – z furią starają się stłumić tę część historycznej pamięci, szermując oskarżeniami – oczywiście

– o działanie na rzecz Putina. „Moczenie” przeciwnika w Putinie stało się zresztą standardem politycznej tandety na poziomie już nie tylko Polski, gdzie żelazny elektorat PiS nazywa ludźmi Putina i współnikami jego zbrodni PO, a ta rewanżuje się insynuacjami o „moskiewskich rublach” PiS, ale całej Europy, a nawet USA, gdzie oskarżenia o związki z Putinem czy chodzeniem na jego pasku próbują dyskredytować swych przeciwników politycy pielgrzymujący do tegoż Putina na kolanach po intratne kontrakty.

SPOJRZENIE W PRZYSZŁOŚĆ

A jak powinna wyglądać normalna, niehisteryczna polityka Polski wobec Rosji?

Trzeba ją zacząć od najoczywistszej, dotąd właściwie przez nikogo niewykonywanej pracy intelektualnej. Zadania sobie pytań: Co jesteśmy w stanie Rosji zaofiarować? W czym możemy jej ewentualnie szkodzić? I czego powinniśmy od Rosji oczekiwać – z wyznaczeniem granicy „non possumus”, a także z przemyśleniem kompromisów?

Putin jest gangsterem? Bez wątplenia. Niejedynym na świecie, choć jedynym, który tak mało dba o pozory. Jednak

rządzi państwem ważnym dla naszego bezpieczeństwa i musimy się z nim układać. Rozumieć grę, którą prowadzi z Ameryką, muzułmańskimi państwami Bliskiego Wschodu i Izraelem, także Dalekim Wschodem, no i kłopoty, które ma po utraceniu Ukrainy i wskutek rosnącej mocarstwowości Turcji. My tymczasem wybraliśmy w tej grze rolę wasala, bezwarunkowo przyjmującego punkt widzenia i interesy USA oraz jego szczególnego sojusznika, Izraela. Skoro sami zrezygnowaliśmy z podmiotowości, skoro nie mamy własnej polityki bliskowschodniej ani własnej polityki ukraińskiej (bo nie jest nią uznanie za własne interesów Ukrainy i wyręczenie w ich promowaniu najbardziej tym zainteresowanych Niemców), ani własnej polityki wobec Białorusi, którą uparliśmy się naprowadzać na drogę do anty-Łukaszenkowego Majdanu, no to jak możemy oczekiwać, że Rosja będzie nas traktowała jako polityczny podmiot?

Nie formułujemy wobec Rosji konkretnych oczekiwań ani konkretnej oferty. Wstępnym warunkiem, który jej stawiamy, jest to, że musi się zmienić: stać się demokratyczna, zacząć szano-

wać nasze wartości itd. To budzi w kraju cokolwiek od Polski rozleglejszym, mającym uznany na świecie status regionalnego mocarstwa, jedynie rozbawienie. No i odpowiedź równie daleko idącą: zostańcie naszymi wasalami, tak jak jesteście nimi obecnie dla „Zapadu”.

Tymczasem świat się zmienia. Zachód, na który postawiliśmy wszystko, słabnie. Jeśli nawet dziś jeszcze byłby nas gotów bronić, to za kilka lat może się to zmienić. A jeśli nawet się nie zmieni, to beznadziejność, jaką wykazuje wobec swoich własnych żywotnych problemów, z imigracją na czele, źle wróży nadziei, że możemy się na nim trwale oprzeć. Jeśli nawet nie jesteśmy w stanie w tej chwili rozwiązać kwadratury koła, którą stały się stosunki polsko-rosyjskie, to możemy przynajmniej zacząć wreszcie racjonalnie się do tego przemyśleć, określać warunki brzegowe, interesy, potrzeby i stopień zagrożenia.

I pamiętać, że „dłużej klasztoru niż przeora”. Przeróżający nas i budzący nienawiść Putin kiedyś w końcu Rosję rządzić przestanie, a ona sama nie zniknie ani my nie przeniesiemy się w żadne inne miejsce na globie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

„Bóg. Nasz Pan Jezus Chrystus. Osoba i Życie”

Rozmowa z ks. prof. Janem Sochoniem, autorem przedmowy do „Bóg. Nasz Pan Jezus Chrystus. Osoba i Życie” autorstwa Romano Guardiniego

„Bóg. Nasz Pan Jezus Chrystus. Osoba i Życie” - to monumentalne dzieło znanego teologa - Romano Guardiniego

Ziemska, powiedzmy ostrożnie, biografia Zbawiciela opowiedziana jasno i atrakcyjnie przez przyszłego błogosławionego – intelektualistę znającego Ewangelię i języki oryginału na wylot. Zamiast akademickich spekulacji i reinterpretacji proponuje nam pogłębione medytacje nad każdym słowem i świadectwem zostawionym w Dobrej Nowinie. Użyłem w swojej wypowiedzi sformułowania „przyszłego błogosławionego”, bo pod koniec 2017 roku Archidiecezja Monachium i Fryzjngi otworzyła proces beatyfikacyjny Romano Guardiniego (1885–1968).

Jaki obraz Zbawiciela maluje Romano Guardini w swej książce?

Według Romano Guardiniego Chrystus wymyka się wszystkim kryteriom oceny i interpretacji. Kryterium wyznacza On sam. Wykracza poza pojęcie człowieka i tego, co jest po ludzku możliwe. Chrystus nie mieści się w żadnym wyobrażeniu. Nawet użycie pojęcia „geniusz” albo „założyciel religii” prowadzi nas na manowce. Dla Zbawiciela,

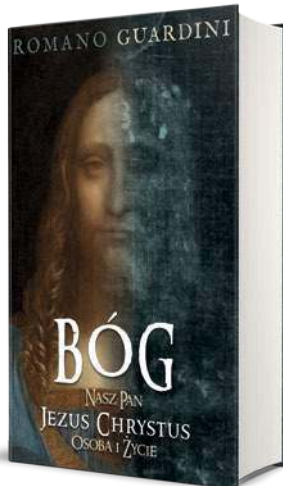
w ujęciu Guardiniego, istnieje tylko jedna specjalna kategoria, mianowicie to, że jest Panem, który spełnił nadzieje Izraela i całej ludzkości po wszystkie czasy. W tym właśnie imieniu („Pan”) ujawnia się istota Jezusowego panowania, tajemnica Jego Królestwa, którą osiągamy w porządku miłości i wolności.

Czy to wymagająca lektura?

To zależy. Książka napisana jest w zrozumiały i przystępny sposób. Niemniej jednak czytelnik zostaje zmuszony do zastanowienia się nad swoim dotychczasowym stylem obecności w świecie; ma szansę zrozumieć, że w zwyczajnych krajobrazach życia pozostajemy wędrowcami i poza Bogiem nie mamy nikogo.

Kim był Romano Guardini?

To niemiecki duszpasterz włoskiego pochodzenia, pisarz i artysta słowa. Jego prace teologiczne ustawiane są w jednym szeregu z dziełami takich autorytetów jak Karl Rahner, Hans von Balthasar czy Benedykt XVI. Głęboko utożsamiał się z katolicką wykładnią światopoglądową, nie przyjął godności kardynalskiej, a w osobistym życiu konsekwentnie naśladował ewangeliczną mądrość bycia.





Jacek Przybylski

Mundial Putina to jedno z najbardziej upolitycznionych mistrzostw w historii. Mimo politycznego bojkotu Kreml ma szansę zamienić część kibiców w pożytecznych idiotów, a przy okazji pokazać wielkość Rosji – zwłaszcza samym Rosjanom

Międzynarodowe zmagania sportowe to wojna minus strzelanie – zauważył w 1945 r. angielski pisarz i dziennikarz George Orwell, podkreślając, że rywalizacja zawodników nierozdzielnie związana jest z nienawiścią, samochwalstwem, chętnością, z pogardą dla wszelkich zasad i sadystyczną przyjemnością z oglądania przemocy.

Aby przyznać mu rację, wystarczy wyobrazić sobie emocje, jakie towarzyszą kibicom, gdy naprzeciw siebie stają drużyny Polski i Rosji, Arabii Saudyjskiej i Iranu czy Serbii i Chorwacji.

Politycy w różnych zakątkach globu potrafią zaś z dużą łatwością wykorzystywać sukcesy swoich zawodników do polepszenia swojego wizerunku i zdobycia dodatkowych głosów. Jeszcze większą wartość propagandową mają jednak rozgrywki w krajach totalitarnych i autorytarnych. Hitlerowskie Niemcy w 1936 r. zorganizowały w Berlinie igrzyska, które miały tylko jeden cel: pokazać, że to oni są najważniejszym narodem i najwyższą cywilizacją. Podobne założenie – chęć udowodnienia wyższości socjalizmu nad kapitalizmem – przyświecało Sowietom podczas organizacji olimpiady w Moskwie w roku 1980 r. „Olimpiada to zastępcza forma wojny” – nie ukrywał radziecki polityk Andriej Gromyko, który wprost mówił o walce między obozem krajów socjalistycznych i kapitalistami. Początkowo Sowietom krytykowali jednak wielkie międzynarodowe imprezy sportowe, przekonując, że to narzędzie kapitalistów i burżuazji. Bojkotowali igrzyska w 1920, 1924 i 1928 r. W latach 30. komuniści zaczęli jednak rozumieć, że sportowe imprezy mogą wykorzystać do szerzenia swej ideologii, pokazywania siły „nowego socjalistycznego człowieka” i umacniania wewnętrznej władzy. „Pobij

Sportowa wojna światowa



FOT. ARTUR KORCZAK/WISNYFORUM

rekordy burżuazji” – apelowali więc do zawodników.

Dzisiaj jest podobnie. Wprawdzie Władimir Putin – jak większość Rosjan – nie jest najbardziej zagorzałym kibicem piłki nożnej, to jednak mundial ma też ogromne znaczenie propagandowe dla obecnego reżimu w Rosji.

ZATRUTY GOL

– Putin wykorzysta mistrzostwa świata w piłce nożnej tak, jak Hitler wykorzystał igrzyska w 1936 r. – ostrzegł w brytyjskim parlamencie poseł

labourzystów Ian Austin, zwracając się w marcu obecnego roku do szefa dyplomacji Wielkiej Brytanii. – Sądzę, że porównanie do 1936 r. jest słuszne – odparł Boris Johnson. – Myślenie o Putinie, który ogrzeje się w blasku tego sportowego wydarzenia, budzi emocje – stwierdził szef brytyjskiego MSZ. Premier Theresa May ogłosiła zaś, że przedstawiciele brytyjskiego rządu i rodziny królewskiej nie pojawią się w Rosji podczas piłkarskich mistrzostw świata.

Na decyzję Londynu wpłynął skandal związany z otruciem w brytyjskim mie-



ście Salisburys 66-letniego pułkownika rosyjskiego wywiadu Siergieja Skripala. A ponieważ na Rosję już wcześniej nałożono międzynarodowe sankcje, bojkot mundialu jest obecnie jedną z ostatnich rzeczy, za pomocą których można ukarać Moskwę.

Rzeczniczka MSZ Rosji tuż po ogłoszeniu brytyjskiej decyzji przypuściła błyskawiczny kontratak, oznajmiając, że brytyjski minister jest niekompetentny i „chory z nienawiści”. Próbuąc wykopać piłkę jak najdalej na boisko Brytyjczyków, stwierdziła również, że słowa szefa

brytyjskiej dyplomacji potwierdzają tezę, iż Wielkiej Brytanii bardzo zależy na zaostrzeniu stosunków z Rosją.

Jako pierwszy prezydent na świecie plan zbojkotowania inauguracji piłkarskich mistrzostw w Rosji ogłosił prezydent Polski Andrzej Duda. Ani ceremonii otwarcia mistrzostw świata – odbędzie się 14 czerwca – ani żadnego meczu nie obejrzy w Rosji polski minister sportu. Witold Bańka ogłosił, że wprawdzie otrzymał zaproszenie od rosyjskiego ministra sportu, ale podjął decyzję, że nie poleci do Rosji na żaden mecz, a dru-

żynie Białe-Czerwonych będzie kibicował w Polsce. W marcu plany bojkotu ceremonii otwarcia ogłosiły również m.in. władze Danii, Islandii, Japonii oraz Szwecji.

W kwietniu kolejnego gola Putinowi próbowali też wbić eurodeputowani. „Atak w Salisbury był ostatnim przykładem kpin, jakie Władimir Putin urządza sobie z naszych europejskich wartości” – napisała grupa 60 europosłów. Przekonywali oni, że prezydent Rosji nie będzie dobrym gospodarzem mundialu. Przypominając o brutalnej rosyjskiej inwazji na Ukrainę, bombardowaniu szkół i szpitali w Syrii, cyberatakach na europejskie cele i wtrącaniu się do wyborów zachodnich społeczeństw, eurodeputowani zaapelowali do rządów unijnych krajów o bojkot tegorocznych mistrzostw.

„Nasze rządy nie powinny wzmacniać prezydenta Rosji na autorytarnej i antyzachodniej ścieżce” – napisali europosłowie. Podkreślili też, że dopóki dysydenci i wolna prasa będą zagrożeni w Rosji i poza nią, dopóty „nie możemy odwracać się do nich plecami i ścisnąć ręki Putina na stadionie”.

„Chociaż wierzymy, że sport może pomóc w budowie symbolicznych mostów, to dopóki Putin wysadza prawdziwe mosty w Syrii, nie możemy udawać, że te mistrzostwa świata to taka sama impreza sportowa jak każda inna” – przekonywali eurodeputowani.

Jednocześnie wszystkie rządy oddzielają politykę od emocji sportowych – żaden kraj nie zdecydował się więc na wycofanie z mistrzostw swojej drużyny, chociaż np. wspomniany Ian Austin przekonywał brytyjskie władze, że reprezentacja Anglii nie powinna jechać do Rosji. Przeważał pogląd, że nie warto w imię polityki karać piłkarzy i kibiców.

Sami kibice ani myślą jednak, aby odcinać się od wielkiej polityki. Przeciwnie: rosyjscy ultrasi wprost grożą, że urządzią piekło tym kibicom reprezentacji Anglii, którzy będą na tyle naiwni lub odważni, żeby rzeczywiście wybrać się do Rosji. Część Rosjan „radzi” Anglikom, aby przed przylotem pochodzili na siłownię i dobrze się przygotowali. Spotkanie ok. 200 rosyjskich ultrasów z angielskimi kibicami podczas Euro 2016 we Francji skończyło się bowiem dla tych drugich tragicznie: kilkudziesięciu Anglików zostało rannych, 19 trafiło do szpitala, a dwóch w stanie ciężkim miesiącami walczyło o życie. „Nie widzę nic strasznego w bójkach kibiców. ■



■ Przeciwnie: dobra robota, nasze zuchy! Tak trzymać! – komentował wówczas na Twitterze Igor Lebiediew, wiceprzewodniczący Dumy i członek władz Rosyjskiego Związku Piłki Nożnej. – W dziewięciu na dziesięć przypadków kibice piłkarzy idą na mecz, aby się bić. I to jest normalne. Nasze zuchy broniły honoru swojego kraju i nie pozwoliły angielskim fanom znieważać naszej ojczyzny. Powinniśmy ich zrozumieć i im wybaczyć – przekonywał Lebiediew w wypowiedzi dla rosyjskiej agencji Life.ru.

Przedstawiciele Scotland Yardu nie ukrywają, że ryzyko, iż na rosyjskim terytorium dojdzie do krwawych walk między Rosjanami a Anglikami, jest ekstremalnie wysokie. Brytyjskie władze w związku z zaostrzeniem stosunków między Londynem a Moskwą zażądały od Rosjan gwarancji bezpieczeństwa dla swoich kibiców w czasie mundialu. Celem Rosjan mogą być również kibice z Polski i z Chorwacji.

Areną krwawych starć może stać się m.in. Wołgograd. Nad brzegiem Wołgi grać będą m.in. Polacy i Anglicy. Nastroje wśród wielu mieszkańców dawnego Stalingradu – nad którym góruje ogromny, 85-metrowy pomnik Matki Ojczyzny poświęcony radzieckim żołnierzom – nawet przed mundialem są mocno antyzachodnie. Wielu mieszkańców miasta, zasłuchanych w nadawane przez kremłowskie media programy propagandowe, wierzy bowiem, że Zachód nienawidzi Rosjan, a zwłaszcza Władimira Putina, który próbuje przywrócić Rosji „właściwe miejsce” na globalnej scenie. Szczególnie niebezpiecznym miejscem mogą być również okolice stadionu Spartaka w Moskwie – gdzie np. przy okazji meczu Polska-

Senegal może dojść do walk polskich i rosyjskich kibiców.

Fani Dinamo Moskwa do wielkiej bitwy szykują się nie tylko na siłowniach czy podczas osiedlowych ustawek, ale organizują też pojedynki w lasach, w których umawiają się na bitwy z kibicami innych drużyn. Jak informuje reporter portalu ESPN, podczas tych starć nie obowiązują kompletnie żadne zasady, choć zamordowanie innego kibica jest już uznawane za nietaktowne.

PUTIN KALOSZ

Kiedy 2 grudnia 2010 r. FIFA przyznała Rosji organizację mistrzostw świata, Zachód był oczarowany nowym obliczem Rosji. Prezydentem był wówczas Dmitrij Miedwiediew, a liberalny gabinet Baracka Obamy promował „reset” w relacjach amerykańsko-rosyjskich. Władze na Kremlu w 2010 r. musiały więc wyobrazić sobie mistrzostwa świata w piłce nożnej jako rosyjską wersję chińskich igrzysk olimpijskich z roku 2008, czyli sportowo-propagandową imprezę, która pozwoliła partii komunistycznej zaprezentować swoje nowoczesne oblicze.

Przez ostatnie osiem lat sporo się jednak zmieniło: Rosja prowadzi wojny na Ukrainie oraz w Syrii, jej gospodarka kuleje z powodu nadal sporo tańszej ropy, a rzeszę zawodników przyłapano przed olimpiadą na stosowaniu dopingu. Wszystko to znacząco osłabiło wizerunek Kremla i samego Władimira Putina.

Według Instytutu Gallupa już siedmiu na dziesięciu Amerykanów ma nieprzychylny stosunek do Rosji – tak źle nie było od 1989 r. Tym razem nie będziemy jednak świadkami starcia największych

mocarstw: po porażce z Trynidadem i Tobago reprezentacja Stanów Zjednoczonych poniosła historyczną klęskę i pierwszy raz od 1986 r. nie zakwalifikowała się do finałów mistrzostw świata. Amerykańscy widzowie w większości zlekceważą więc zmagania piłkarzy. Europejscy kibice nie powinni zaś tak łatwo nabierać się na wymysły rosyjskiej propagandy, która z pewnością zrobi wszystko, aby goście z Zachodu przestali pamiętać o tym, że Rosja to kraj policyjny, w którym pod murami Kremla zamordowano jednego z głównych opozycjonistów Borysa Niemcowa, a prokuratorzy prześladowują niepokornych dziennikarzy.

Nie goście z Zachodu są jednak głównym celem rządowej propagandy. Dla Putina i jego reżimu najważniejsze jest zadowolenie samych Rosjan. Kreml będzie mógł im wreszcie pokazać, w jak wielkim kraju żyją. Zwłaszcza że same mistrzostwa – najprawdopodobniej – będą udane. Nie jest to, rzecz jasna, zbyt wielki powód do chwały, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że w 2010 r. ze zorganizowaniem mistrzostw świata w piłce nożnej poradzi sobie nawet członkowie władz Republiki Południowej Afryki. Po aferze dopingowej w Soczi – którą władze w Moskwie przedstawiły rodakom jako godny potępienia spisek Zachodu – zwykli Rosjanie są głodni wielkiego sukcesu. Podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Pjongczangu nawet zwycięzcy nie mogli bowiem wysłuchać swojego narodowego hymnu, ponieważ dopuszczono ich do startu jedynie pod sztandarem olimpijskim. Rosyjska reprezentacja raczej nie ma szans na walkę o mistrzostwo, ale dzięki sporemu szczęściu Sborna powinna chociaż wyjść ze stosunkowo łatwej grupy A.

Na wszelki wypadek rzecznik prezydenta Rosji potwierdził na razie tylko to, że Władimir Putin przyjedzie na mecz otwarcia mistrzostw świata, czyli spotkanie Rosja – Arabia Saudyjska (początek meczu w najbliższy czwartek 14 czerwca o godz. 17). Do zaplanowanego na 15 lipca finału Rosjanie już raczej nie dotrą.

Dobre wrażenia z imprezy mogą jednak umożliwić władzom w Moskwie przyćmienie tego, że szacowany koszt budowy lub modernizacji stadionów został koszmarnie przekroczony. Dla przykładu Stadion Kriestowski w Petersburgu miał pochłoniąć 93,5 mln euro, tymczasem wszystkie prace w tym

obiekcie kosztowały ponad siedem razy więcej, czyli ok. 700 mln euro.

Jest to więc najdroższy stadion w historii mundialu i – jak pól żartem, pół serio mówi wielu Rosjan – największy pomnik korupcji na świecie, który zamiast „Zenit Arena” powinien nosić nazwę „Arena Wstydu”.

TERRORYŚCI NA SPALONYM?

„Murawy spłyną waszą krwią”, „Mistrzostwa Świata Rosja 2018 – zwycięstwo będzie nasze” – tego rodzaju hasła dominują na plakatach rozpowszechnianych przez islamskich terrorystów z Daesz. Muzułmańscy propagandyści chwalą się również fotomontażem przedstawiającym dżihadystów na murawie podryzających gardła Cristiano Ronaldo i Lionela Messiego.

W „materiałach promocyjnych” islamiści próbują też straszyć zdjęciami zamaskowanych islamskich barbarzyńców z karabinami, granatami i ładunkami wybuchowymi w pobliżu rosyjskich stadionów, w tym wokół stadionu Łużniki, na którym ma być rozegrany finał mistrzostw świata. Terrorysty straszą, że będą atakować fanów futbolu za pomocą

broni palnej i noży oraz przejeżdżać ich rozjeżdżonymi samochodami, minibusami i ciężarówkami. Jeden z plakatów przedstawia nawet punkty na ludzkim ciele, na które zwolennicy radykalnego islamu mają uderzać, aby zabić jak najwięcej „niewiernych na stadionach i poza nimi”. „Zabijcie ich wszystkich!” – wzywają przywódcy terrorystów, zapowiadając „wybuchowe mistrzostwa”.

Tego typu hasła czy plakaty to głównie element wojny propagandowej, która ma przestraszyć ludzi i zachęcić ich do przemocy. Zagrożenie terrorystyczne jest jednak realne – do Rosji wracają bowiem z Bliskiego Wschodu tysiące sunnickich dżihadystów, którzy zdobyli doświadczenie w walkach na terenie Iraku i Syrii i mogą chcieć się odegrać na Moskwie za zdławienie prób uzyskania niepodległości przez kaukaskie republiki w latach 90. i na początku XXI w.

Najbardziej zagrożone atakami są Moskwa, Petersburg, Soczi oraz Wołgograd. Przed ryzykiem zamachów ostrzegają swoich obywateli rządy różnych państw, w tym polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Zważywszy, że Rosja to państwo policyjne, a prezydent Wła-

dimir Putin podpisał niedawno dekret zwiększający uprawnienia służb, można mieć nadzieję, że tym razem terroryści nie będą mieli szansy zdobyć żadnego punktu. Już w marcu Rosjanie rozbili „uśpioną komórkę” Państwa Islamskiego, a w kwietniu ujęli bojowników ISIS uzbrojonych w materiały wybuchowe oraz kałasznikowy. Ronaldo zatrudnił zaś w charakterze nowego ochroniarza byłego członka elitarnego oddziału spadochroniarzy Nuno Marecosa, który formę ćwiczy, m.in. walcząc bez mulety z półtonowymi bykami.

Nie czekając na wynik rozgrywek w Moskwie, do ostrej walki przystąpił już Waszyngton. Amerykanie toczą bowiem bój o organizację mistrzostw świata w piłce nożnej w 2026 r. Donald Trump już jednak ostrzegł sojuszników USA, aby głęboko przemyśleli, na kogo chcą oddać głos. „To byłby wstyd, gdyby kraje, które zawsze wspieramy, lobbowały przeciwko USA... Dlaczego mielibyśmy wspierać te kraje, kiedy one nas nie wspierają?” – zapytał na Twitterze. Mundial w 2026 r. będzie rewolucyjny – w szranki staną nie 32 drużyny, lecz 48 zespołów. I to dopiero będzie wojna bez strzelania... © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m. in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą pętlową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu



Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

posiłki bez limitu - bufet 25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie oraz badanie biomechaniczne postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 10.06 - 30.09.2018 r.

tel. **54 416 70 00**



**Z Markiem Suskim,
szefem Gabinetu
Politycznego Prezesa
Rady Ministrów**
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Kiedy ten numer tygodnika ukaże się w kioskach, będzie pan obchodził 60. urodziny. Do politycznego spełnienia brakuje chyba tylko prezydentury?

MAREK SUSKI (PiS): (śmiech) Nie mam tego typu planów. Staram się służyć swoją osobą na tyle, na ile potrafię, niezależnie od pełnionej funkcji.

Czego w takim razie życzyć?

Przede wszystkim zdrowia dla mnie i najbliższych, wsparcia rodziny i odporności na różne złośliwe pomówienia opozycji.

Kiedy obserwuje pan partię pod nieobecność prezesa, nie ma pan wrażenia, że gdy kota nie ma, myszy grasują?

To stare przysłowie, ma chyba kilkadziesiąt lat. Jak wiadomo, przysłowia są mądrością narodów, która bierze się z wielowiekowych obserwacji. Jednak proszę być spokojnym, prezes czuwa. Żadne ważne decyzje nie są podejmowane bez jego wiedzy, a szczególnie uciążliwych mysich harcowników nie zauważyłem.

A jakieś inne ssaki? Na przykład delfiny? Ostatnio o ich apetytach wspominał Joachim Brudziński.

Rozumiem te morskie klimaty u prezesa Brudzińskiego, w końcu jest ze Szczecina, ale jeśli już, to raczej delfinki.

Jeśli nie ssaki, to może grube ryby, płotki albo chociaż plankton szukają nowego miejsca w PiS-owskim akwarium?

Płotki to są raczej cienkie rybki i nie ma się co nimi zajmować, chociaż dobrze usmażone są smaczne. Tym bardziej trudno dostrzec planktonem. Jeżeli tak mają wyglądać zagrożenia pod nieobecność prezesa, to raczej nie ma obaw. A że coś się dzieje, to zawsze w politycznym akwariu coś się rusza. Cóż, taka jest polityka.

A w kulisach tej polityki coraz częściej spekuluje się, że gdyby Jarosław Kaczyński odszedł na emeryturę, sztandar partii przejmie wspomniany już Joachim Brudziński. Coś w tym jest?

Delfinów się nie boimy

(śmiej) W tym pytaniu zawarta jest sugestia, i to niepoparta niczym, że coś może w najbliższym czasie nastąpić.

Dyplomatycznie pan odpowiada. Nie zazdrości pan koledze z Porozumienia Centrum tych plotek?

Prezes będzie prezesem jeszcze długo i jeśli za wiele lat zdecyduje się odejść z polityki, to zapewne będę pomagać każdemu, kto zajmie jego miejsce. Bo to Polska jest najważniejsza, a partia jest tylko narzędziem do realizacji dobrego programu. Tak sobie jeszcze myślę... Jak miałbym zazdrościć komuś plotek? Chyba nie ma czego.

To może chociaż wyjazdów z Jarosławem Kaczyńskim na Łódkę nad Zalew Szczeciński i wspinaczek w Beskidzie Sądeckim? Wspólnych zdjęć, lądujących później w mediach społecznościowych?

Teraz już takie czasy, że niekiedy w mediach społecznościowych pojawia się więcej, niż byśmy chcieli.

A kiedy mówi pan o Józefie Piłsudskim, który osiągnął politycznie mniej niż Jarosław Kaczyński, nie boi się pan, że ten drugi się pod nosem ironicznie uśmiecha?

Nie mam pojęcia, czy się uśmiecha, bo nie rozmawiałem z prezesem na ten temat. Niemniej postawiłem tezę, której jestem gotów bronić – nie po to, aby podważać zasługi Piłsudskiego, bo ma je ogromne. Największe w odzyskaniu niepodległości, przebudowie kraju oraz budowie armii. Jarosław Kaczyński przewyższa jednak marszałka w osiągnięciach na niwie demokratycznej, bo ten drugi z demokracją radził sobie gorzej, o czym świadczy choćby zamach majowy. Józef Piłsudski walczył o wolną Polskę z karabinem w rękę, i to wychodziło mu wspaniale, za to Jarosław Kaczyński lepiej włada kartką wyborczą.

Niedawno musiał się pan tłumaczyć z wyjazdu na komunistyczną konferencję do Pekinu, gdzie wygłaszano m.in. referaty ku czci Karola Marksa...

Chiny są drugą potęgą gospodarczą na świecie, mamy z nimi podpisane liczne umowy handlowe i umowy o współpracy o najwyższym priorytecie, więc kontakty w takim przypadku są niezbędne. Gwoli ścisłości – konferencja odbywała się w Shenzhen i była poświęcona pokazaniu osiągnięć Chin dzięki budowaniu gospodarki wolnorynkowej.

To pewnie było szokiem dla marksistów, jeśli tam byli, tym bardziej że nie słyszałem referatów na cześć Marksa, tylko pochwałę siły konkurencyjnej gospodarki wolnorynkowej realizującej potrzeby społeczeństwa. A że konferencja była zorganizowana przez KPCH, to prawda, tyle że w Chinach nie ma innej władzy. Brali w niej udział przedstawiciele ponad stu państw. W tym samym czasie w Państwie Środka na zaproszenie Komunistycznej Partii Chin gościli kanclerz Angela Merkel i prezydent Emmanuel Macron. Nie tak dawno temu, zanim się popsuły stosunki handlowe z USA, był też Donald Trump. Zatem, szczerze mówiąc, nie widzę podstaw, żebym miał się jakoś szczególnie z tego wyjazdu tłumaczyć. Tym bardziej że od dwóch lat pomagam w organizacji Festiwalu Polskich Kręgów Sztuki w Chinach, który cieszy się tam wielkim uznaniem.

Merkel, Macron, Trump, Suski. Znamienite grono.

Jeszcze niech pan doda amerykańską komisję ds. handlu, która też w tym czasie przebywała w Chinach. Nie rozumiem, dlaczego Polska jako jedyna na świecie miałaby się z Państwem Środka nie zadawać? Nasza wymiana handlowa się rozwija, ale ciągle za wolno. Większe osiągnięcia w tym zakresie mają choćby Chiny, nie mówiąc o Niemczech. Nowy jedwabny szlak może być drogą tranzytową pomiędzy Chinami, Polską a Europą Zachodnią, z centrum logistycznym w Łodzi lub w okolicach planowanego Centralnego Portu Komunikacyjnego w Baranowie. W ten sposób przecinałyby się dwie arterie handlowe – północ-południe (szlak bursztynowy) i wschód-zachód (szlak jedwabny). Warto z tej okazji skorzystać.

Wspomniał pan o CPK. Jak pan spogląda na ten projekt z perspektywy ministra, a następnie z perspektywy posła z Radomia, gdzie przyszłość lokalnego lotniska stoi pod znakiem zapytania?

Z natury jestem optymistą, więc zawsze widzę więcej sera w serze niż dziur, natomiast Centralny Port Komunikacyjny to trudne, ale wielkie wyzwanie. Coś na miarę budowy Gdyni w dwudziestolecie międzywojennym, do której trzeba jeszcze dodać budowę sieci szybkich kolei, które łączyłyby nowe centrum z resztą kraju. Sądzę jednak, że nie powinniśmy się tego projektu obawiać. To będzie prawdziwy skok cywilizacyjny.

Wyjście z komunikacyjnego modelu Polski, stanowiącej zlepek trzech zaborów, w stronę państwa, które zyskuje serce komunikacyjne kraju z prawdziwego zdarzenia. Ten pomysł jest ważny jeszcze z jednego powodu – on może służyć budowie jedności narodu. Bo ten port, kiedy powstanie, będzie służył wszystkim naszym obywatelom. Uwolni nas od przeszłości, która była kształtowana w stolicach poza Warszawą bez patrzenia na perspektywy rozwoju Polski. Z tych powodów jestem entuzjastą

Prezes będzie prezesem jeszcze długo. Jeśli zdecyduje się odejść z polityki, to będę pomagać każdemu, kto zajmie jego miejsce

stą idei CPK. Natomiast z perspektywy regionalnej również widzę jasne strony. Jeśli Radom zostanie wskazany jako lotnisko zapasowe dla CPK, to będzie ogromny zastrzyk gotówki dla regionu biedniejszego niż osławiona „ściana wschodnia”. Takimi działaniami Polska może i powinna wspierać biedniejsze regiony. Nie widzę żadnego powodu, aby dochód na mieszkańca w Warszawie był cztery razy wyższy niż w Radomiu. Mieszkańcy regionu radomskiego są takimi samymi obywatelami.

W pański okręg wyborczy uderzyć może reforma szkolnictwa wyższego wicepremiera Jarosława Gowina. Zakłada ona m.in. ewaluację przydatności regionalnych uczelni wyższych, a przy ich niskim poziomie nauczania – cofnięcie możliwości doktoryzowania oraz habilitowania.

Obawy związane z tą ustawą ma wielu posłów, rektorów i ludzi, którzy zajmują się szkolnictwem wyższym. W związku z tym w Sejmie wprowadzono wiele poprawek, ale nie jest wykluczone, że jeśli okażą się one niewystarczające, to zostanie zgłoszona autopoprawka rządowa do projektu premiera Gowina. Zniweluje ona ewentualne negatywne skutki uboczne dla uczelni w terenie. Jak już wspomniałem, chcemy, aby Polska rozwijała się równomiernie, a młodzież spoza głównych ośrodków akademickich też miała szansę na zdobycie dobrego wykształcenia.

W mniejszych miastach ten poziom często rażąco odstaje od dobrego. Premier Gowin mówi – potrzebujemy nie ilości, ale jakości. Taka jest idea Ustawy 2.0?

Nie sędzę, aby było to ideą ustawy. Być może jest błędnie interpretowana, ale po poprawkach będzie można do niej dodać komponent wspierania uczelni regionalnych, z naciskiem na podniesienie poziomu kształcenia. To się przecież nie musi wykluczać i mam nadzieję, że taki będzie finalny efekt naszych prac.

Komisja Europejska tnie ostro po budżecie dla Polski, domagając się cofnięcia większości reform wymiaru sprawiedliwości. Impas?

Sam się nad tym zastanawiam. Mam wrażenie, że próba grożenia nam zastosowaniem art. 7 przez część lewicowo-liberalnych elit europejskich wobec Polski to rodzaj straszaka. Nasz rząd im się po prostu nie podoba, bo nie jest lewacko-liberalny. Dlatego straszenie nas nie ma nic wspólnego z przestrzeganiem praworządności. Podobnie postępowano wobec Węgier, teraz wobec Włoch.

Do ostatecznego ustalenia przyszłego budżetu UE jest jeszcze bardzo daleko. To dopiero gra wstępna, dlatego wiele słów ze strony Komisji Europejskiej trzeba traktować jako przeciąganie liny, a nie ostateczne decyzje. Na naszą korzyść działa to, że uczestniczymy aktywnie w powstawaniu coraz szerszej koalicji, która nie godzi się na arbitralne cięcia finansowe. Oczywiście mamy świadomość, że brexit będzie kosztować Unię ok. 12 mld euro mniej do wspólnej skarbonki. To tak naprawdę przyczyna szukania cięć w budżecie. Oni, widać, nie chcą powiedzieć Polsce: „Skąd mamy wam dać, jak nie ma?”. Wolą nas podgrillować, i to na życzenie naszej totalnej opozycji, która nie bacząc na ewentualne straty dla Polski, skarży się na nas, kłamiąc o rzekomej dyktaturze PiS. Z drugiej strony słyszymy, że KE chce dołożyć pieniędzy na emigrantów i ochronę granic zewnętrznych UE, czyli rozwiązywać swoje własne problemy naszym kosztem, a w związku z tym dawać mniej np. na rolnictwo. Musimy być konsekwentni, cierpliwi i pragmatyczni – piłka nadal w grze. Szkoda, że opozycja nie gra z nami do jednej bramki.

W 2019 r. poza wyborami samorządowymi odbędą się także wybory do Parlamentu Europej-

skiego. Nie marzy się panu czasami taki żywot europośla? Pieniądże dobre, a i polatać można.

Nie marzy mi się taki żywot, a pracując w gabinecie premiera, dosyć często latam za granicę, co zresztą bywa krytykowane i co widać na przykładzie Chin. Ja czuję się potrzebny w Polsce. Byłem parę razy w Brukseli czy Strasburgu i jakoś mnie tam nie ciągnie.

Frytek z majonezem i belgijskiej czekolady pan nie lubi?

Lubię, ale polska czekolada jest świetna, lepsza od belgijskiej. Jednak ponieważ walczę z lekką nadwagą, staram się nie jadać.

Powiedział pan, że czuje się potrzebny w KPRM. A może jest tam pan potrzebny jako stróż partii pilnujący Mateusza Morawieckiego?

Może jako anioł stróż? To by była dobra funkcja (śmiech). Anioł wspiera i chroni.

nił. Znany jest jako „zniszczę cię Schety-na”, więc wojna domowa będzie na noże. A jeśli nasi przeciwnicy zaczną między sobą walczyć, to życzę im powodzenia. Nie sędzę jednak, żeby do tego doszło. Prędzej, jeśli Tusk naprawdę wróci do krajowej polityki, po prostu tupnie nogą, a Schetyna ustąpi. Już nieraz podkułił ogon ze strachu przed Tuskiem.

I będzie oczekiwany przez wielu powrót króla na białym koniu?

Nie, raczej na białym leopardzie.

Czuje się pan zdradzony zachowaniem partyjnego kolegi Stanisława Pięty?

Niby dlaczego? Przecież nie jest moim mężem. Niech się żonie tłumaczy ze swojego życia prywatnego.

Próbowano z pośła Pięty zrobić ofiarę niemieckich spisków, któremu „podsunę-

Do ostatecznego ustalenia przyszłego budżetu UE jest jeszcze bardzo daleko. Dlatego wiele słów ze strony Komisji Europejskiej trzeba traktować jako przeciąganie liny, a nie ostateczne decyzje

Jeśli tak byłoby to postrzegane, to na rolę anioła się piszę. A mówiąc poważnie – bardzo cenię i lubię premiera Morawieckiego, więc jeśli jeszcze mógłbym mu w czymś pomóc, to będę szczęśliwy.

Ci złośliwi, którzy mówią o stróżowaniu, mają na myśli raczej Cerbera.

Może dla przeciwników politycznych mógłbym taką rolę odgrywać, ale dla przyjaciół na pewno nie.

Czyli co: baranek pokoju?

Z tym barankiem bym nie przesadzał. No, chyba że trochę rogaty, ale na pewno nie Cerber – upiorne zwierzę z podziemi Hadesu.

A co pan myśli o ewentualnej partii Donalda Tuska, która może na wiosnę przyszłego roku powalczyć w wyborach do PE, a później w wyborach parlamentarnych?

Jeżeli Donald Tusk nie wróci do PO, a założy nowe ugrupowanie konkurencyjne do Platformy, to by był bardzo dobry scenariusz. Niech się między sobą gryzą. Partia Tuska oznacza, że będzie musiał podebrać posłów i działaczy Schetynie, a ten na pewno będzie się bro-

to kochankę” w zemście za walkę z Nord Stream 2. Prezes chyba nie uwierzył, skoro zawiesił go w partii i wyrzucił z najważniejszych komisji?

Został zawieszony, i słusznie. Co do teorii spiskowych to jeśli jest drugie dno, to raczej chodzi o komisję Amber Gold.

Mówi się, że to m.in. ta sprawa przekonała prezesa do powrotu do idei dekoncentracji mediów, choć partia dementuje takie doniesienia. Załóżmy jednak, że dekoncentracja prędzej czy później wróci. PiS będzie się umiał zmierzyć z oskarżeniami opozycji o cenzurę?

To jakaś bzdura. Cenzura to była wprowadzana przez poprzedników. Proszę sobie przypomnieć napad na redakcję „Wprost” przy udziale służb specjalnych, żeby odebrać kompromitujące nagrania rozmów polityków PO. My nie mamy planu wprowadzania ustawy o dekoncentracji mediów, chociaż takie przepisy nie miałyby nic wspólnego z cenzurą. W takim rozwiązaniu chodziłoby o udział kapitału zagranicznego w rynku mediów, a nie o cenzurę. Wolność słowa jest filarem demokracji, a my jesteśmy demokratami.

Wszystkie lęki PiS



Piotr Gociek

W szeregach Zjednoczonej Prawicy pojawiają się niepewność i fatalizm. To jeszcze nie kryzys, ale seria nawarstwiających się kryzysików

Nie jest to jeszcze „absolutna panika”, tak jak chciałby Grzegorz Schetyna, ale nie ma też przekonania, że naprawdę nastąpiło „nowe otwarcie”, jak to przedstawiano na konwencji Zjednoczonej Prawicy „Polska jest jedna” 14 kwietnia. W szeregach PiS i jego sojuszników pojawiły się niepewność i fatalizm – nie tylko w partyjnych dołach, które miały kłopot z przełknięciem dymisji Beaty Szydło, odcieżciem z rządu Antoniego Macierewicza, sporem o reformę sądów, niespodziewanych kłopotów po nowelizacji ustawy o IPN itd.

Wszystko to się skumulowało, po czym nastąpił jeszcze długi, bolesny dla notowań partii spektakl „Protest opiekunów niepełnosprawnych w Sejmie”. Kryzysu nie ma, jest za to wiele kryzysików, które się nawarstwiły. Wedle sondaży zmniejsza się dystans między Zjednoczoną Prawicą a opozycją z PO i SLD (tylko Nowoczesna wciąż dofuje – na własne życzenie). Od jednego z ministrów usłyszałem, że grupa analizująca sondaże nie ma wątpliwości: od półtora miesiąca możemy mówić o niekorzystnym dla władzy trendzie. A z trendami tak już jest, że trudno się je odwraca, za to niebezpiecznie łatwo można je pogłębić.

WIDMO PORAZKI

Sami politycy Zjednoczonej Prawicy zaczynają napomykać w nieoficjalnych rozmowach, że przegrana w wyborach jest całkiem możliwa, choć nie ma zgody na to, czy będą to zarówno wybory samorządowe, jak i parlamentarne. Oficjalnie wszystko jest oczywiście OK i „zgrana biało-czerwona drużyna idzie naprzód”. Jednak od innego znanego polityka PiS usłyszałem, że w partii pojawiło się poczucie, jakby los władzy nie zależał już od niej samej. – Robimy, co możemy, ale czy przyniesie to efekty – sami mamy wątpliwości – tłumaczył mi ów polityk. I sam nazwał to nowe podejście fatalizmem. Będzie, jak będzie.

Utrata wiary w to, że można wygrać bitwy i wojny, to początek końca każdej, nawet najsilniejszej armii. Co demoralizuje szeregi Zjednoczonej Prawicy? Większość przyczyn już wymieniałem. Nie wszystkie. Wewnętrzne napięcia wciąż rozsadzają koalicję. Niektórzy sugerują, że wygranie wyborów z Morawieckim jako premierem będzie cudem, bo nie ma on charyzmy Jarosława Kaczyńskiego ani nie jest tak

ciepło przyjmowany jak Beata Szydło. Współpracownicy i zwolennicy MM na stanowisku premiera odpowiadają, że wyborów nie wygrywa się z gabinetu prezesa Rady Ministrów, że najważniejsze, by rządem kierował sprawny menedżer, a od wieców i kampanii pozostają ci, co zawsze, czyli znane i lubiane przez elektorat figury.

PRAWDZIWE ZAGROŻENIA

Czego naprawdę powinien obawiać się PiS? Co może zamienić obecne wątpliwości w samospełniający się, niekorzystny dla koalicji scenariusz? Zaczniemy od tego, że wraca trochę duch lat 2005–2007. Wtedy gospodarka kwitła, pieniędzy Polakom przybywało (szczególnie przedsiębiorcom), koniunktura zagraniczna była dobra, a jednak PiS przedterminowe wybory przegrał. Wizerunek okazał się ważniejszy od faktów. A wizerunek wykreowały „pierwшему PiS-owi” pospołu konkurencyjna PO oraz zjednoczony medialny front. Oczywiście dużo trudniej było rządzić w toksycznej koalicji z Samoobroną i LPR, dziś politycy PiS są dużo mądrzejsi niż wtedy. Jednak w Zjednoczonej Prawicy narasta przekonanie, że może skończyć się podobnie. Cóż z tego, że wygrywa w realu, że bezrobocie spada, płace rosną, bieda wśród rodzin maleje, skoro za chwilę może przegrać wybory wirtualnej bańce, którą pompują pospołu z PO i mediami Komisja Europejska oraz rozmaici zagraniczni sojusznicy opozycji nazywającej samą siebie „totalną”?

Jak zareagować? Jeśli wierzyć Piotrowi Zarembe, który kwestię opisał niedawno w „Dzienniku Gazecie Prawnej”, pierwszą reakcją jest powrót ustawy dekoncentracyjnej. Bat na telewizję i gazety należące do kapitału zagranicznego, bo skrajnie nieobiektywnie relacjonowały m.in. okupację Sejmu przez rodziców osób niepełnosprawnych. Nad sensem i skutecznością dekoncentracji (zwanej też czasem depolonizacją) zastanawiałem się już jakiś czas temu w „Do Rzeczy”, przypominając, że rzetelna, konserwatywna „Rzeczpospolita” Pawła Lisickiego należała do Brytyjczyków, a dzisiejsza należy do polskiego kapitału (Grzegorz Hajdarowicz) i jest nie do odróżnienia od „Gazety Wyborczej”. Może więc nie tylko w narodowości inwestora tkwi problem? Nie zmienia to faktu, że sytuacja, szczególnie na rynku gazet lokalnych,

zdominowanym przez inwestorów niemieckich, jest patologiczna. Na razie doniesienia Zaremby PiS zdementował. Jak będzie – zobaczymy.

Główna droga kontrataku została określona już wcześniej. Nazywa się „polityka społeczna”. Krótko mówiąc, trzeba wyborcom dać jeszcze więcej, żeby nie zapomnieli, że to PiS jest ich dobrodziejem. Stąd nowe pomysły: program „Mama plus” (m.in. darmowe leki dla kobiet w ciąży), wyprawka szkolna (po 300 zł w gotówce na ucznia) itd.

Politycy PiS oburzają się, gdy ktoś im zarzuca, że chcą „przekupić Polaków”, ale sami zachowują się tak, jakby chcieli uzasadnić tę tezę: nie idzie nam na innych frontach, no to bach! – zaczniemy kolejny program społeczny. Jednak ludzie szybko i łatwo przyzwyczajają się do tego, co dobre, zaś worek z budżetowymi pieniędzmi nie jest bez dna. Opozycja natomiast (na razie SLD) odkryła już, jak można zneutralizować te działania. Otóż wystarczy, tak jak Włodzimierz Czarzasty, powiedzieć, że polityka społeczna PiS jest uzasadniona, i obiecać, że nic się nie będzie zmieniać w tej kwestii. SLD już to rozumie, PSL również (w dodatku ma własne pomysły prorodzinne i prospołeczne), podejrzewam, że do czasu wyborów parlamentarnych zrozumie to także PO. Wtedy łatwo będzie przekonywać wyborców, że na wymianie władzy niczego nie tracą, za to mogą zyskać bardziej spokojny rząd, nieopadający w „PiS-owskie szaleństwa”. W okopach gospodarczego liberalizmu zostaną w Polsce już tylko zwolennicy kapitalizmu ludowego z Kukiz’15 oraz zwolennicy kapitalizmu korporacyjnego z Nowoczesnej. No i jak zawsze radykalni korwiniści-mikkeaniści.

Niewątpliwie PiS rozmaitymi socialnymi transferami naprawia fatalne i wstydlive zaniedbania ćwierćwiecza III RP, coraz częściej przyznają to nawet jego przeciwnicy. Czy nie obciąża nadmiernie sfery redystrybucji, zbyt mało starając się wyzwolić energię Polaków przedsiębiorców – to temat na inną dyskusję. Wydaje też pieniądze tam, gdzie naprawdę trzeba: na infrastrukturę, na inwestycje.

Uwagę chciałem zwrócić na inną kwestię: czy aby występująca w PiS obawa, że trzeba nieustannie przypominać wyborcom, „kto jest dla nich hojny”, nie oznacza przyznania się do tego, że teoria o przebudzeniu narodu w roku 2015

nie została zarzucona nawet przez tych, którzy o niej najgłośniej mówili?

KRUCHA KOALICJA I ŚLALOM

Wedle teorii „przebudzenia” po ciemnych latach rządów PO-PSL Polacy w roku 2015 otrząsnęli się z zaczadzenia kłamstwem, nastąpiły patriotyczny przełom i otrzeźwienie oszukiwanych od lat wyborców. Prawda jest trochę bardziej skomplikowana. Polacy, owszem, mieli serdecznie dość Platformy, ale wcale to nie oznacza, że wszyscy zamienili się w miłośników Kaczyńskiego, Szydło i żołnierzy wyklętych.

PiS rządzi samodzielnie, bo do Sejmu nie weszły lewica i partia Korwin-Mikkego (niewiele brakowało). Zjednoczona Prawica nie ma w rządzie Samoobrony i LPR, ale tak naprawdę zarządza kruchą koalicją. Jest silna poparciem rozmaitych grup, które wsparły ją w roku 2015. Oczywiście jest tu całkiem pokaźny twardy elektorat PiS, ale są i rozmaite grupy interesu: związek zawodowy Solidarność, ruchy pro-life, jest trochę radykalnej prawicy uważającej PiS za nieco zbyt miękki (Solidarna Polska) i odrobina konserwatywnych liberałów

uważających PiS za zbyt twardy (ugrupowanie Gowina). I Rodziny Radia Maryja, i część rolników, i część przedsiębiorców zmęczonych fiskalizmem, kolesiostwem i tumiwizmem PO. Z biegiem czasu – i w miarę podejmowania kolejnych decyzji – rząd może tracić wsparcie tych grup, o ile będzie je rozczarowywał. Nie sądzę, żeby szczęśliwi byli ci, którzy liczyli na niższe podatki, żeby radowali się proliferzy, żeby szampany otwierali hodowcy zwierząt futerkowych itd.

Sądząc po sondażach, Zjednoczona Prawica już trochę traci. Pytanie: Czy tylko w sferze deklaracji (w badaniach), czy na dobre (to się okaże przy urnie)? Równie dobrze przecież może się okazać, że nawet dla rozczarowanych pozostaje wyborem mniejszego zła wobec groźby powrotu do władzy PO. Czy można wygrać wybory siłą rozpędu i pływając „rozpaczliwcem”? Można, dowodzi tego wygrana PO w roku 2011.

Jednocześnie skomplikowany ślalom wykonywany po to, by zadowolić rozmaite grupy wyborców, których interesy mogą być sprzeczne, może trochę odpychać od PiS tych, którzy nie interesują się specjalnie polityką, ale głosowali za

zmianą, bo mieli dość władzy poprzedniej i chcieli, żeby „ktoś coś wreszcie zrobił”. Bo przecież głosowali z nadzieją, że do władzy dojdą ci, którzy wiedzą, co robią, a nie raz obiecują, innym razem się wycofują, zmieniają punkt widzenia wraz z punktem siedzenia, no i jednak pokazywani są w TVN jeszcze mniej przyjemnie niż w czasach, gdy straszono nimi jako opozycją.

Łatwo mówić o zmęczeniu rządzeniem, o zużywaniu się władzy (każda się zużywa), o zadyszce z połowy kadencji i narzekać na wrogie media. Polityk powinien wiedzieć jednak, że żadne poparcie nie jest dane raz na zawsze i każdego dnia trzeba o nie walczyć. I teraz najważniejsze: kto chce, by wyborcy wierzyli, że istnieją poważne powody, by powierzyć mu władzę na kolejną kadencję, ten sam musi wierzyć, że wie, w jaki sposób tę władzę wykorzystać. Niepewność i fatalizm to rzeczy, które widać tylko w oczach przegranych. Zamieszczenie z ostatniego półrocza sprawiło, że sami politycy obozu władzy stracili pewność, czy wiedzą, dokąd i po co idą. Nie mogą więc mieć pretensji, że zauważyli to ich wyborcy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

**W OBJĘCIACH
HITLERA**

**JAK WIELKĄ MIŁOŚCIĄ
MOŻNA KOCHAĆ MORDERCĘ
MILIONÓW LUDZI?**

**100 LAT
BELLONA**

**SPOWIEDŹ
EWY BRAUN
W CINIENI HITLERA**
ANNA LERKE
BELLONA

**SPOWIEDŹ
STALINA**
SZCZEPAN ROZMOWA
ZE STARYM POLSZEWIKIEM
BELLONA

**SPOWIEDŹ
HITLERA**
SZCZEPAN ROZMOWA Z ZYGMUNTEM
BELLONA

patronat



Minister rodziny, pracy i polityki społecznej zanotowała w majowym badaniu CBOS największy spadek zaufania spośród wszystkich polityków. 22 proc. badanych stwierdziło, że nie ufa jej jako politykowi. To aż o 10 punktów procentowych więcej w stosunku do analogicznego badania z kwietnia. Spadek jej notowań to efekt trwającego 40 dni protestu osób niepełnosprawnych i ich opiekunów w Sejmie. Dla minister nie był to łatwy czas. Rafalska nadal pozostaje w pierwszej piątce najpopularniejszych polityków rządowych, ale z tego kryzysu wychodzi mocno poobijana.

Nasi rozmówcy z resortu pracy mówią, że emocjonalnie dużo ją ten protest kosztował.

Słyszymy, że „choć wydaje się twardą babką, to ta sprawa ją rozłożyła”. – Tak jakby z niej powietrze zeszło – słyszymy. Dlaczego? Po pierwsze, czuła, że to wszystko jest niesprawiedliwe, bo przecież jej rząd i jej resort zrobiły dużo, jeśli chodzi o pomoc finansową w ogóle. A po drugie, chodząc na rozmowy, była związana poleceniami z góry, które musiała firmować i przekazywać protestującym. Podobno mocno to przeżywała.

SPÓŁECZNA TWARZ PiS

Podobnie jak debatę nad wnioskiem o wotum nieufności, jaki złożyła wobec niej i wobec wicepremier Beaty Szydło opozycja. – To niełatwa dla mnie debata i z pewnością dla pani premier też nie – przyznała Rafalska.

Pod adresem Rafalskiej padło sporo mocnych słów. – Za co pani tak bardzo nie lubi najsłabszych i najbardziej potrzebujących – niepełnosprawnych, samotnych rodziców, dzieci z domów dziecka? Czyżby za to, że nie są silną i szeroką grupą głosującą w wyborach i nie można na nich zbić politycznego kapitału? – atakowała posłanka PO Marzena Okła-Drewnowicz. – Ile trzeba mieć w sobie wyrachowania, żeby poniżyć, upokorzyć i skłócić środowisko osób niepełnosprawnych albo przychodzić do nich na rozmowy i na nich krzyczeć, że minister ma swoją godność?! – dodawała posłanka opozycji.

PiS, który ma większość w Sejmie, obronił i Beatę Szydło, i Elżbietę Rafalską, co jest dla nich marnym pocieszeniem. Obie mają poczucie, że zostały mocno politycznie poobijane. – To niestety sukces opozycji – przyznaje jeden z posłów PiS. – To twarze naszej polityki społecznej, obie bardzo lubiane i dobrze oceniane przez



Kamila Baranowska

Elżbieta Rafalska do niedawna uchodziła za jeden z najmocniejszych punktów rządu Zjednoczonej Prawicy. Protest osób niepełnosprawnych w Sejmie mocno zachwiał jej wizerunkiem. Jak to wpłynie na jej pozycję polityczną?

Poobijana minister



FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Polaków. Teraz opozycja poczuła krew i będzie burzyć ich wizerunek, a wraz z nim wizerunek PiS jako partii wrażliwej społecznie – dodaje.

Premier Mateusz Morawiecki, broniąc Rafalskiej i Szydło, z rzadka odnosił się do nich personalnie, skupił się głównie na obronie polityki społecznej rządu jako całości. Nic dziwnego. Z Szydło jest skonfliktowany od dawna, między nim a Rafalską nigdy nie było zaś politycznej chemii. I nie wynikało to wyłącznie ze zwyczajowo napiętych relacji ministra pracy i ministra finansów. Powód? Rafalska była i jest zaliczana do drużyny Beaty Szydło. Znają się od dawna, pracowały razem nad społecznymi rozwiązaniami w programie PiS, które później przyszło im wdrażać w życie. Od początku dobrze się dogadywały i rozumiały, sprawnie im poszła realizacja większości obietnic, jakie PiS złożył w kampanii wyborczej. Kiedy jednak nowym premierem zostawał Mateusz Morawiecki, Rafalska wiedziała, że oznacza to zmianę priorytetów rządu. Najpilniejsze kwestie społeczne, takie jak „Rodzina 500+”, obniżka wieku emerytalnego, podwyższenie stawki godzinowej i płacy minimalnej, zostały załatwione. Teraz rząd miał się zająć gospodarką, przedsiębiorczością i nowymi wyzwaniem.

– To premier, o jakim może marzyć każdy przyszły minister rodziny, pracy i polityki społecznej. Bo jak nikt rozumie problemy społeczne i gasiła spory między mną a ministrem finansów – tak Rafalska dziękowała z trybuny sejmowej podczas debaty nad wotum nieufności Beacie Szydło. To znaczące słowa, tym bardziej jeśli przypomnimy sobie, że od 2016 r. ministrem finansów w rządzie Szydło był Mateusz Morawiecki.

Szydło także wypowiada się o Rafalskiej w samych superlatywach, nazywając ją „jednym z najlepszych ministrów zajmujących się sprawami społecznymi w ostatnich latach”. – To minister, który ma przede wszystkim ogromną wiedzę, ogromne doświadczenie, niezwykle przygotowanie i jest wybitnym ekspertem – oceniła w Polskim Radiu.

HAMBURGEROWA LEKCJA

Rafalska polityką społeczną zajmuje się niemal od początku swojej kariery zawodowej. Choć w przeszłości pochłonięta była sportem. A konkretnie, z racji wysokiego wzrostu (178 cm), koszykównia.

„To moja pasja, której poświęcałam wiele lat. Grałam, trenowałam, a potem też

pracowałam w koszykówce, bo prowadziłam zajęcia ze studentami na AWF-ie” – opowiadała w wywiadzie dla „Gazety Lubuskiej”.

Zamiłowanie do sportu zawiodło ją na AWF, którą ukończyła z wyróżnieniem. Jednak studia podyplomowe na Uniwersytecie Szczecińskim dotyczyły już organizacji i zarządzania pomocą społeczną oraz pracą socjalną i tym zajęła się już na dobre. Była urzędnikiem ds. społecznych, a później przez 11 lat radną w Gorzowie Wielkopolskim, z którym jest związana. W 2005 r. po raz pierwszy wystartowała w wyborach do parlamentu – najpierw do Senatu, potem do Sejmu. W czerwcu 2006 r. została wiceministrem w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej (ministrem była wtedy Anna Kalata z Samoobrony) w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, też gorzowianina. Na jego prośbę zresztą. Do dziś, choć ich polityczne drogi rozeszły się na dobre, Marcinkiewicz wypowiada się o niej dobrze. Mówi, że ma dobry słuch społeczny i dobrze czuje politykę społeczną.

Ten słuch zawiódł ją przy okazji głośnej afery hamburgerowej. Gdy będąc wiceministrem pracy, podróżowała pociągiem w sprawach służbowych, jej kolega Marek Surmacz, ówczesny wiceszef MSWiA (też pochodzący z Gorzowa), wysłał na peron policjantów na służbie, by podali jej hamburgery. – To była zwykła ludzka grzeczność – tłumaczył się Surmacz. Na nim i na Rafalskiej media nie zostawiły jednak suchej nitki. Dla Rafalskiej to była bolesna lekcja polityki. – Mnie osobiście mocno dotknęła afera hamburgerowa. Pomyślałam wtedy, że polityk to człowiek wyjęty spod prawa. Byłam w tym dniu 18 godzin w służbowej podróży, i to nie rządową limuzyną, a później okazało się, że nie ma okoliczności łagodzących. Nie prosiłam o hamburgery, we Wrocławiu sama zdążyłam kupić bułki, dlatego cały atak odebrałam jako niesprawiedliwy. A jechałam pociągiem, bo nie chciałam ciągnąć samochodu i kierowcy – tłumaczyła „Gazecie Lubuskiej”. Krótko po tej aferze odeszła z resortu, powołując się na względy rodzinne.

Tamto wydarzenie sprawiło, że lepiej zrozumiała politykę. Dzisiaj jest pełnokrwistym politykiem, co widać choćby po jej sejmowych wystąpieniach i utarczkach z opozycją. Programów swojego resortu broni jak lwica.

„W świecie polityki nie jest tak, że bierną postawą zdobywa się miejsce, że jest to dostrzegane. Odłóżmy między bajki takie

wyobrażenie. Umiejętności, zdolności, odwaga, kompetencje, doświadczenie – to się liczy. Tu już nie ma płci, nie ma pieszczot. Z tego właśnie powodu selekcja kobiet w polityce jest znacznie większa. Kobiety muszą ciągle potwierdzać, że są dobre. Raz zdobytej pozycji nie mają danej na zawsze” – mówiła w jednym z wywiadów parę lat temu.

W 2013 r. Rafalska weszła w skład komitetu politycznego PiS, czyli ścisłego kierownictwa partii. Jej relacje z Jarosławem Kaczyńskim nie są złe, choć w PiS krążą opowieści o tym, że prezes miał jej za złe, iż wykreowała się na jedyną twarz programu „Rodzina 500+”. Gdy te pogłoski dotarły do jej uszu, w wypowiedziach medialnych zaczęła podkreślać, że to prezes PiS jest pomysłodawcą programu. – Nie ma dwóch zdań, że ojcem „500+” jest Jarosław Kaczyński, i zapewniam państwa, że DNA nie trzeba sprawdzać – mówiła na jednym ze spotkań z wyborcami. Opowiadała, jak z Beatą Szydło pracowały nad programem społecznym PiS. – Wtedy prezes Jarosław Kaczyński, oglądając te nasze pomysły, powiedział: to jest za mało, to musi być mocniejsze działanie. I wtedy powiedział o takim świadczeniu, jakie dzisiaj mamy, i o wysokości tego świadczenia, które rodziło olbrzymie skutki finansowe – mówiła.

CIĄGŁE POTRZEBNA

Dzisiaj w PiS słyszymy, że nawet jeśli poobijana, Rafalska jest PiS potrzebna. Jest sprawnym ministrem i tym się broni. Prezes zaś wychodzi z założenia, że takie ataki opozycji budują charakter polityka, więc obserwuje uważnie, co się dzieje i jak kto na nie reaguje. I potrafi docenić, że doprowadziła do końca to, co jej powierzono. – Sprawy społeczne to nasz wielki powód do dumy: „500+”, emerytury, płaca minimalna, walka z umowami śmieciowymi. To jest zmiana ustroju społecznego Polski; bardzo dobra robota – mówił na kongresie programowym partii w Przysusze w 2007 r., zwracając się właśnie do Rafalskiej.

Janusz Płaczek, trener koszykówki, który trenował Rafalską, opisywał w wywiadzie dla TVN24, że jako zawodniczka była „waleczna i zadziorna”. – Potrafiła wprowadzić ducha walki, to był taki zdecydowany kapitan, prawa ręka trenera na boisku. Wzór zawodniczki, którą każdy trener chciałby mieć – mówił.

Widać Jarosław Kaczyński wciąż uważa podobnie.



Bauman zdekomunizowany



Tadeusz Płużański

Oficer polityczny LWP, agent krwawej Informacji Wojskowej, a przede wszystkim funkcjonariusz zbrodniczego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, czyli odpowiednika wojsk wewnętrznych NKWD – mjr Zygmunt Bauman – pojawił się w przestrzeni publicznej jako ofiara komunizmu

W maju z inicjatywy fundacji Klamra i Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN przy współpracy z Zarządem Dróg Miejskich na filarach mostu Gdańskiego w Warszawie

powstał mural przedstawiający ofiary Marca 1968 r., w tym Zygmunta Baumana. Galerię „Witamy w domu” wsparło m.in. Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita”.

Kilka dni później mural został zamalowany napisami: „Morderca”, „Major UB”. Oburzona „Gazeta Wyborcza” znów pisała o szarganiu dobrego imienia wybitnego socjologa, filozofa i profesora uniwersytetu w Leeds, twórcy koncepcji płynnej nowoczesności. A muzeum POLIN wyjaśniło, że „był jedną z osób, które po wydarzeniach Marca '68 opuściły Polskę z falą emigracji spowodowaną antysemicką nagonką i represjami”. W końcu współautor baumanowego muralu, Dariusz Paczkowski, oświadczył, że „ziściły się oczekiwania społeczne”, „zamalujemy twarz Baumana” i „po muralu zostanie tylko ceramiczna, kwiatowa mozaika”.



FOT. ZBYSZEK MALCZAK/REDAKCJA GAZETY POLSKA FORUM

ptaki, a kocha ludzi i róże. Zaangażowanie w partię komunistyczną załatwiono cytatem: „Byłem jej oddany całą duszą. Idee komunistyczne stanowiły kontynuację Oświecenia”. A w życiu Bauma- na oprócz dowcipów wśród alkoholu i kwiatków stało się wiele – i to naprawdę wiele – złego.

Zygmunt Bauman to bowiem nie tylko ceniony, szczególnie w lewicowych kręgach, naukowiec. To nie tylko marcowy emigrant, który od ponad 40 lat mieszkał w Leeds i do 1990 r. kierował Katedrą Socjologii tamtejszego uniwersytetu. To oficer polityczny „ludowego” Wojska Polskiego, funkcjonariusz zbrodniczego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i agent innej sowieckiej jednostki, jeszcze bardziej krwawej – Informacji Wojskowej.

W „GW” czytaliśmy również o partnerce Baumana: „makijaż, biżuteria, pończochy i buty na obcasie. I lwowskie przeciągane »eł«”. To Aleksandra Jasińska-Kania, córka agenta NKWD Bolesława Bieruta (wcześniej Bauman był promotorem jej pracy doktorskiej „Karol Marks a problemy alienacji we współczesnej socjologii amerykańskiej”). Towarzysze mieszkali w dwupiętrowym jednorodzin- nym domku, w spokojnej, pełnej zieleni dzielnicy Leeds, z dala od centrum.

PAŹDZIERNIK 2016

W jednym z nielicznych wywiadów (dla brazylijskiego tygodnika „Valor”) Zygmunt Bauman powiedział: „Miejmy nadzieję, że bałagan wywołany przez całą awanturę z brexitem w Zjednoczo- nym (na razie) Królestwie może stać się najlepszą trzeźwiącą miksturą dla zaczadzonych na tyle, że dających wiarę podszeptom plemiennego euroscepty- cyzmu w innych krajach Wspólnoty”. To tylko próbka ponowoczesnej twórczości Baumana, który pisząc o „antyunijnych buntownikach”, miał na myśli również (a może przede wszystkim) Polskę.

WRZESIEŃ 2016

W Asyżu świętowano 30. rocznicę ekumenicznego spotkania modlitew- nego zorganizowanego w tym mieście w 1986 r. przez Jana Pawła II, z udziałem duchowych przywódców największych religii świata. Wśród katolików, prawosławnych, protestantów, muzułmanów, buddystów, hinduistów czy wyznawców judaizmu znalazł się... Zygmunt Bauman. Siedział w najbliższym otoczeniu Fran-

ciszka i wygłosił – obok m.in. patriarchy Konstantynopola Bartłomieja I – jedno z głównych przemówień. Mówił o re- wolucji kulturalnej, która prowadzi od struktur plemiennych przez państwa narodowe do kosmopolitycznej spo- łeczności globalnej. Nie wiadomo tylko, której religii przedstawicielem był na tym spotkaniu Bauman.

CZERWIEC 2014

„Kiedy profesor Bauman został zapowiadany przez organizatorów konferencji, na salę wtargnęło 5–6 Po- laków z ogolonymi głowami, śpiewając »a na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści«, »zdrajca« i »komuch«. Po odśpiewaniu opuścili budynek. Nie zostali złapani” – ubolewała „Gazeta Wy- borcza”. To relacja z konferencji „Polityka w czasach trwogi”, zorganizowanej przez uniwersytet w Manchesterze.

„GW”: „Dr Przegalińska [Aleksandra Przegalińska z Akademii Leona Koźmiń- skiego, jedna z uczestniczek konferencji – przyp. red.] rozmawiała po incydencie z prof. Baumanem. – Był przygnębiony. Powiedziałam mu, że na sali są także inni Polacy, którzy dialog na temat przeszło- ści wyobrażają sobie inaczej. Profesor powiedział później podczas wykładu, że różnica między tymi, którzy rozumie- ją, czym jest dialog, a tymi, którzy nie rozumieją, jest taka, że ci drudzy potrafią rozmawiać tylko z tymi, którzy się z nimi całkowicie zgadzają – opowiada filozo- fka”. I dalej „GW”: „Zdarzenie poruszyło obecnych na konferencji Brytyjczyków. »Przemówienie Baumana przerwane na krótko przez jakieś odrażające, prawi- cowe śpiewy« – odnotował na Twitterze doktorant Benjamin Coulson”.

PAŹDZIERNIK 2013

Wrocław. Debata zorganizowana w tamtejszym Teatrze Współczesnym pod znamiennym tytułem: „O brunatnej Polsce”, która odbywała się w ramach nie mniej intrygującego Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Dialog – Wrocław. Oprócz Zygmunta Baumana wzięli w niej udział: filozofka Magdalena Środa, publi- cysta Jacek Żakowski oraz pełnomocnik rządu ds. równego traktowania Agniesz- ka Kozłowska-Rajewicz.

Przeciwni udziałowi w debacie Bau- mana członkowie stowarzyszenia Odra- -Niemen oraz Młodzieży Wszechpolskiej nie wznosili żadnych antykomunistycz- nych haseł. W ramach tzw. milczącego

Przypomnieć warto, że w takim duchu – wyłączenie jako z ofiarą komunizmu – rozmawiał z Zygmuntem Baumanem w 2013 r. w TVP2 Jacek Żakowski. Nie mogło być inaczej, skoro w 2007 r. w rozmowie z brytyjskim „Guardianem” profesor przedstawił klarowną wykład- nię: „Czuję się bardziej ofiarą”.

STYCZEŃ 2017

Media pożegnały zmarłego Zygmunta Baumana. Prym wiodła „Gazeta Wy- borcza”, która podkreślała jego cechy charakteru: był „uzdolniony wokalnie [...], dowcipny. Czarujący. Ironiczny. Auto- również, choć z dozą kokieterii”. Lubił whisky, truskawki z jogurtem,

protestu trzymali portrety żołnierzy wyklętych. Będą potem z tego powodu ścigani.

A ponieważ Bauman był też zaproszony na debatę naukową do Poznania i Gdańska, tam również protestowali przeciwko jego występowi młodzi Polacy.

CZERWIEC 2013

Zygmunt Bauman gościł na Uniwersytecie Wrocławskim na zaproszenie prezydenta miasta Rafała Dutkiewicza. Jego wykład został przerwany przez młodych ludzi skandujących m.in. hasła: „Precz z komuną!”. Potem kilku z nich, w tym kibice klubu Śląsk Wrocław i narodowcy – ku satysfakcji „Gazety Wyborczej” – zostało za to skazanych na kary 20–30 dni aresztu, a 12 dostało grzywny od 1 do 6 tys. zł.

Przypomnijmy jeszcze, że prekursorem zaproszeń majora KBW do Wrocławia był minister kultury Bogdan Zdrojewski, który gościł Bauman na Europejskim Kongresie Kultury w 2011 r. Zdrojewski zresztą najwyraźniej upodobał sobie stalinowca – rok wcześniej przyznał mu Złoty Medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”.

Schizofrenia III RP polegała m.in. na tym, że zamiast ścigać prawdziwych przestępców, w tym zbrodniarzy komunistycznych, aresztowano i skazywano ludzi, którzy o takich zbrodniarzach przypominali i nie życzyli sobie ich obecności w murach polskich uczelni. Ludzi, dla których skandowanie i wywieszanie transparentów: „Precz z komuną!” było aktem desperacji. Major Bauman zamiast o swojej przeszłości lubił bowiem dyskutować o swoich ponowoczesnych (postalinowskich) koncepcjach. Nigdy nie stanął w prawdzie, nigdy nie przeprosił. Tymczasem III RP powinna była skazać właśnie jego.

W WALCE Z BANDAMI

W dokumencie z 1950 r., kiedy – po pięciu latach służby w KBW – dostał awans na majora, czytamy: „Jako szef Wydziału Polityczno-Wychowawczego operacji bierze udział w walce z bandami [polskim podziemiem niepodległościowym – przyp. red.]. Przez 20 dni dowodził grupą, która wyróżniła się schwytaniem wielkiej ilości bandytów. Odznaczony Krzyżem Walecznych”. I dalej: „W zagadnieniach politycznych zajmuje bardzo prawidłowe stanowisko. Bardzo wnikliwy i spostrzegawczy

w analizie politycznej, szczególnie czujny na błędy ideologiczne. W pracy wykazuje duży talent organizatorski, bardzo szeroką inicjatywę, rozmach w realizacji i samodzielność. Umie wyciągać niewykorzystanych ludzi na poważną pracę. Ofiarny i bezinteresowny”. I w końcu: „Mjr Bauman ma przed sobą poważną perspektywę naukową”. Dokument podpisali: „Szef Zarządu Politycznego Bibrowski płk.” oraz „Dowódca Korpusu Bezp. Wewn. Hübner gen. bryg.”.

I tak służący wcześniej (w 1944 r.) jako oficer polityczny „ludowego” Wojska Polskiego, a zarazem agent Informacji Wojskowej Zygmunt Bauman został skierowany na inny front walki ideologicznej i ostatecznie został profesorem.

Schizofrenia III RP polegała na tym, że zamiast ścigać prawdziwych przestępców, skazywano ludzi, którzy o nich przypominali

A jeszcze wcześniej – po ucieczce z Polski we wrześniu 1939 r. (zamiast walczyć z okupantami) – służył w sowieckiej milicji w Moskwie, która bezpośrednio podlegała NKWD i do której nikt z ulicy nie mógł trafić.

I to jest właśnie powód, dla którego Bauman nie może być świeckim świętym. Bo ścigany karnie już nie będzie. Jednak kiedy żył, wymiar sprawiedliwości III RP nie sprawdził, na czym polegała jego walka z bandami. Czy na tym, że jako dowódca wydawał rozkazy? Czy może sam strzelał do „bandytów”? Zresztą każdy z tych przypadków polskie prawo kwalifikuje jako zbrodnię komunistyczną, która nie ulega przedawnieniu.

„PRZEŚLADOWANY”

„... że byłem komunistą, ale to nic nowego, wszyscy to wiedzą – pomiędzy 1946 i 1967 – i że przez kilka lat służyłem w tzw. korpusie bezpieczeństwa wewnętrznego” – mówił „Guardianowi” Bauman.

Zachodni czytelnik nie dowiedział się, czym był KBW. Oprócz tego, że zwalczał „terroryzm wewnątrz kraju”. Jednak kim byli owi „terroryści”?

Donosy na kolegów w ramach Informacji Wojskowej Bauman tłumaczył ponowocześnie: „Każdy porządny obywatel powinien uczestniczyć w kontrwywiadzie”. Na pytanie, czy jego donosy mogły komuś zaszkodzić, odparł: „Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie wydaje mi się, żeby tak było”. I już, słowo profesora jest święte.

Przypomnijmy zatem opinię oficera prowadzącego TW Semjona (czyli Bauman). Jego zdaniem agent był „dobrze wyszkolony. Materiały jego są cenne i dają analizę pracy aparatu polityczno-wychowawczego”. A Bauman tak podsumował swoją współpracę z IW: „Współpracowałem przez 2–3 lata, a przez 15 lat bezpieczeństwa mnie prześladowała”.

A przecież przez te wszystkie lata, kiedy był „prześladowany”, wykładał dalej: na Uniwersytecie Warszawskim i w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy Komitecie Centralnym PZPR – kuźni sowieckich kadr. Kształcił kolejnych homo sovieticus, najpierw bardziej stalinowskich, potem bardziej rewizjonistycznych. Okupacyjna władza wciąż bowiem potrzebowała nowych „elit”, które zastępowały te prawdziwe, przedwojenne.

NAUKOWIEC

Dodać warto, że naukowa kariera Bauman rozpoczęła się, zanim ruszył w teren, by ścigać niepodległościowców. Studia podjął w 1943 r. na sowieckich uniwersytetach, choć dla zwykłego obywatela polskiego nie było to możliwe (tak jak służba w moskiewskiej milicji). Potem, będąc w KBW, uczył się w partyjnej Akademii Nauk Społecznych i Politycznych, a następnie na Uniwersytecie Warszawskim (promotorem jego magisterium był słynny marksistowski ideolog prof. Adam Schaff). Jako asystent innego stalinowca – Juliana Hochfelda – zrobił błyskawiczną karierę naukową – w 1956 r. obronił pracę doktorską, a cztery lata później zrobił habilitację.

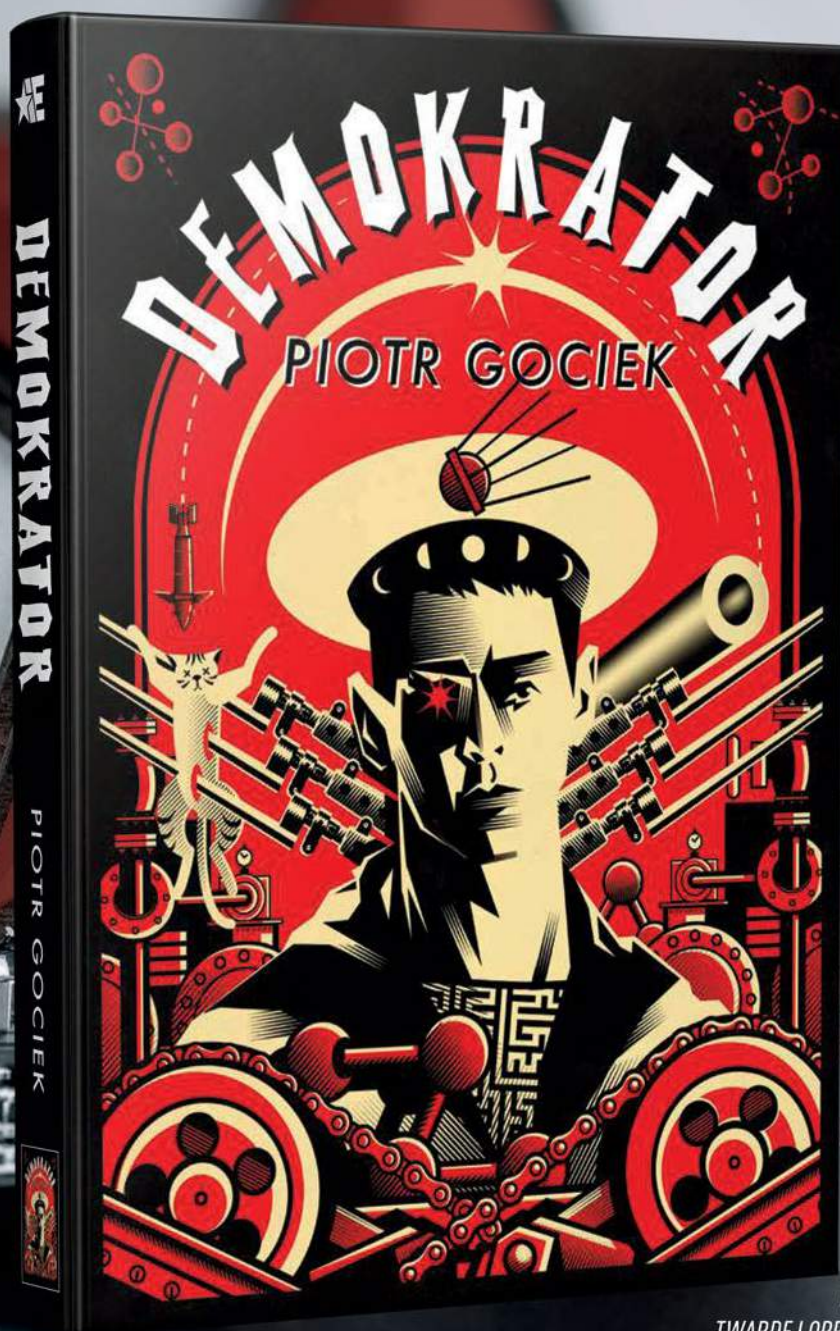
Po 1968 r. Zygmunt Bauman został sławą naukową na Zachodzie, pisał, wykładał na uczelniach. Również w Tereńskich na Podlasiu, gdzie był rektorem Uniwersytetu Powszechnego im. Jana Józefa Lipskiego. Młode, ponowoczesne kadry dalej płynnie wykuwał. Płynnie przepisywał też treści z Wikipedii bez podania źródeł.

Czy rzeczywiście był jedynie ofiarą Marca 1968 r. i zasłużył na mural przy Dworcu Gdańskim w Warszawie?

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą, prezesem fundacji „Łączka”.

NIE MA UCIECZKI PRZED DYKTATURĄ.
NIE MA RATUNKU PRZED MANIPULACJĄ
NIE MA HISTORII BEZ SUPERBOHATERÓW



EDYCJA W LIMITOWANEJ
TWARDEJ OPRAWIE JUŻ W SPRZEDAŻY

W epoce literatury traktowanej jak film na papierze Piotr Gociek odważył się poprowadzić „Demokratora” w oryginalnej stylizacji na rosyjską skazkę wykreconą w narzędzie totalitarnej propagandy. Ironia tego chwytu jest bardziej przewrotna niż sugerują doraźne odczytania powieści; one z czasem zblakną, a pozostanie mocna metafora XXI-wiecznej postdemokracji.”

Jacek Dukaj

W rzesień 2002 r. Dziesięcioletni Marcin Skotarek wraca od dziadków mało uczęszczaną pełną drogą. Kilometr przed swoim domem w niewielkiej miejscowości Lisewo Malborskie zostaje bestialsko zamordowany. Sprawca zbrodni ugodził chłopca nożem kuchennym aż 17 razy. Na ławę oskarżonych dość szybko trafia Tomasz K., niepełnosprawny umysłowo dwudziestokilkuletni mężczyzna ze Starej Wisły.

PRZYCISNĄĆ NIEWINNEGO

Wziął winę na siebie. Jednak jego opis zdarzeń nie pokrywał się z tym, w jaki sposób faktycznie zginął Marcin. Tomasz K. zeznał, że zabił, ale nie potrafił swojego czynu opisać ani wskazać miejsca zbrodni. Poza tym kilku świadków dało mu alibi. Potem Tomasz K. swoje zeznania odwołał. W liście do Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka skarżył się, że to policjanci wymusili na nim złożenie obciążających go zeznań, a prokurator „straszyła, że uderzy z całej siły”, jeżeli się nie przyzna. Prowadzący śledztwo mieli wobec zatrzymanego użyć nie tylko kija, lecz także marchewki. „Dali postrzelać z glocka 22 bez naboju, obiecali moro policyjne i kasę” – pisał Tomasz K. w liście do HFPC. Zapewniano go, że nie trafi do więzienia, tylko na leczenie. Wyrok zapadł w ekspresowym jak na polski wymiar sprawiedliwości tempie. Nie mając ani odcisków palców, ani jakichkolwiek śladów biologicznych sprawcy, a do tego rozstrzygając wątpliwości na niekorzyść oskarżonego, prokurator oskarżył, a sąd skazał Tomasza na 15 lat więzienia za zabójstwo.

Trzy lata później w Łęgowie doszło do podobnej tragedii. Sebastian w chwili śmierci był tylko o rok starszy od Marcina Skotarka, został zakatowany kilkunastoma ciosami zadanyymi nożem myśliwskim. Policja bardzo szybko zatrzymuje rozpoznanego niedaleko miejsca zbrodni Piotra Trojaka. 28-latek przyznaje się do winy. Zapytany podczas wstępnego przesłuchania o to, czy już kiedyś zabił, Trojak zaskakuje odpowiedzią twierdzącą. Ze szczegółami opowiada policjantom szczegóły zbrodni pod Lisewem Malborskim sprzed trzech lat. Przytacza fakty, o których nie mógł dowiedzieć się z mediów. Postępowanie w sprawie śmierci 10-letniego Marcina zostaje wznowione. Tomasz K. po prawie czterech latach odsiadki wychodzi na wolność. Jako skazany za morderstwo dziecka za krat-



Maciej Pieczyński

Tomasz Komenda nie jest pierwszym, który siedział za niewinność. Niewinnie skazani płacą za błędy policjantów, biegłych, prokuratorów, sędziów...



Tomasz Komenda spędził w więzieniu 18 lat za zbrodnie, których nie popełnił

FOT. KRZYSZTOF KANIEWSKI/REPORTER

Ślepa Temida

kami przeżył piekło. Mediom wyznał, że był zmuszany do picia płynu do naczyń, pasty do butów, bity i gwałcony.

Po przekroczeniu bram więzienia zaśpiewał: „Niech żyje wolność, wolność i swoboda...”. Dostał 300 tys. zł odszkodowania. Na pełną sprawiedliwość trzeba było jednak jeszcze poczekać. Piotr Trojak równie nieoczekiwanie jak przyznał się do winy, tak swoje zeznania odwołał już w trakcie procesu. Początkowo więc został skazany „jedynie” za swoją drugą zbrodnię. A wydawałoby się, że sprawa jest rozstrzygnięta. Tym bardziej że już w 2002 r., podczas śledztwa w sprawie

zabójstwa w Lisewie Malborskim, świadkowie rozpoznali Piotra Trojaka – przejeżdżał obok miejsca zbrodni tuż przed jej dokonaniem. Prokurator jednak nie zdecydował się postawić mu zarzutów, mimo że przecież wcześniej Trojak przyznał się do tego konkretnego czynu. Po kilku latach sprawą znów zainteresowali się śledczy. Ostatecznie Trojak przyznał się do zbrodni. W 2014 r. został ponownie skazany, tym razem za mord w Lisewie.

To miał być zwykły dzień w pracy woźnego. Jan Krawiec odśnieżał właśnie chodnik pod domem kultury w Krośnie, gdy przyjechał po niego policyjny

radiowóz. Okazało się, że jest podejrzany o gwałt na młodej kobiecie, do którego doszło w mieście miesiąc wcześniej.

– Powiedzieli, że zabiorą mnie na przesłuchanie. Podpuścili mnie. Bałem się, że jak trafię do więzienia, to stracę pracę. A to było moje jedyne źródło utrzymania. Obiecali, że jak powiem, że to ja zrobiłem, dostanę tylko dozór policyjny



i dalej będę mógł pracować – taką wersję przedstawił Krawiec w rozmowie z portalem Nowiny24. Został jednak tymczasowo aresztowany. Za kratami czekał na wynik badań DNA, który ostatecznie przesądził o jego niewinności. Twierdzi, że jako „gwałtowiec” traktowany był przez współwięźniów „jak śmieć”. Po pięciu miesiącach Krawiec wyszedł z aresztu. Zanim jednak zapadł prawomocny wyrok uniewinniający, „wyrok skazujący” wydał pracodawca niesłusznie oskarżonego. Jan Krawiec dostał wypowiedzenie.

CUDZYM KOSZTEM

Wymienione powyżej przypadki, podobnie jak sprawa Tomasza Komendy, mimo wszystko zakończyły się pomyślnie dla niesłusznie oskarżonych. Nie zawsze jednak Temida naprawia swoje błędy. Z założenia nie powinno się komentować decyzji niezawisłych sądów, ale wyrok w sprawie morderstwa

w Giżycku sprzed 20 lat do dziś wzbudza wielkie kontrowersje.

Dwóch nastoletnich braci zostało napadniętych nad jeziorem Niegocin przez grupę sprawców. Jedenastoletniego Szymona utopili, zaś starszego o cztery lata Adama zakatowali na śmierć. Na ławie oskarżonych zasiadło pięć osób. Dwudziestoletni Marcin Ch. i Krzysztof K. najpierw dostali 25 lat, a po interwencji prokuratora sąd drugiej instancji skazał ich na dożywocie. Trzej pozostali otrzymali po 25, 8 i 7 lat odsiadki. Sprawą zainteresowała się Helsińska Fundacja Praw Człowieka, która broniła przed sądem dwóch oskarżonych, program na temat nieprawidłowości w śledztwie nakręciła telewizja Polsat. Marcin i Krzysztof nigdy nie przyznali się do winy. Wyrok w ich sprawie zapadł na podstawie zeznań pozostałych trzech oskarżonych. Dowodów rzeczowych, przesądzających o winie, brak.

Maria Ejchart-Dubois z HFPC w wypowiedziach dla mediów sugerowała, że Marcin i Krzysztof zostali wrobieni przez resztę oskarżonych, którzy „chcieli się wybielić”. „Jeden z mężczyzn, który obciążył naszych klientów, wcześniej był przesłuchiwany w charakterze świadka. Mógł usłyszeć: »Jeśli się przyznasz i ich obciążysz, to nie będzie dla ciebie tak najgorzej«. I rzeczywiście nie było. Dostał 25 lat. Nasi klienci dostali dożywocie” – mówiła Ejchart-Dubois w rozmowie z Radiem TOK FM. Robert T., bo o nim mowa, wielokrotnie zmieniał zeznania. Już w trakcie odsiadki na przemyconym do więzienia dyktafonie nagrano z nim rozmowę, w której przyznał, że skazani na dożywocie sprawcy są niewinni. Nie tylko nie brali czynnego udziału w zbrodni, lecz także nie było ich na miejscu zdarzenia. Z morderstwem mieli tyle wspólnego, że jeden z nich znał Roberta T. Według tej wersji Robert T. wskazał na nich podczas przesłuchania, aby chronić prawdziwych współsprawców. Nie doszło do konfrontacji pomiędzy oskarżonymi. Nagranie z za krat nie zostało wzięte pod uwagę przez Sąd Najwyższy. Nawet przedstawicielka HFPC przyznała, że ma ono niewielką wartość dowodową.

POMYŁKI BYŁY, SĄ I BĘDĄ?

Za pomyłki sędziowskie, które niszczą ludziom życie, często odpowiadają biegli sądowi. Tak było w przypadku ostatnio najgłośniejszej sprawy. Zespół specjalistów pod kierownictwem wybitnego patologa orzekł błędnie, że ślady na ciele ofiary

pochodzą od zębów Tomasza Komendy. Katarzyna Wójtowicz-Garcarz z Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury na łamach „Rzeczpospolitej” opisała sprawę 65-latką, która ze świadka stała się niesłusznie oskarżoną. Powód? Zgłosiła na policję niepokojący rysunek wnuczki, na którym przedstawiła, jak jej własny ojciec ją molestuje. Badania medyczne dziewczynki wykluczyły stosunek seksualny. Przesłuchania jej rodziców oraz babci również nie dały ostatecznej odpowiedzi. Sąd zwrócił się więc po ekspertyzę do biegłego psychografologa. Ten stwierdził, że rysunek musiała wykonać babcia i zgłosiła sprawę, by zmylić trop. Babcia zasiadła na ławie oskarżonych. Kolejni biegli orzekli, że to jednak dziewczynka była autorką rysunku. W końcu wnuczka uratowała babcię, przyznając się, że narysowała molestującego ją ojca, by zrobić mu na złość...

Barbara Piwnik w rozmowie z „Super Expressem” tak podsumowuje sprawę pomyłek sędziowskich w kontekście sprawy Komendy: „Obojętne, czy mamy do czynienia z biegłym z zakresu ruchu drogowego, psychologii, ekonomii, czy psychiatrii, sędzia musi mieć takie przygotowanie, aby móc wejść w merytoryczną dyskusję z autorem opinii, mieć umiejętność jej krytycznej oceny. Nie może być tak, by o wyroku decydowała wyłącznie opinia biegłego”.

W wielu przypadkach, tak jak w sprawie mordu w Lisewie Malborskim, do skazania niewinnego człowieka prowadzi zdaniem ekspertów zbyt mocna wiara w szczerość samooskarżeń podejrzanego. – Ludzie przyznają się do winy z różnych powodów, czasem po to, by chronić kogoś bliskiego. Nie można tego traktować jako najważniejszego, decydującego argumentu w sprawie. Przyznanie się podejrzanego do winy nie może być „królową dowodów” – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” sędzia Wiesław Johann, wiceprzewodniczący KRS. – Poza tym pomyłki sędziowskie zdarzają się, odkąd w ogóle funkcjonuje wymiar sprawiedliwości. Często są to zwykła ludzka niechlujność, niedbałość, niezbadanie sprawy w kontekście wszystkich okoliczności, próba pójścia na skróty – dodaje.

Pomyłki Temidy drogo nas kosztują. W 2017 r. za niesłuszne pozbawienie wolności wypłacono w Polsce łącznie 1 mln zł odszkodowań. Pół miliona państwo zapłaciło za niesłuszne skazania, zaś 4 mln – za niesłuszne areszty.



Nowe ACTA?

FOT: FOTOLIA



Łukasz Warzecha

Czy autorzy treści będą wreszcie wynagradzani za używanie ich utworów, czy może w Internecie nastąpi bałagan i zapanuje cenzura?

W 2012 r. na całym świecie, także w Polsce, na ulicach pojawili się ludzie w maskach Guya Fawkesa, inicjatora spisku prochowego w Anglii na początku XVII w. Maski jako swój symbol zaadaptował ruch Anonymous, protestujący wówczas przeciwko międzynarodowej umowie ACTA, która miała ukrócić internetowe piractwo. Obawiano się jednak, że w istocie posłuży cenzurze. Premier Tusk pod wpływem nacisków zmienił początkowe stanowisko Polski i zrezygnował z ratyfikowania umowy.

Dzisiaj po cichu zbliża się regulacja, którą niektórzy określają jako nowe ACTA. Za kilkanaście dni Parlament Europejski będzie głosował nad Dyrektywą UE o prawach autorskich na jednolitym

rynku cyfrowym. To już ostatni etap przed wypracowaniem ostatecznego brzmienia przepisów. 25 maja Rada UE zaaprobowała tekst, nad którym pracuje teraz PE i który zostanie poddany głosowaniu plenarnemu 20 lub 21 czerwca.

Na alarm biją europosłowie kojarzeni z ugrupowaniami libertariańskimi, a także lewicowymi. Nawet jeśli to przesadzone obawy, to skutki dyrektywy mogą być potężne i trudne dziś do przewidzenia.

PODATEK OD LINKÓW

Teoretycznie zamiar był szczytny: skonstruować mechanizm, który pozwoli autorom czerpać wreszcie korzyści z tego, że ich treści pojawiają się później w sieci w różnych miejscach, nie tylko jako cytaty w artykułach innych autorów, lecz także jako wyimki (po angielsku snippets), zrzuty ekranu czy nawet w formie memów. Problem w tym, że przy niekorzystnej interpretacji przepisów może dojść do paraliżu sporej części znanej nam internetowej aktywności.

Kluczowe są dwa artykuły dyrektywy – 11 i 13. Ostatnia wersja art. 11 mówi, że prawa autorskie dotyczą wykorzystywania publikacji prasowych przez podmioty obsługujące społeczeństwo

informacyjne, poza – co bardzo ważne – „nieistotnymi” (insubstantial) częściami publikacji, które nie są produktem wysiłku intelektualnego lub bez kontekstu nie mają znaczenia ekonomicznego.

Co to oznacza? Wszystkie te portale, gdzie pojawia się „istotny” (w kontraście do „nieistotnego”) fragment utworu (tekstu, zdjęcia, filmu itd.), do którego ktoś ma prawa autorskie, musiałyby od ich właściciela kupić licencję na prezentowanie tegoż fragmentu. Takie fragmenty pojawiają się nie tylko na stronach czy w popularnych aplikacjach, będących tzw. agregatorami treści, ale przede wszystkim w naszych własnych postach, które umieszczamy w mediach społecznościowych lub w komentarzach na dowolnych portalach, jeśli tylko umieszczamy w nich już choćby link do jakiegoś materiału. Wiele portali na podstawie linku automatycznie generuje jego opis wraz z fragmentem tekstu, tak aby inni widzieli, dokąd łączyć prowadzić.

Rozwiązanie, które wdrażałaby dyrektywa, nazywa się potocznie podatkiem od linków. Jak nietrudno się zorientować, kluczowe w tym przepisie jest stwierdzenie, co jest istotną, a co nieistotną częścią utworu. Nieistotność trudno

jednak zdefiniować i pojawił się tutaj spór pomiędzy państwami członkowskimi, więc ostatecznie zdecydowano, że każde państwo podejmie w tej sprawie decyzję samo. Do jakiego chaosu może to doprowadzić – nie trzeba tłumaczyć. Wyobraźmy sobie, że polski użytkownik umieszcza fragment tekstu, opublikowanego przez francuską gazetę, w memie, który wkleja na amerykańskim portalu społecznościowym. Jedno jest w takim przypadku pewne: prawnicy będą zarabiać ogromne pieniądze. Krytycy regulacji twierdzą również, że takie rozwiązanie nie ma zgoła nic wspólnego z tworzeniem jednolitego rynku cyfrowego.

„Podatek od linków” może mieć dwójaki skutek. Właściciele wielkich portali lub agregatorów wiadomości nie będą mieli problemów, żeby podpisać umowy licencyjne z wieloma dostawcami treści lub z organizacjami, które przejmą od wydawców zarządzanie ich prawami autorskimi. Inna sprawa, czy nie będą przy tym chciały skorzystać z okazji i zablokować swoim użytkownikom możliwości zamieszczania odesłań do treści, z którymi z powodów ideologicznych się nie zgadzają. Wyobraźmy sobie, że wielkie społecznościowe medium X podpisuje umowy ze wszystkimi dostawcami treści o profilu lewicowym, ale z żadnym o profilu konserwatywnym. Wolno mu, jego wybór. Skutek jest taki, że z powodu braku licencji użytkownicy tracą możliwość umieszczania na portalu X odesłań do konserwatywnych tekstów.

Z całą pewnością problem będą mieć mniejsze portale. One nie mają ani pieniędzy, ani możliwości organizacyjnych, żeby podpisać umowy licencyjne z tysiącami podmiotów (lub z organizacją tychże reprezentującą). Dlatego albo technicznie wyeliminują, na ile się da, możliwość umieszczania odesłań do jakichkolwiek zewnętrznych materiałów, albo po prostu skasują możliwość komentowania.

Przyznać jednak trzeba, że brzmienie przepisu mocno złagodzone w stosunku do dawnych wersji. Po pierwsze – zasada ma się odnosić jedynie do publikacji po wejściu w życie dyrektywy. Po drugie – ograniczenia mają działać zaledwie przez rok od publikacji, a nie, tak jak proponowano wcześniej, aż 20 lat.

WIELKA MODERACJA

Artykuł 13 mówi, że jeśli właściciel internetowego medium umieści lub

pozwoli użytkownikom na umieszczenie materiału, który podlega prawu autorskiemu, nie mając na to licencji, może być pociągnięty do odpowiedzialności. Chyba że dowiedzie, iż przedsięwziął „odpowiednie i proporcjonalne” środki, aby temu zapobiec.

Przekładając z europejskiego na polski – każdy, kto prezentuje treści objęte prawami autorskimi, by nie ponosić ryzyka kar i pozwów, powinien móc dowiedzieć, że przedsięwziął „odpowiednie i proporcjonalne” środki, żeby nie łamać prawa autorskiego, również w odniesieniu do treści, które wstawiają użytkownicy.

Tyle że aby skutecznie filtrować treści umieszczane przez użytkowników, potrzebne są bardzo zaawansowane narzędzia, oparte na skomplikowanych algorytmach. Stać na nie największych – stosuje je np. YouTube, ale nie bez wpadek. Użytkownicy wiedzą też, jak te ograniczenia omijać.

Zgodnie z dyrektywą stosowana dotychczas metoda, polegająca na umożliwieniu właścicielom praw autorskich łatwego zgłaszania roszczeń, nie byłaby już uznana za „odpowiednią i proporcjonalną”. Pod wpływem alarmujących głosów propozycja, skierowana do PE, zawiera jednak zastrzeżenie, że zasada „odpowiednich i proporcjonalnych” środków ma brać pod uwagę, czy mamy do czynienia z małym lub średnim przedsiębiorstwem. Od nich wymaga się mniej. To pozostawia pewien margines swobody niewielkim internetowym przedsiębiorstwom.

Jednak, jak zwykle, rzecz może się rozbić o interpretację, bo przecież nie istnieje jednoznaczna definicja adekwatności i proporcjonalności. Może się zatem okazać, że właściciele małych portali będą woleli dmuchać na zimne – trochę jak w przypadku absurdalnego zalewu e-maili w sprawie RODO. Jako że nie będzie ich stać na wdrożenie potężnych algorytmów, przeszukujących gigantyczne bazy danych, będą woleli w ogóle nie przywoływać obcych treści, uniemożliwić to użytkownikom, a w skrajnych przypadkach zlikwidować możliwość komentowania lub nawet zamknąć portal.

PRZECIW REGULACJI

O potencjalnie fatalnych skutkach dyrektywy ostrzegają różne środowiska. W lutym list otwarty, ostrzegający przed skutkami dyrektywy dla rozwoju nauki, podpisało 15 instytucji i organizacji,

w tym Brytyjskie Stowarzyszenie Bibliotek Naukowych, Stowarzyszenie Europejskich Bibliotek Naukowych, Europejskie Stowarzyszenie Uniwersyteckie czy Creative Commons – globalna organizacja non profit, zajmująca się udzielaniem darmowych praw do używania czyjejś własności intelektualnej, za zgodą autora. Ogromna liczba zdjęć, które znajdujemy jako ilustracje na portalach internetowych, jest używana właśnie na licencji Creative Commons. Pamiętajmy jednak, że było to przed złagodzeniem propozycji przez Radę UE.

W PE głośną przeciwniczką dyrektywy jest niemiecka eurodeputowana Julia Reda, wybrana z listy niemieckiej Partii Piratów – globalnego porozumienia ugrupowań o wolnościowych zapatrywaniach. W Polsce Partia Piratów jest praktycznie nieobecna, ale już w Czechach w zeszłorocznych wyborach zdobyła blisko 11 proc. głosów.

Do propozycji dyrektywy sceptycznie podchodzi prezes Warsaw Enterprise Institute Tomasz Wróblewski – sam był naczelnym kilku gazet, w tym tygodnika „Newsweek”. – Jeśli wydawcy chcą dziś, żeby treści łatwo nie powielano, mogą to zrobić bez dodatkowych narzędzi – mówi. – Wystarczy wprowadzić płatny dostęp do tekstów. Jeśli ktoś złamie prawo autorskie, to także istnieją narzędzia, żeby swoich roszczeń dochodzić.

Jarosław Włodarczyk z Press Club Polska chwali dyrektywę. Uważa, że producenci treści powinni mieć takie same prawa, które przysługują autorom filmów czy muzyki. – Dyrektywa niczego nie ograniczy, za to umożliwi autorom pobieranie przysługujących im opłat – mówi Włodarczyk. – Nastąpi wzrost przychodów redakcji produkujących własne treści, w tym lokalnych, a spadek liczby swego rodzaju internetowych plagiatów.

Zdecydowanym wrogiem dyrektywy jest natomiast Dobromir Sośnierz, europoseł partii Wolność, który niedawno zastąpił w PE Janusza Korwin-Mikkego. – Artykuł 11 nie jest jednoznaczny. Jego interpretacja będzie stwarzać problemy i może się okazać niekorzystna. Z kolei art. 13 generuje niesprawiedliwe obciążenia dla publikujących treści.

Sośnierz deklaruje, że z pewnością zgłasza przeciwko dyrektywie. Swoją sceptycyzm wobec dyrektywy deklaruje również (w odpowiedzi na pytanie inter-nauty) Michał Boni.



Z Jarosławem Sellinem,
wiceministrem kultury
i dziedzictwa narodowego
rozmawia Wojciech Wybranowski

Trzeba przypominać

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Podobno rząd wraca do prac nad ustawą dekoncentracyjną dotyczącą mediów w Polsce? Informują o tym niektóre media...

JAROSŁAW SELLIN: Na agendzie politycznej dzisiaj tego tematu nie ma.

Pod koniec maja podpisano porozumienie w sprawie rozpoczęcia prac budowlanych Muzeum Historii Polski – po 11 latach od decyzji, że taka placówka powstanie. Dlaczego tyle to trwało?

Dobrze, że w ogóle rozmawiamy o tych muzeach, ponieważ artykuł, który pan opublikował tydzień temu, był dla nas bolesny. Zabrakło w nim rozmowy, która pokazywałaby kontekst wszystkich spraw, i myślę, że wtedy ocena byłaby sprawiedliwsza. Jeśli chodzi o Muzeum Historii Polski, to ono powstało jeszcze w czasach pierwszych rządów PiS w roku 2006. Staraliśmy się dynamicznie działać, by muzeum szybko powstało, ale w roku 2007 straciliśmy władzę i przez osiem lat w całej sprawie nie działo się nic. Instytucja formalnie działała, ale nie było decyzji o tym, gdzie muzeum wybudować. Taka niestety była polityka naszych poprzedników. Dopiero pod koniec rządów podjęli decyzję, że MHP powinno zostać umieszczone na Cytadeli. My tę decyzję po wyborach w 2015 r. podtrzymaliśmy, ale okazało się, że nic pod rozpoczęcie takiej inwestycji nie zostało przygotowane, a MHP ma się po prostu wcisnąć w projekt architektoniczny zaplanowany dla Muzeum Wojska Polskiego, którego właścicielem jest MON. Musieliśmy więc rozdzielić te dwa muzea, przeprojektować potężną koncepcję architektoniczną, a to nie był łatwy proces. Przypomnę, że MHP będzie największą inwestycją w historii Ministerstwa Kultury i placówką z chyba największą powierzchnią wystawienniczą spośród muzeów, którymi się opiekujemy. Do tego doszedł długi proces przetargowy i w związku z tym to trochę czasu zajęło. Przy tak dużej inwestycji proces przygotowawczy trwa na ogół pięć lat, nam zajęło to dwa razy mniej czasu.

Sporo emocji wzbudziła decyzja o utworzeniu Muzeum Getta Warszawskiego. Wielu komentatorów obawia się, że może ono stać się takim miejscem jak obecne POLIN, wykorzystywanym do propagowania krzywdzącej Polaków narracji.

Uważamy, że Muzeum Historii Żydów Polskich dobrze wypełnia swoje podstawowe zadanie, do którego realizacji zostało stworzone m.in. przez prezydenta

Lecha Kaczyńskiego. To opowiadanie o prawie tysiącletnich dziejach Żydów w Polsce, życia w pewnych wiekach najbardziej wolnego w skali świata, czym też powinniśmy się chwalić. Trzeba starać się wyprzeć skojarzenia Polski li tylko jako wielkiego cmentarza Żydów. Trzeba przypominać, że to właśnie w Polsce, jak nigdzie w świecie, mogli rozwijać swoją starożytną religię, tradycję i kulturę. I to zadanie muzeum POLIN dobrze wypełnia na wystawie stałej. Mamy zastrzeżenia – czemu dawaliśmy wyraz publicznie – do tzw. bieżącej działalności kierownictwa tego muzeum, np. do wystaw marcowych, do konferencji ws. Marca '68, które w tej placówce się odbywały. A dlaczego jeszcze Muzeum Getta? Dlatego, że w POLIN, mającym opowiadać o życiu, opowieść o zagładzie i getcie jest siłą rzeczy szczątkowa. Uznaliśmy – biorąc pod uwagę to, że było to prawie półmilionowe miasto obywateli polskich zamkniętych za murem – iż jest to istotny kawałek historii Warszawy i Polski, że ta opowieść musi być szersza i bardziej szczegółowa, a przy okazji uratować oryginalny budynek szpitala Bersohnów i Baumanów, funkcjonujący na terenie getta.

W tym roku otworzy swe podwoje pierwsza w Polsce placówka poświęcona żołnierzom podziemia antykomunistycznego – Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce.

Budowane przez prezydenta miasta jeszcze przed naszym dojściem do władzy. Szukał on wsparcia u naszych poprzedników i usłyszał od ministra kultury w rządzie PO, że nie ma „społecznej potrzeby” budowania takiego muzeum. Dla mnie było to zdumiewające, przecież trzeba było widzieć rosnący kult wyklętych, to odkrywanie ich bohaterskiej historii. Od razu, gdy tylko wróciliśmy do władzy, skontaktowaliśmy się z prezydentem Ostrołęki, zaoferowaliśmy współpracę i podpisaliśmy umowę o współprowadzeniu placówki. Zapewniliśmy także finansowanie. Tutaj też trzeba było w zasadzie robić wszystko od zera, bo gotowy był tylko pomysł, idea, by stworzyć je w budynku po dawnym carskim więzieniu, w którym po 1945 r. trzymano żołnierzy wyklętych. To muzeum miało powstać w 2018 r. i prawdopodobnie to się uda. Dostaliśmy zapewnienie, że sama struktura budynku może być dokończona na przełomie lata i jesieni, a instalacja wystawy pójdzie już szybko. Powstaje też jednak drugie muzeum

żołnierzy wyklętych, staraniem Ministerstwa Sprawiedliwości, czyli muzeum w dawnym więzieniu UB na Rakowieckiej. Zaproponowaliśmy resortowi sprawiedliwości (i tak też zrobiono), by nie było to tylko muzeum żołnierzy wyklętych, lecz także więźniów politycznych PRL, którzy siedzieli tam jeszcze w latach 80.

W jednym z wywiadów mówił pan, że niebawem, z okazji stulecia odzyskania niepodległości, zostanie uruchomionych kilkanaście nowych muzeów. Kiedy to się stanie?

Na pewno wszystkie powstaną w latach realizacji Wieloletniego Planu Rządowego „Niepodległa” zaplanowanego na lata 2017–2021, może program przedłużymy, ze względu na Śląsk, do 2022 r. Na przykład na 80. rocznicę mordu w Piaśnicy otworzymy w Wejherowie specjalną placówkę poświęconą tej niemieckiej zbrodni i jej ofiarom.

Muzeum Historii Polski będzie największą inwestycją w historii resortu kultury i placówką z największą chyba powierzchnią wystawienniczą

Zbrodnia w lasach piśnickich jest dzisiaj szerzej nieznana, warto o niej opowiedzieć.

Rzeczywiście, Piaśnica jest dobrze znana i pamiętana na Pomorzu i Kaszubach, natomiast w Polsce ta nazwa prawie nikomu nic nie mówi. Ja uważam, że była to pierwsza chronologicznie zbrodnia ludobójstwa w czasie II wojny światowej dokonana w warunkach braku działań wojennych, czyli okupacji. Przed Palmirami, przed Katyniem, przed Holokaustem. Muzeum jako instytucja funkcjonuje od końca 2015 r. (to była jedna z naszych pierwszych decyzji). Będzie ulokowane w willi, którą wykupiliśmy od rodziny naznaczonej mordem piśnickim, w której gestapo ulokowało swą siedzibę.

Mamy stulecie odzyskania niepodległości. Co ministerstwo przygotowuje z tej okazji poza wystawami i konferencjami?

Jeśli chodzi o wydarzenia lokalne, to w ramach programu „Niepodległa” otrzymaliśmy aż 2,5 tys. wniosków dotyczących imprez, koncertów, poka-

zów, inscenizacji etc. organizowanych „w terenie”. Wsparliśmy finansowo 218 z nich, co nie znaczy, że inne się nie odbędą. Taka liczba zgłoszeń pokazuje, jak dobrze program rozszedł się po Polsce, bo taka liczba wniosków oznacza, że praktycznie w każdej gminie chciano coś zorganizować. To bardzo ważne, albowiem z badań wynika, że Polacy chcą obchodzić święta narodowe, państwowe lokalnie, właśnie w swoich społecznościach, nie oglądając ich tylko w telewizji, ale czynnie w nich uczestnicząc. I to jest bardzo dobra wiadomość. Natomiast centralnie mamy zakontraktowanych 40 wydarzeń organizowanych przez nasze czołowe instytucje kultury, wreszcie – za granicą – przygotowujemy, nie tylko w tym roku, ok. 400 wydarzeń przypominających polską historię i polską kulturę. Z najbardziej spektakularnych rzeczy, jakie się wydarzą, wymienię: 10 listopada zorganizujemy na Stadionie Narodowym bardzo duży, otwarty koncert transmitowany przez TVP, a przypominający historię Polski przez pieśń i piosenkę. To będzie piosenka popularna wykonywana przez znanych polskich artystów. Poza tym chcemy zorganizować dwudniowy festyn „Krakowskie Przedmieście” z ofertą muzyczną, rozrywkową, kulinarną, zabawą dla dzieci, w dniach 10–11 listopada.

Słyszałem, że przygotowywany jest też tajemniczo brzmiący projekt „Sto na sto”.

Sto najślawniejszych polskich utworów muzycznych od 1918 do 2018 r. przedstawionych zostanie w 11 miastach Polski właśnie 11 listopada, poczynając od Krakowa, który zacznie o godz. 11. Kolejne miasta włączą się co godzina. Skończymy o godz. 20 w Teatrze Wielkim w Warszawie. W tym samym dniu odbędzie się 11 koncertów z polską muzyką w 11 najważniejszych miastach świata. Zagrają dobre orkiestry symfoniczne z tamtych miast, od Chicago do Tokio, mające w repertuarze dobre polskie utwory. Z tego projektu powstanie box 37 płyt z muzyką polską klasyczną od 1918 do 2018 r. Będzie to świetny prezent na 100-lecie niepodległości promujący wspaniałą polską muzykę XX w., gdyż w tym stuleciu jest ona tak wielka jak niemiecka, francuska, włoska i rosyjska. To jedno z największych osiągnięć naszej kultury.

Jak zarobić na libacji



Agnieszka
Niewińska

Transmitują pijackie imprezy i zamawianie prostytutek. Nie szczędzą wulgaryzmów, a nastolatki nakłaniają do obnażania się na wizji. Witajcie w świecie patostreamerów

Wielu fanom YouTube Toruń nie kojarzy się już z Kopernikiem, piernikami czy nawet ze znanym na całą Polskę redemptorystą. Kiedy mówią „Toruń”, myślą „Daniel Magical”. Magical, czyli Daniel Zwierzyński, to dwudziestokilkuletni kontrowersyjny youtuber, który zasłynął transmisjami z alkoholowych libacji w rodzinnym gronie, w zrujnowanym komunalnym mieszkaniu przy ul. Urzędniczej w Toruniu. Za sprawą przybierających zaskakujący obrót libacji na internetowego bohatera wylansował nie tylko siebie, lecz także członków swojej rodziny – awanturującą się po alkoholu matkę Gochę i jej partnera, niezbyt gadatliwego budowlańca Jaca. Z mieszkania przy ul. Urzędniczej nie tylko transmitowane były zawody w piciu trunków do dna, mieszanie alkoholu w garnkach, prace remontowe, lecz także bijatyki, interwencje policji, aresztowania, wybijanie szyb przez konkurentów z YouTube.

IMPORT Z AZJI

Daniel Magical to niejedyny internetowy „twórca”, który korzysta z możliwości nadawania na żywo (czyli streamu), jakie udostępniają platformy internetowe. Na

żywo w sieci nadają zarówno duże media, politycy, sportowcy, jak i aktorzy czy celebryci. Narzędzie upodobali sobie miłośnicy gier komputerowych, którzy m.in. poprzez serwis Twitch pozwalają oglądać fanom własne rozgrywki.

Niebezpiecznie zaczęło przybywać jednak tych, którzy lansują się na transmitowanych w sieci patologicznych zachowaniach. Sami siebie nazwali patologicznymi streamerami, czyli patostreamerami, a ich znakiem rozpoznawczym jest agresja, wulgarny język, „zerowanie” (czyli wypijanie do dna) butelek z alkoholem. Rafatus transmitował, jak po pijaku bije własną dziewczynę, Medusa wybił szybę w oknie Magicala. Lista patostreamerów jest jednak dużo dłuższa: Łysy, Rafonix, Mohonek.

– Jeśli w Internecie pojawia się jakieś zjawisko, to ktoś musi mieć w tym interes – mówi Szymon Sikorski, dyrektor agencji Publicon. – Platformy internetowe coraz bardziej otwierają się na treści wideo, nawet przy wyszukiwaniu czegoś w przeglądarce w pierwszej kolejności wyskakują nam propozycje wideo, bo filmik jest bardziej angażujący. Oglądając go, spędzamy w sieci więcej czasu. W tej chwili wszystkie duże platformy propo-

nują format live stream, czyli nadawanie na żywo. Technologia jest na wyciągnięcie ręki. Nie potrzeba żadnego specjalnego sprzętu. Streamerowi wystarczy telefon i już może nadawać.

Doktor Karol Jachymek, kulturoznawca ze School of Ideas Uniwersytetu SWPS, zwraca uwagę, że patostreamy nie są wyłącznie polskim trendem, lecz także są obecne w innych krajach. – Trudno określić, kto zapoczątkował tego typu relacje na żywo, ale najprawdopodobniej zjawisko po raz pierwszy pojawiło się w azjatyckim Internecie – mówi. I przypomina, że niedawno głośno było o amerykańskim youtuberze Loganie Paulu, który pokazał na swoim kanale wiszące zwłoki samobójcy. – Patostreamy w polskiej sieci to stosunkowo nowy trend, zapoczątkowany mniej więcej przed dwoma laty. Już w 2017 r. mówiło się o patostreamerach, ale większy rozgłos zdobyli oni na początku tego roku, kiedy policja zatrzymała Gurala.

Gural to szczególnie drastyczny przypadek patostreamera. Na jego youtube’owym kanale można było obserwować jego wideorozmowy z nastoletnimi dziewczynkami, które m.in. wyzywał

od szmat i kurew. „Puszczasz się?” – pytał na dzień dobry jedną z dziewczynek. Innej zapowiedział: „Będziesz ru...ana ostro jak Sasha Grey” [amerykańska aktorka porno – przyp. red.]. Większość jego tekstów do nastolatek nie nadaje się do zacytowania. Część z dziewczynek nakłaniał do obnażania się przed komputerem. Nie wszystkie dzieci miały świadomość, że rozmowa z Gurałem jest transmitowana na jego kanale.

– Patostreamerzy prezentują agresję, bullying, wulgarność – to zjawiska obecne w realnym świecie, ale przeniesione do Internetu przyciągają uwagę, są bardziej spektakularne – podobnie jak katastrofy lotnicze, w których statystycznie ginie mniej osób niż w wypadkach samochodowych, a mimo tego to te pierwsze są bardziej nagłaśniane – mówi dr Karol Jachymek. Kanał Gurała subskrybowało aż 250 tys. internautów. – Patostreamy nie są jedynie marginesem Internetu. Oglądają je tysiące osób, a twórcy zdobywają niemałą popularność. Ich poczynania są komentowane nawet przez profesjonalnych internetowych twórców. Skarżą się oni, że patostreamerzy psują opinię wszystkim tym youtuberom, którzy proponują widzom pozytywne treści – podkreśla kulturoznawca z SWPS.

Po tym, jak o działalności Gurała policję poinformował Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, w marcu zatrzymała go policja. – Sprawa jeszcze nie została przekazana do sądu, zbieramy materiał dowodowy – informuje podkom. Maciej Święcichowski z zespołu prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu.

Zanim kanał Gurała zniknął z sieci, ten jeszcze zdążył się pożalić na swój los. – Takie piekło, przez które teraz przechodzę, aż tak mi się nie należy – mówił, ocierając łzy. – To nie jest tak, że ja jestem w 100 proc. winny. Razem budowaliśmy ten kanał, własnymi siłami. Żle było? Czy tak aż źle robiłem ten kanał? – pytał.

WIRTUALNE WYGŁUPY, REALNA KASA

Miarą sukcesu patostreamowych kanałów jest liczba wpłat przekazywanych przez internautów. Bo widzownia patologicznych youtuberów nie tylko godzinami obserwuje, jak się upijają, biją i obrażają innych, lecz przekazuje mniejsze lub większe datki, czyli w języku streamerów donacje. Za pomocą serwisów do błyskawicznych płatności kwoty zaraz wyświetlane

są na ekranie. Zwykle to 2–3 zł, ale konta patostreamerów zasilają też trzy- i czterocyfrowe sumy. Magical zbierał na wykup i remont mieszkania przy ul. Urzędniczej, na lodówkę dla mamy. Rafonix w jednej z transmisji cel zbiórki (10 tys. zł) opisał bardziej enigmatycznie: „Na gówno”, a pasek pokazujący liczbę wpłat i tak się wydłużał.

Dlaczego internetowa publiczność chce oglądać transmisje z rodzinnych libacji, a nawet zasilac „twórców” datkami? – Wynika to z wrodzonej potrzeby podglądania innych, obserwowania ich życia. Wielu widzom podoba się, że internetowi bohaterowie przekraczają normy kulturowe, są buntownikami, czują się przy tym bezkarnie. Jednak to niejedyny powód oglądalności – zaznacza dr Jachymek.

– Takie materiały dają natychmiastową gratyfikację: widz może poczuć się lepszy od patostreamera. „To alkoholicy, patologia, gorsi ludzie” – mówi sobie, oglądając relację patostreamera. W mojej ocenie mechanizm wykluczania patostreamerów, spychania ich na margines społeczeństwa jest równie niebezpieczny jak prezento-

często ważnych treści przez pozornie błahą, niepoważną, tandetną formę.

POWSTRZYMAĆ PATOLOGIE

YouTube reaguje na patostreamy – blokuje „twórców”, usuwa kanały (np. kanał Gurała). Jednak działa zazwyczaj wtedy, kiedy skandali wywołanych przez patostreamerów nie da się przemilczeć, a Internet wywiera presję na serwis. Patologiczni bohaterowie jednak nie giną, zakładają kolejne kanały, zmieniają serwis, na którym nadają. Żyją także dzięki tzw. shotom (kopiowaniu nagrań z ich streamów). Streamy zazwyczaj nie są archiwizowane, ale skopiowane przez innych użytkowników krążą w sieci w najlepszej.

– Patostreamy świadczą nie tylko o słabości naszej kultury, lecz także o słabości Internetu, który nie ma narzędzi, by wykluczać takie treści – mówi dr Karol Jachymek, dodając, że w dyskusjach o prawnym zakazaniu patostreamów trudno o rozstrzygnięcia. – Bo kto miałby decydować, gdzie jest granica między patostreamem a transmisją czy materiałem wideo,

Widownia patologicznych youtuberów nie tylko godzinami obserwuje, jak się upijają, biją i obrażają innych, **lecz także przekazuje im mniejsze lub większe datki**

wanie internetowej publiczności – w tym dzieciom i młodzieży – wulgarnych czy nawet karalnych zachowań.

Szymon Sikorski zwraca z kolei uwagę, że dawniej, aby zobaczyć świat przestępstw i patologii, oglądaliśmy „Magazyn Kryminalny 997”, później popularność zdobywały scripted docu – serie udające dokumenty, dające wrażenie autentyczności. – Dzisiaj mamy patostreamerów. Widzowie są przekonani, że to ci, którzy pokazują w sieci, jak biją babcię, są tymi najbardziej autentycznymi, ale to tylko złudzenie, bo te transmisje są przecież w jakimś stopniu planowane, reżyserowane – mówi Sikorski. Zwraca uwagę, że wbrew powszechnej opinii takie kanały oglądają nie tylko głodni świata gimnazjaliści. – Statystyki Internetu tego nie potwierdzają. Wysoką oglądalność różnego rodzaju niepoważne treści zawdzięczają nie dzieciakom, lecz dorosłym. Powstał już nawet nowy termin – metamodernizm – który oznacza przekazywanie różnych,

który w sieci może się znaleźć? To jest już rozmowa o wolności słowa. Przy tym trzeba podkreślić, że choć Internet ma swoją ciemną stronę, to dał nam ogromne możliwości, przyniósł wiele dobrego, jest fantastycznym narzędziem z całą masą pozytywnych i ciekawych treści

Z zarzutami bezczynności w sprawie patostreamerów często spotykają się policjanci. – Jeśli dostajemy zgłoszenie o łamaniu prawa, to reagujemy. Nie ma na to przyzwolenia, nawet jeśli chodzi o internetową transmisję. Nie inwigilujemy jednak każdego internauty, dlatego prosimy o zgłoszenia sytuacji, które mogą wypełniać znamiona przestępstwa – mówi podkom. Święcichowski z Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu. – Kluczowa jest tu rola rodziców, którzy powinni wiedzieć, co ich dziecko ogląda w Internecie. Jeśli coś wzbudza ich podejrzenia, to warto zgłosić sprawę na najbliższym posterunku policji albo skontaktować się z dzielnicowym – radzi.

Po napisaniu 1800-stronicowego, właśnie wydanego przez Znak „Herberta” Andrzej Franaszek – autor również zbliżonego objętościowo „Miłosza” (z 2011 r.) zasługiwałby pewnie na miano pierwszego biografa RP, gdyby nie pewne cechy tych książek, nie dyskwalifikujące je, ale niewątpliwie wpływające na ich ocenę – niższą, niż można by się spodziewać. W „Postscriptum” pomieszczonym na zakończenie „Herberta” jego twórca przyznaje, że w trakcie pisania kusila go „władza narratora”. Niestety, uległ tej pokusie i nie chodzi tu tylko o takie, a nie inne rozstawianie akcentów, korzystanie z pełnych cytatów czy też ucinanie ich, bywa, że drastyczne, czy też o inne drobne decyzje w sumie stanowiące o kształcie dzieła. Przede wszystkim chodzi mi o decydowanie za czytelnika, które wiersze, które żarty, wreszcie – które czyny bohatera jego książki zasługują na uznanie, a których tak naprawdę powinien się on wstydzić. Nie tego oczekiwałem od autora najważniejszej biografii Zbigniewa Herberta, bo na taką się zapowiadała i niewykluczone, że taką pozostanie przez długie jeszcze lata, o ile nie na wieki wieków.

A w związku z tym mocy bez mała obowiązującej nabrać może takie orzeczenie Andrzeja Fraszka, że np. utwór „Pan Cogito. Ars longa” jest „niezbyt udany”, a ciesząca się zasłużoną popularnością fraszka: „Hołuj/ Żukrowski/ Przymanowski/ Lenart/ Czterej pancerni/ mierni/ ale ujdzie./ Na nowy serial/ byłby niezły temat/ Cóż – gdy za nimi/ Żaden pies nie pójdzie”, powstała – tu autor powołuje się na Jana Józefa Szczepańskiego – „niestety znowu w alkoholowej fazie”, pasowałaby do planowanego przez Herberta satyrycznego pisemka „Kosynier Ogólnopolski”, w którym poeta „publikowałby utwory, co prawda, nieudane, ale zjadliwe i komentujące bieżące wydarzenia”. Nie twierdzę, że przywoływane strofy należą do najświetniejszych w dorobku twórcy „Potęgi smaku”, może i są one nawet nie „niezbyt”, ale „mocno” nieudane, niemniej jednak tego rodzaju oceny powinien wystawiać czytelnik wierszy, a nie biograf.

I jeszcze jeden, powiedzmy, że drobny: otóż drugi tom „Herberta” nosi podtytuł „Pan Cogito”, pierwszy zaś „Niepokój”. Zgódźmy się, że „Niepokój” na długie lata złączony jest z innym poetą, dobrze zresztą znanym Herbertowi,



Krzysztof Masłoń

Edycja dwutomowej biografii poety napisanej przez Andrzeja Fraszka jest jednym z ważniejszych wydarzeń roku Herbertowskiego. Biografia jest więcej niż dobrze udokumentowana, wielką jej zaletą są też cytaty. Ale...

Klucz do Herberta



FOT. MAREK LANGOSZ/CEPAP

który nie darzył go zresztą przyjaźnią, a jeśli już, to bardzo cierpką (i wzajemnie) – Tadeuszem Różewiczem.

SZŁO O RZĄD DUSZ

Dla Zbigniewa Herberta, przez jego niemal całe życie twórcze, najważniejszym autorem był Czesław Miłosz. To jego poezja była odnośnikiem wierszy, które pisał, to w Miłosza wpatrzony był niczym w gwiazdę przewodnią, to w jego perypetiach życiowych odnajdował siebie samego. Do czasu jednak... Może i miał rację cytowany przez Franaszka Jerzy Pilch, który ich późniejsze stosunki (czy raczej brak takich) podsumował następująco: „Szło o rzecz wysoką, a nawet najwyższą – szło o rząd dusz. I to wziął Miłosz. [...] Nie mówię, że dla Herberta brakowało miejsca, ale niewątpliwie miejsca, w których był Miłosz, nie były miejscami Herberta. [...] Szukał innych łamów, innych towarzyszy i innych przyjaźni”.

Bo też o rząd dusz szło, tyle że – moim zdaniem – wcale nie Miłosz spór ten rozstrzygnął na swoją korzyść. Przeciwnie. Jednak rzecz była, istotnie, wysoka i poważna, dlatego nazwanie przez żonę Zbigniewa Herberta Katarzynę legendarnej amerykańskiej klótni z 1968 r. o narodowe pryncypia, która rozgorzała między największymi poetami polskimi i położyła koniec ich przyjaźni, „sporem dwóch pijaków, którzy popili i prowokowali się nawzajem”, jest szalonym uproszczeniem. Bo, niewątpliwie – jak pisze Andrzej Franaszek – „jest w tym sporo racji, ale jednak rzecz była głębsza”.

Dla Bogdany Carpenter i jej amerykańskiego męża to, co się stało w ich kalifornijskim domu, było szokujące: „Przeżyliśmy to niesłuchanie boleśnie. Weszło do naszego domu dwóch najsercedniejszych przyjaciół, a rozstali się poróżnieni na prawie całe życie”. W istocie – na całe, ponieważ gdy nawet burze wokół nich łagodniały, to wybuchały na nowo, za sprawą albo m.in. „Roku myśliwego” Miłosza, albo wiersza „Chodasiewicz” Herberta. Ten ostatni skarżył się, zapisując w notatniku: „Miłosz, wciąż Miłosz i na nowo Miłosz. Boże, kiedy ja się wyzwolę z tego kołowrotka”.

Dwa miesiące przed śmiercią Herberta, w maju 1998 r., Miłosz – po mediacji jego brata Andrzeja – zadzwonił jednak do niego. „To była jakby normalna pogawędka – wspominała Katarzyna Herbert – żadnej skruchy z jednej czy z drugiej strony [...]”. Rozmawiali o śmierci. Trochę

żartobliwie, ale w gruncie rzeczy poważnie. O porządkowaniu świata przed śmiercią. I na sam koniec Czesław nagle powiedział: »Mógłbyś jeszcze porozmawiać z Adamem«. Zbyszek odmówił. [...] Pożegnali się ciepło”.

Z Michnikiem, którym wcześniej poeta był zauroczony (w drugim tomie biografii reprodukowane jest kapitalne zdjęcie z kościoła św. Mikołaja w Gdańsku z 31 sierpnia 1984 r., gdy w czasie mszy świętej siedzą obok siebie Janusz Onyszkiewicz w koszulce w kratkę, Lech Wałęsa z przypiętą Matką Boską, wąsaty Adam Michnik i Zbigniew Herbert w jakimś sweterku robiącym wrażenie nieźle już przechodzonego), od razu i, jak się miało okazać, definitywnie zerwał stosunki po tym, jak ten w 1990 r. w Paryżu żądał, by „odpier...olić się od generała”. Chodziło o Jaruzelskiego, a dla Herberta – cytując wdowę po poecie – był to „człowiek, który spodlił Polskę”.

Jeśli chodzi o Miłosza, to ten po śmierci Herberta napisał o nim wiersz. Konsul-

o przyznaniu jej Nagrody Nobla musiała poczuć się niezręcznie, czego dowodzi jej odpowiedź na nadesłany przez Herberta, raczej zdawkowy, telegram z gratulacjami: „Zbyszeku, Wielki Poeto! Gdyby to ode mnie zależało, to Ty byś teraz męczył się nad przemówieniem...”.

Herberta musiał jednak zabołec ten Nobel dla poetki – z którą się przyjaźnił, ale nie widział w niej rywalki, jakby startowali w innych kategoriach wagowych, niczym bokserzy... W każdym razie wysłał jeszcze telegram do Różewicza z „najgłębszymi wyrazami współczucia z powodu skandalicznego werdyktu szwedzkiej Akademii”, a w szkicowniku – dowiadujemy się – rysował karykatury noblistki, „która na nartach, zmiotłami zamiast kijów, brała udział w »kombinacji szwedzkiej«”.

Noblowskim laurom, których Zbigniew Herbert się nie doczekał, choć poważnym do nich kandydatem był już od końca lat 60., również poświęca się w najnowszej biografii poety niemało

Dwa miesiące przed śmiercią Herberta, w maju 1998 r., Miłosz – po mediacji jego brata Andrzeja – zadzwonił jednak do niego. „To była jakby normalna pogawędka – wspominała Katarzyna Herbert – żadnej skruchy z jednej czy z drugiej strony [...]”

tował się w sprawie optymalnego terminu jego druku z Markiem Skwarnickim i zadecydował, że nie będzie drukował go od razu. I znowu Andrzej Franaszek kręci nosem: „Prawdę powiedziawszy, wiersz »O poezji, z powodu telefonów po śmierci Herberta« nie należy do najlepszych utworów Miłosza, nie jest też bynajmniej osobistym pożegnaniem przyjaciela”.

O, co to, to na pewno nie.

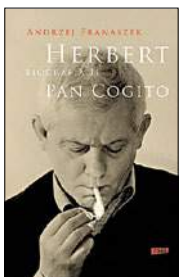
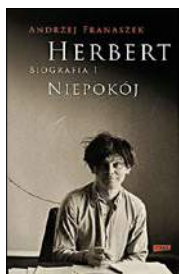
KOMBINACJA SZWEDZKA

Trudno się oprzeć podejrzeniu, że poprzednia, w istocie benedyktyńska praca Franaszka nad biografią Miłosza przełożyła się teraz na nadobecność naszego noblisty w książce w końcu poświęconej nie jemu. Jednak też relacje między największymi poetami polskimi (i nie tylko polskimi) drugiej połowy XX w. rzeczywiście są pasjonujące. I mają w sobie ten wewnętrzny ogień, zupełnie nieobecny w – skądinąd urokliwej – korespondencji Herberta z Wisławą Szymborską, która zresztą z chwilą otrzymania wiadomości

miejsca. Może za wiele, zważywszy na wielokrotne podkreślanie przez autora „Herberta”, jakoby to jego bohater sam był sobie winny, że tego Nobla nie dostał, bo albo gdzieś termin spotkania zawałił, albo zniknął na trzy dni czy też wypowiedział się publicznie zgoła niepolitycznie, jak to mu się np. przytrafiło w Izraelu w 1991 r., gdzie „Jerusalem Post” pisało wręcz o serii obrazoburczych wywiadów, których udzielił. I to rzekomo ten jego nonkonformizm połączony z ostrością wypowiedzi i – naturalnie – nadużywaniem alkoholu miał pozbawić go szans w oczach zachodnich partnerów, takiego Giedroycia czy Jeleńskiego, którzy – ma się rozumieć, jakby powiedział Redaktor – dokładali wszelkich starań, by wepchnąć autora „Hermesa, psa i gwiazdy” na noblowski cokół. Dokładna lektura mówi jednak o innego, a mianowicie – że w różnym czasie starania te były intensyfikowane bądź też ulegały całkowitemu zaniechaniu. I nie chodzi tu wyłącznie o wielkie postaci naszej

emigracji, ale także o inne osoby. A ewentualnym Noblem dla Herberta, dzielonym – być może – z Gombrowiczem, bo i taka była koncepcja, interesowała się nawet sama Służba Bezpieczeństwa, której oficer po tym, jak przewodniczący Komitetu Noblowskiego Anders Österling odwiedził Polskę i z ust samego Jarosława Iwaszkiewicza usłyszał, że polskim kandydatem do nagrody może być jedynie Herbert („względnie Gombrowicz”), opatrzył tę wiadomość następującym komentarzem: „Herbert [...] to bardzo zdolny poeta, ale chory umysłowo. Melancholik, który izoluje się najczęściej od własnego otoczenia”.

A jednak pomimo takich czy podobnych opinii robiących z Herberta skończonego alkoholika na notowaniach noblowskich nazwisko Zbigniewa Herberta pojawiać się miało i w latach 70., i 80. Na początku ósmej dekady XX w., w atmosferze rozluźnionej po objęciu władzy przez Gierka, rząd usiłował Herberta nawet jeśli nie skaptować, to przynajmniej oswoić. To wtedy powstał o nim program telewizyjny, jego książki pojawiły się w księgarniach i w ogóle taki się PRL zrobił Herbertoid(e)alny, że w marcu 1972 r. Jerzy Urban, któremu pewnie nie śniło się jeszcze, że zostanie Goebbelsem stanu wojennego, w poczytnych wtedy „Szpilkach” napisał, że o Herbercie czytuje się ostatnio dużo „jako o Polaku, który z nagle wysunął się przed Pendereckiego, Grotowskiego, Polańskiego, Fortuńę [...]”. Herbert jest poetą najbardziej popularnym i uważanym za największego w dwóch już obszarach językowych, nie pamiętam których, ale w każdym razie nie są to obszary językowe flamandzki i suahili. [...] Z dnia na dzień stało się obowiązkiem towarzyskim inteligenta nietechnicznego wiedzieć coś o Herbercie i z tej przyczyny w ogóle nie wychodzę z domu. Czytałem »Barbarzyńcę w ogrodzie«, ale to zaliczył każdy ciemniak, gdyż książka była nie do wiersza, tylko do czytania”. Wieszczył też przedśmiewca, że „za parę lat Herbert już będzie wisiał w każdej klasie między Mickiewiczem a tym drugim, będą go kuć i rozbierać, odpowiadać z Herberta i podpowiadać o Herbercie. [...] Następnie będą place, ulice, szkoły i teatry Herber-



ANDRZEJ FRANASZEK
„HERBERT.
BIOGRAFIA”, T. 1–2
ZNAK 2018

ta, pomniki, rocznice, herbertolodzy i popiersia w »Cepelii« za dychę”.

KAMIZELKA RATUNKOWA

Jeśli jednak rządzącym roii się jakiś rodzaj wykorzystania Herberta do swoich celów, to szybko zostali pozbawieni złudzeń. Już zresztą w 1971 r., po drakońskich wyrokach, które otrzymali w procesie Ruchu bracia Czumowie – sześć i siedem lat, Stefan Niesiołowski (ten sam) – siedem lat, Herbert wraz z 16 innymi osobami podpisał list protestacyjny do ówczesnego ministra sprawiedliwości. Sygnatariuszom, a byli wśród nich m.in. Tadeusz Konwicki, Igor Newerly, Marek Nowakowski, Agnieszka Osiecka i Jarosław Marek Rymkiewicz, wydawało się, że istnieje szansa

na rewizję wyroku w Sądzie Najwyższym. Wyrok został jednak utrzymany, protest utajniono, ale jego organizatorów nie spotkały represje. Później bywało gorzej, a Herbert konsekwentnie protestował: w sprawie praw Polonii w ZSRS, skazania winnych wysadzenia w powietrze auli WSP w Opolu braci Kowalczyków na śmierć i 25 lat więzienia czy w kwestii proponowanych zmian w Konstytucji PRL (Memoriał 59). Ta jednoznaczna polityczna postawa poety dawała do myślenia w kontekście pojawiających się na Zachodzie zarzutów o oportunizm (!), jako że poeta do kraju wracał i PRL-owskiego paszportu nie oddawał. Takie właśnie pretensje miał do Herberta mieszkający w Kanadzie poeta Waław Iwaniuk, pewnie urażony tym, że sławny kolega po piórze odrzucił zaofiarowaną mu przez uniwersytet w Toronto (po staraniach Iwaniuka) propozycję zatrudnienia.

Andrzej Franaszek, choć oczywiście odrzuca wzięty chyba z kosmosu zarzut oportunizmu, przyznaje jednak, że „w jego [Herberta – przyp. K.M.] sytuacji była pewna dwuznaczność, choćby przez to, że póki udawało mu się przedłużać PRL-owski paszport, jednocześnie przebywając za granicą, zawsze miał w zanadrzu swego rodzaju kamizelkę ratunkową. Wracając do Polski, mógł spodziewać się wiele złego, ale jednak był też pewien, że nie umrze tam z głodu, pojawią się zapomogi ze Związku Literatów, honoraria, płatne spotkania autorskie, bo nawet

wobec zbuntowanych i niepokornych pisarzy system represji nie był szczelny, w socjalistycznym kraju literat nie był zdany całkowicie na siebie, tak jak emigranci”.

No pięknie, wychodzi więc na to, że Miłosz był OK, bo zamieniał paszporty jeden na drugi, a Herbert raczej „be”, choć po prostu wyciągał wnioski z tego, że na taką, a nie inną miłość nas skazali, „taką przebodli nas ojczyzną”.

ŻEBY NIE ZABŁĄDZIĆ

Mamy rok Herbertowski, edycja dwutomowej biografii poety napisanej przez Andrzeja Franaszka jest z całą pewnością jednym z ważniejszych wydarzeń weń wpisanych. Ma ona świetne fragmenty, jest więcej niż dobrze udokumentowana, wielką zaletą „Herberta” są też cytaty i omówienia niepublikowanych i nieznanych dotąd tekstów autora „Rovigo”. Jednak też przemilcza lub marginalizuje niektóre fakty mające miejsce w ostatnich latach życia poety, a jeśli je wyjaśnia, to zamiast klucza do nich posługuje się wytrychem: tłumaczeniem wszystkiego chorobą Zbigniewa Herberta. A tak się nie da, zwyczajnie się nie da.

A klucza do Herberta wciąż szukamy, bo tamten dawny przestał pasować: i do poezji, i do rzeczywistości. Miejsce w szkole autora „Raportu z oblężonego miasta” jest pozadyskusyjne, ale już niekoniecznie akademijne recytowanie jego wierszy czy ich wyśpiewywanie. Bogusława Latawiec rozmawiała z Herbertem w 1984 r. na temat przyjęcia przez niego doktoratu honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego, czemu się sprzeciwiał; „w czasie rozmowy zadzwonił telefon. Z teatru. Pytano o zgodę poety na wystawianie jego dramatów. Odmówił i przy okazji poskarżył się: »Gintrowski śpiewa mi przez telefon moje wiersze. Zapasiewicz przychodzi i płacze, że mu rozbijam przedstawienie, dzwonią teatry, chcą grać moje sztuki, teraz ty mnie namawiasz na przyjęcie honoris causa UJ, a ludzie siedzą w więzieniach«”.

Krzysztof Karasek, przyjaźniący się z Herbertem i bywający u niego w jego ostatnich dniach, wielokrotnie powtarzał, że ten Przyjacieli i Wielki Poeta dał mu niesłychanie ważną radę, że dla pisarza najważniejsze, by nigdy nie zabłądził, są dwie rzeczy: być z tymi, których biją, i z tymi, których mniej. I tego, powiadał autor „Dziennika rozbitek”, się trzymam.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

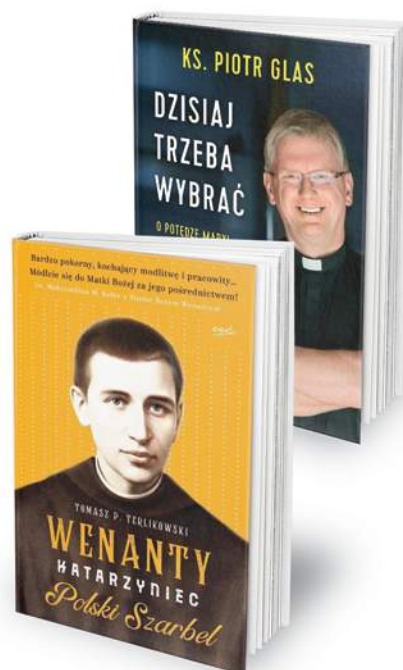
TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

DWIE KSIĄŻKI
„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ”
„WENANTY KATARZYNIEC”

Cena: 145 zł
Oszczędność: 94 zł

+



PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł



MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a87b2c4414

W listopadzie 1981 r. byłem współorganizatorem imprezy prezentującej w Belgradzie dorobek polskiej kultury niezależnej. Świat rocka reprezentowała Brygada Kryzys. Koncert rozpoczął się z kilkugodzinnym opóźnieniem, a mimo to o pierwszej w nocy sala była przepełniona. Serbowie nie znali nagrań zespołu, ale słyszeli o jego legendzie za pośrednictwem... brytyjskiej prasy muzycznej. Robert Brylewski z Tomkiem Lipińskim już w pierwszym utworze zagrmili:

„Wojna! Maszerują niewolnicy/ Wojna! Będą na was polować/ Wojna! Będą was zabijać/ Wojna! Będą eksterminować/ Paranoiczne halucynacje/ Polityczne degeneracje”.

Brygada Kryzys nie była wtedy w Polsce legendą. Mimo że na początku lat 80. kraj ogarnął drugi boom rockowy. W odróżnieniu od Perfectu, Maanam czy tuzów Muzyki Młodej Generacji krajowy punk rock nie był mile widziany ani na radiowej antenie, ani na łamach prasowych.

JAK NIEMEN I SBB

Mimo to, a może właśnie dlatego grupa Kryzys (w nielicznych wzmiankach prasowych nazywana zapobiegliwie Kryzys Romansu), której liderem był Robert „Afa” Brylewski, miała longplay wydany na Zachodzie. Ta sztuka udała się wcześniej jedynie Niemenowi i SBB. Kiedy album ukazał się nakładem francuskiego Barclay Records, Robert miał 19 lat. Marek Jackowski miał wówczas 34 lata, Zbigniew Hołdys był od niego o pięć lat młodszy, a zespoły przez nich kierowane nie miały fonograficznego debiutu. Kłuło w oczy.

Brygada Kryzys powstała w sierpniu 1981 r. Brylewski założył ją z Tomkiem Lipińskim, liderem konkurencyjnego, warszawskiego zespołu punkowego Tilt. Nagrania z pierwszego koncertu grupy ukazały się w Wielkiej Brytanii po ogłoszeniu stanu wojennego. W tym samym czasie lokaje Jaruzelskiego chcieli pokazać, że polska młodzież chce się bawić. 13 lutego Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej zorganizował w warszawskiej Hali Gwardii koncert z udziałem Tadeusza Nalepy, TSA, Oddziału Zamkniętego i Republiki. Na plakacie była jeszcze Brygada K., ale muzycy nie mieli zamiaru występować pod ocenzonej nazwą i do tego grać w drugą miesięcznicę wprowadzenia dyktatury. Mimo zakazu koncertowania w tym samym miesiącu Brygada Kryzys zarejestrowała album. Okazało się, że na gwałt był poszu-



Grzegorz Brzozowicz

Po tragicznej śmierci jednej z najważniejszych postaci polskiego rocka środowisko sceny niezależnej ogarnął autentyczny ból

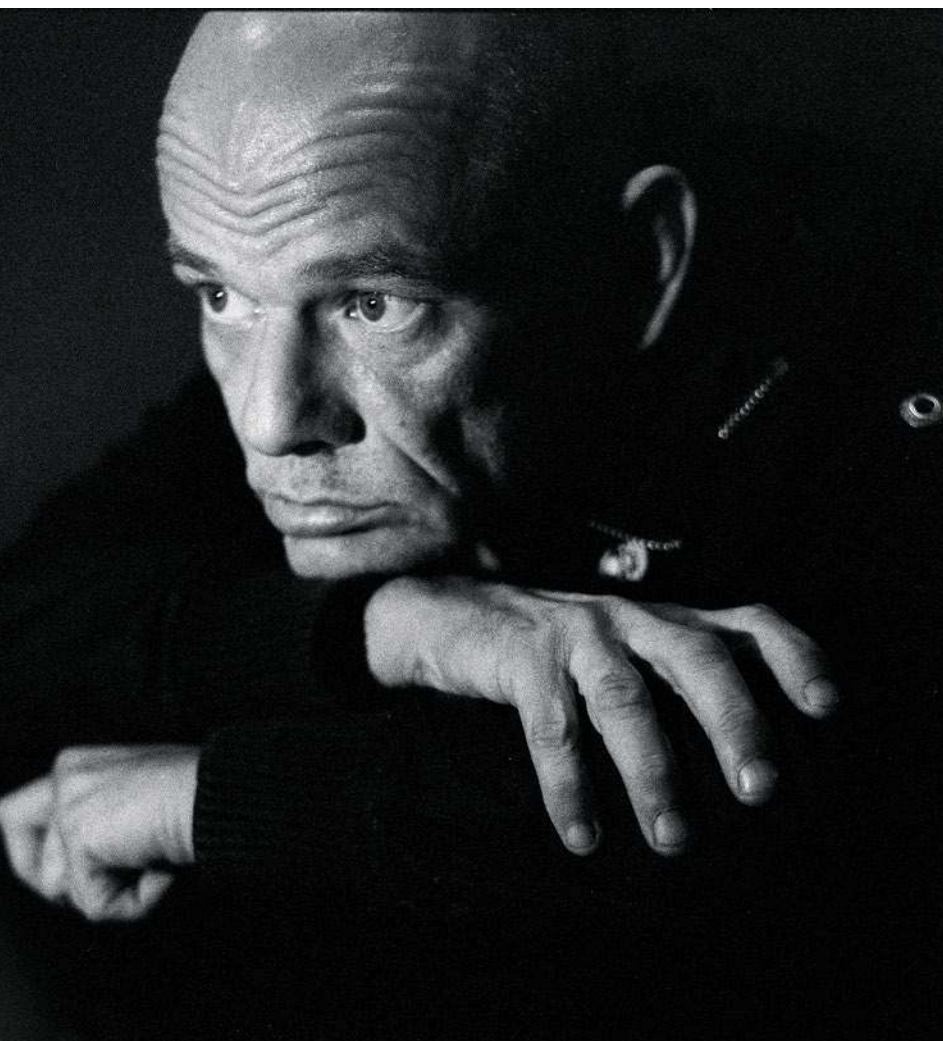
Odeszła legenda

kiwany zespół, który mógłby przetestować nowo otwarte studio wytwórni Tonpress – firmy, należącej do koncernu KAW, której właścicielem była Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Dzięki socjalistycznemu bałaganowi powstała jedna z najlepszych, a na pewno najważniejszych polska płyta rockowa z takimi klasykami jak „Centrala”, „Nie ma nic” czy „Przestań śnić”.

W marcu 1983 r. Robert Brylewski miał 21 lat i trzy albumy na koncie. W ciągu trzech lat tworzona przez niego muzyka przeszła niezwykłą ewolucję. Od melodyjnego punk rocka, przez artystyczną nową falę, do polskiego reggae. Pomysł na granie jamajskich rytmów w kraju skutym mrozem z transporterami opancerzonymi na ulicach wyglądał na kuriozalny. „W reggae znalazłem niezależną kulturę – wspomina Brylewski w książce „Kryzys w Babilonie” – która nie była kreowana przez agendy rządowe albo rynkowe, tylko tworzyła

się sama z siebie, na ulicy, i nic nie mogło powstrzymać jej ekspansji”. Pod wpływem piosenek Boba Marleya zaczął czytać Biblię, choć po latach przyznał: „Religię zawsze traktowałem jako naukę, nie jako przyjęcie wiary”.

Powstaje zespół Izrael, na którego czele stają Brylewski i Paweł „Kelner” Rozwadowski. W maju zostaje zabity Grzegorz Przymyk, a grupa o prowokacyjnej nazwie wchodzi do studia i nagrywa album „Biada, biada, biada”. „Przed wszystkim mogliśmy śpiewać to, co chcieliśmy – wyjawia Robert w książce. – Tyle że zamiast »system« śpiewaliśmy »Babilon«”. Scenę niezależną ogarnia reggae’omania. W całym kraju powstają dziesiątki zespołów, które grają „Bożą muzykę w Babilonie”. W Warszawie z inicjatywy Brylewskiego rusza w październiku 1983 r. festiwal Róbrege, który staje się jedyną, prawdziwą alternatywą dla Jarocina. Wcześniej Izrael wyrusza



Nic z tego. Kiedy koledzy z muzycznego podziemia zaczęli zarabiać fortuny (m.in. Kult, T.Love, Wilki, Piersi, Big Cyc), on nie umiał sobie poradzić z kapitalistyczną rzeczywistością. Przez kolejne lata współpracował prawie z każdym, ale bez wsparcia zawodowego (czytaj: bezwzględne) menedżera nie umiał ogarnąć swoich spraw. Wszyscy go kochali, ale zarabiali inni.

PO DEKADZIE SMUTKU

W następnych latach występuje w grupie Falarek, nagrywa solową płytę „Warsaw Beat” i zostaje członkiem okazjonalnej alternatywnej supergrupy The User, w której składzie są oprócz niego Marcin Świetlicki, Tymon Tymański, Mikołaj Trzaska, Jacek Olter i Milo Kurtis. Paweł „Konjo” Konak realizuje dla TVP dokument „Exodus” poświęcony Brylewskiemu. W nowym millennium założyciel Kryzysu jest mentorem dla młodych zespołów, tworzy grafikę komputerową, zostaje członkiem grup Świat Czarownic, Szum, ale przede wszystkim walczy o przetrwanie. Po raz drugi reaktywują się Brygada Kryzys (2003 r., bez sukcesu), Izrael (2006 r., bez sukcesu) i Kryzys (2008 r., bez sukcesu). Odcinanie kuponów nie jest dla niego zbawieniem.

Po dekadzie smutku Afa powraca do żywych, i to z poczuciem humoru. W 2010 r. startuje w wyborach samorządowych z listy Komitetu Wyborczego Gamonie i Krasnoludki. Na warszawskiej Woli zdobywa 601 głosów, co stanowiło 50 proc. głosów oddanych na listę jego komitetu. Jednak prawdziwy sukces, a także niekomercyjny, odnosi jako aktor. Grana przez niego w filmie „Polskie gówno” postać Stana Gudeyki, muzyka weterana, który powraca do kraju z USA, ratuje to absurdalne dzieło Tymona Tymańskiego przed artystyczną katastrofą.

We wspominanej książce Rafała Księżyka „Kryzys w Babilonie” Brylewski, opowiadając o spotkaniach z ZOMO, powiedział: „Wiesz, co jest najważniejsze? Trzeba nawiązać kontakt, zanim zaczną cię bić. Musisz wprawić ich w zaciekanie, wymieniasz z nimi parę zdań i nie ma bicia. [...] Wciągaliśmy ich w rozmowę, żeby nabrali przekonania, że mają do czynienia z ludźmi niemalże obłąkanymi, może upośledzonymi, nawiedzonymi. Bóg wie co, byle się odpieprzyli”.

W styczniu 2018 r. Robert nie nawiązał kontaktu z zulem z warszawskiej Pragi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

na wspólną trasę po Polsce z brytyjskim zespołem roots reggae – Misty In Roots. W końcu na koncertach z udziałem Brylewskiego są tłumy.

Artystyczny duch nie pozwalał Brylewskiemu usiedzieć za długo w jednej stylistyce muzycznej. Pod koniec 1984 r. wraz z Tomaszem Budzyńskim powołuje do życia Armię. Postpunkowa ściana dźwięku w połączeniu z mistyczno-bajkowymi tekstami byłego wokalisty punkowej Siekiery sprawiają, że Armia staje się największą gwiazdą muzycznego podziemia. Album „Legenda” z 1991 r. do dziś jest pokoleniowym manifestem.

Przełom lat 80. i 90. to najbardziej płodny artystycznie okres w życiu Brylewskiego. I tym razem ma obok siebie dobrego ducha. Jest nim Marcin Miller, stolarz hippis mieszkający w Londynie. Zostaje mecenasem Roberta i dzięki jego finansowemu wsparciu powstaje studio nagraniowe

Złota Skała. Afa jako producent realizuje w nim m.in. płyty zespołów Bakszysz, Post Regiment, Maanam i Houk. W sumie w studiu zarejestrowano prawie 200 sesji nagraniowych. Tam właśnie, w 1991 r., powstała wspomniana „Legenda”. Natomiast w Londynie, oczywiście dzięki Millerowi, zostaje zarejestrowana świetna, nowoczesna brzmieniowo płyta Izraela „1991”. Aby tego było mało, w tym samym roku, reaktywuje się Brygada Kryzys i powstaje duet Max i Kelner grający taneczną muzykę elektroniczną. I znowu Brylewski jest pierwszy, tyle że kwasowe brzmienia taneczne nie przyjęły się nad Wisłą. Cztery lata później na muzyczną scenę wkroczyły dzieciaki z blokowisk i nowe pokolenie zaczęło rapować po swojemu. Robert jednak nie dostrzegł siły hip-hopu. Miał 34 lata.

Wydawało się, że w nowych czasach Brylewski osiągnie nie tylko artystyczny, lecz także zasłużony komercyjny sukces.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wygonię Anglików!



★★★★★

REŻ. BRUNO DUMONT
„JEANNETTE. DZIECIŃSTWO JOANNY D'ARC”
 („JEANNETTE L'ENFANCE DE JEANNE D'ARC")
 FRANCJA 2018

wyst. Lise Leplat
 Prudhomme,
 Jeanne Voisin,
 Nicolas Leclaire

Joanna d'Arc ma wiele twarzy. Święta, wojowniczką, patriotką, feministką – dla każdego coś miłego. Brytyjczycy podważali jej posłannictwo z wiadomych powodów. W ojczyźnie zaznała hołdów i uwielbienia, a także plugawych ataków. Zaprząsili wróg Kościoła i król hejterów Wolter wysmażył parodystyczną „Dziewicę”, która zachwyciła paryskie salony. Krótko po kanonizacji Joanny George Bernard Shaw napisał sztukę ociekającą empatią dla wszystkich stron konfliktu sprzed 500 lat. Okrzyknięta „tragédią bez złooczyńców” stała się głównym źródłem wiedzy dla ludzi mających alergie na hagiografię i prace naukowe.

Pośmiertna kariera nastolatki, która ocalała Francję, godna jest opasłej, bogato ilustrowanej

księgi. Joannę malowali Delaroche, Ingres i nasz Matejko. Pisali o niej Szekspir, Schiller, Twain i Brecht. Na ekranie pojawiła się pod koniec XIX w., gdy kino dopiero raczkowało. Cecil B. DeMille zrobił z niej wzór odwagi dla żołnierza walczącego w I wojnie światowej, Otto Preminger – natchnioną buntowniczkę, Luc Besson – wariatkę. Dziewica Orleańska dwukrotnie miała rysy Ingrid Bergman, w naszym teatrze grały ją m.in. Nina Andrycz i Zofia Kucówna. Ostatnio stała się bohaterką gry komputerowej.

Jak ma się do tego wszystkiego film Dumonta? Nijak. „Jeannette” jest z pewnością jedną z najdziwniejszych biografii świętej. Nawrócony socjalista Charles Péguy, autor dramatu „Misterium miłości Joanny d'Arc”, wzoro-

wanego na średniowiecznych misteriach, bardzo by się zdziwił, obejrzawszy adaptację swego dzieła. Mała Joanna, grana przez dwie aktorki, brodzi w strumieniu, śpiewa i tańczy, wygina śmiało ciało. Podziwiają ją owce, inni pastuszkowie, płasające zakonnice oraz lewitujący święci. W ostatniej scenie dziewczę odjeżdża na koniu ku swemu przeznaczeniu.

Dumont jest ekscentrykiem, gustującym w brutalnym naturalizmie. W „Martwych wodach” szarżował jak wściekły nosorożec. Tutaj popadł w drugą skrajność: praktykuje cnotę wstrzemięźliwości. Nie śmiem podejrzewać, że do ascezy skłonił go przyziemny brak funduszy. Średniowiecze było siermiężne, reżyser mógł jednak przemycić na ekran choć jeden gotycki kościółek lub zamczysko. Zamiast tego błądzi po pustym polu i atakuje uszy widzów dość hałaśliwymi kompozycjami niejakiego Igorrra. Czy ów melanz elektroniki, metalu i muzyki dawnej zasługuje na miano musicalu? Mam co do tego wątpliwości, ale dopóki nie obejrzę rosyjskiej ekranizacji opery Czajkowskiego „Dziewica Orleańska” i czeskiego spektaklu „Johanka z Arku”, dopóty wstrzymam się z ostatecznym werdyktem. ©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KOCHAJĄC PABLA, NIENAWIDZĄC ESCOBARA”

Ekranizacja książki wydanej także w Polsce (rok temu), napisanej przez kolumbijską gwiazdeczkę (modelka i prezenterka telewizyjna), która zasygnęła jako kochanka Pabla Escobara. Kto kogo wykorzystywał bardziej, to kwestia do rozstrzygnięcia (on obsypywał ją pieniędzmi, ona wspierała jego polityczne ambicje). Po latach zezna-

nia Virginii Vallejo okazały się kluczowe dla ukarania skorumpowanych współników Escobara z kolumbijskiej armii. ©

Piotr Gociek

• „Kochając Pabla, nienawidząc Escobara” („Loving Pablo”), reż. Fernando León de Aranoa, wyst. Penélope Cruz, Javier Bardem, Peter Sarsgaard, Hiszpania 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Sweet Country”, reż. Warwick Thornton, Australia 2017
- „I że ci nie odpuszczę” („Overboard”), reż. Bob Fisher, USA 2018
- „Twój Simon” („Love, Simon”), reż. Greg Berlanti, USA 2018

Stracona generacja

Nawet w epoce szalejącego feminizmu nie wystarczy być kobietą reżyserem, żeby zostać zauważonym na festiwalu w Cannes. Trzeba jeszcze upichcić fabułę, idealnie zgodną z duchem czasów. Z bohaterką, przechodzącą całkowicie przemianę – od ubezwłasnowolnionej muzy do istoty świadomej swej siły i talentów.

„Paryż i dziewczyna” to film jednego aktora. Przez godzinę Laetitia Dosch robi wszystko, byśmy zniechcieli jej postać i mieli ochotę wyjść z kina. Jest nieznośna: histeryzuje, nerwowo pali papierosa i użala się nad sobą. Im lepiej poznajemy Paulę, tym bardziej podziwiamy cierpliwość faceta, który wystawił frustratkę za drzwiami dopiero po 10 latach powstania.

W życiu nie przepracowała ani godziny, zawałiła studia, własna matka nie chce jej znać.

Pan Bóg, w swej niezmięrzzonej dobroci, postanawia jednak dać Pauli jeszcze jedną szansę. Dziewczyna znajdzie nowych przyjaciół i kąt do spania, zacznie zarabiać, doceni uroki wolności i samodzielności. Jaki z nich zrobi użytk – to inna sprawa. Film sprawdza się jako psychologiczne studium jednostki. Zawodzi, gdy Serraille sili się na społeczne diagnozy, pozuje na rzecznikę pokolenia 30-latków (skazanego jakoby na życie w samotności i wiecznym zawieszeniu) oraz obsobacza Paryż – „miasto, które nie lubi ludzi”. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. LÉONOR SÉRRAILLE
„PARYŻ I DZIEWCZYNA”
FRANCJA/BELGIA
2017

wyst. Laetitia Dosch, Souleymane Seye Ndiaye, Grégoire Monsaingeon



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „DETROIT: BECOME HUMAN”

Interaktywne filmy, które „udają” gry komputerowe, to gatunek niszowy, ale mający wiernie grono fanów. Ich sukces polega na efektywnej grafice, zatrudnianiu znanych aktorów oraz fabule przypominającej hollywoodzkie hity. Z drobną różnicą na korzyść gier – wybór losów bohaterów zależy

od widza. Właśnie takim, dopracowanym do perfekcji tytułem, jest „Detroit: Become Human”. Choć sama rozgrywka do skomplikowanych nie należy, dylematy moralne nieodległej przyszłości, w której obok ludzi żyją androidy, pozwalają cieszyć się historią i jej alternatyw-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZAGRAJMY W TO JESZCZE RAZ

Zamiast planszówki – gra komputerowa, ale dwie dekady po oryginale z Robinem Williamsem zasada pozostaje bez zmian: kto zagra w „Jumanji”, zostanie wessany do świata egzotycznej rozrywki i niebezpieczeństw. Nowością jest to, że bohaterowie na czas rozgrywki wchodzą w cyfrowe awatary. I tak chuderlawy nerd zamienia się w muskularnego Dwayne’a Johnsona, napakowany futbolista w małego pyskatego kpiarza Kevina Harta, a szkolna kujonka w stylizowaną na Larę Croft Karen Gillan. Największego pecha ma klasowa ślicznotka, która musi radzić sobie w ciele grubego Jacka Blacka. Wyszła z tego rodzinna rozrywka z czytelnym morałem (bohaterowie w grze rozumieją, co muszą naprawić w realnym życiu), ze sporą dawką humoru i z przygodami w klimacie opowieści o Indianie Jonesie. Mój uśmiech najszerszy był, gdy Dwayne Johnson popisował się sugestywnym głosem oraz gdy Karen Gillan uczyła się, jak być promienną i uwodzicielską. ©©



★★★★★

REŻ. JAKE KASDAN
„JUMANJI: PRZYGODA W DŻUNGLI”
USA 2017,
IMPERIAL CINEPIX

wyst. Dwayne Johnson, Karen Gillan, Kevin Hart, Jack Black

MILCZENIE BARANÓW

Nowy Jork, koniec XIX w. Ktoś morduje prostytutki się chłopców. Oprócz skorumpowanej policji sprawą zajmuje się grupa, której przewodni specjalista nowego typu: alienista (specjalista od chorób psychicznych) Laszlo Kreizler (Daniel Brühl).

Alieniście pomagają: Sara Howard (świetna rola Dakoty Fanning), pierwsza kobieta

w nowojorskiej policji, oraz John Moore, rysownik (Luke Evans). Ten wystawny historyczny dramat kryminalny bliski jest takim telewizyjnym dokonaniom jak „The Knick” czy „Zakazane imperium”. Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: „Co wywalała w ludziach tak straszliwe zło?” rozgrywa się na tle świetnie nakreślonych obrazów z epoki. Powieść Caleba Carr’a czekała na ekranizację dwie dekady. Szkoda, bo gdyby dokonano jej w czasach, gdy jeszcze świeży był szok po „Milczeniu owiec”, serial mógł być wielkim wydarzeniem. Dzisiaj to już tylko (i aż) solidna robota. ©© **recenzuje Piotr Gociak**



★★★★★

SEZON 1
„ALIENISTA”
USA 2018,
NETFLIX

wyst. Daniel Brühl, Dakota Fanning, Luke Evans

★★★★★

nymi zakończeniami przez wiele wieczorów. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Przygodowa
- **Platforma:** PS4
- **Producent, dystrybutor:** Quantic Dream/Sony
- **Klasyfikacja wiekowa PEGI:** 18

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Polscy odkrywcy Afryki

W swojej historii nie mieliśmy zbyt wielu podróżników, a jeśli nawet tacy się trafili, to szybko o nich zapominano, tak jak o Stefanie Szolcu-Rogozińskim, organizatorze wyprawy do Czarnej Afryki, w trakcie której wraz z polskimi towarzyszami ekspedycji odkrył mityczny dla ludu Bakundu wodospad na kameruńskiej rzece Mungo. Był rok 1882. Polscy podróżnicy nanosili poprawki na mapie świata, na której próżno było szukać Polski.

Nasz odkrywca i badacz Czarnego Łądu pochodził z Kalisza, z rodziny polsko-niemieckiej. Jego ojcem był zamożny fabrykant Ludwik Scholtz; syn spolszczył nazwisko, dodając do niego nazwisko matki. Rozczarował też ojca, nie wykazując zainteresowania pracą w rodzinnej firmie i pomnażaniem majątku. Marzył o podróżach i marzenia te ziścił. Po skończeniu szkoły we Wrocławiu wstąpił do Akademii Marynarki Wojennej w Kronsztadzie, którą ukończył z wyróżnieniem w pół roku. W pierwszym swoim rejsie do Władywostoku opłynął Afrykę, a po powrocie uzyskał członkostwo Towarzystwa Geografii w Petersburgu i Paryżu. Świat stanął przed nim otworem, opracował więc plan podróży do Kamerunu, a koszty wyprawy – w której uczestniczyli również jego szkolny kolega Klemens Tomczek i przyszły twórca Muzeum Etnograficznego w Warszawie Leopold Janikowski – sfinansował ze spadku po matce. Uzyskał także wsparcie finansowe m.in. od hrabiów Konstantego Branickiego i Benedykta Tyszkiewicza.

Wyprawę Szolca-Rogozińskiego nagłośnili kibicujący jej Henryk Sienkiewicz i Bolesław Prus. Podkreślany był patriotyczny wydźwięk ekspedycji traktowanej jako misja narodowa. Nad bazą,



FOT. MAC

którą podróżnicy założyli w Afryce, powiewała flaga białoczerwona, a marzyło im się stworzenie tam azylu dla Polaków, którym groziły represje zaborców. W tym celu nabyli od tubylców lub przejęli 63 wioski, co doprowadziło do wściekłości Niemców dążących do całkowitego skolonizowania Kamerunu. Tymczasem tutaj jacyś Polacy im w tym przeszkadzali, gdyż wioski ostatecznie przekazał Brytyjczykom.

Wyprawa dobiegła kresu wraz z końcem roku 1884. Szolc-Rogoziński z Janikowskim zdobyli wtedy czterotysięczny szczyt Fako (dzisiejszą górę Kamerun). Niestety, wcześniej – podczas wyprawy na wyspę Mondoli – zmarł na malarię Klemens Tomczek. Miał zaledwie 24 lata.

Po powrocie do Polski podróżnicy przedstawili wyniki

przebiegu badań, opowiadali też o czarnym kontynencie publiczności żłaknionej podobnych informacji. Wkrótce Szolc-Rogoziński został członkiem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Nie powiodły mu się następne wyprawy afrykańskie. Na wyspie Fernando Poo kupił plantację kawy, co okazało się nieudaną inwestycją. Duże nadzieje pokładał w badaniach w Dolinie Królów w Egipcie, ale i te z niezależnych od niego powodów nie wiadomo, czy wcześniej zakończyły się, czy zaczęły. Rozpadło się małżeństwo, które zawarł, podupadł na zdrowiu, wreszcie w 1896 r. w Paryżu wpadł pod koła omnibusu i zginął. Miał 35 lat.

Maciej Kłósak i Dariusz Skonieczko – naukowcy i afrykańści – poświęcili Rogozińskiemu książkę, ale nie biografię, lecz żywą, fabularyzowaną opowieść, która powinna przemówić przede wszystkim do młodego czytelnika. Pokazuje bowiem, jak ważne jest uparte dążenie do realizacji swoich życiowych zamierzeń. I jak, szczególnie dla młodych ludzi, naprawdę nie ma rzeczy niemożliwych. Autor wstępu zwraca również uwagę na to, jaki był patriotyzm Szolca-Rogozińskiego. „Zdając sobie sprawę – czytamy – że Rejtanowskie rozdzieranie szat nie pozwoli Polsce na odzyskanie niepodległości, wypracował własny sposób, by skutecznie przypomnieć światu o utraconej Ojczyźnie”. I jeszcze jedno: w czasach, w których kolonizatorzy Czarnego Łądu prześcigali się w okrucieństwie wobec rdzennych mieszkańców tego kontynentu, polski podróżnik, „dorastając w zniewolonym kraju, tym mocniej szanował wolność oraz suwerenność tych, których spotykał na swojej drodze, przecząc tym samym stereotypowi XIX-wiecznego eksploratora”. ©



★★★★★
**MACIEJ KLÓSAK,
DARIUSZ
SKONIECZKO**
**„STEFAN SZOLC-
-ROGOZIŃSKI.
ZAPOMNIANY
ODKRYWCA
CZARNEGO ŁĄDU”
SZARA GODZINA
2018**



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Patchwork Europa

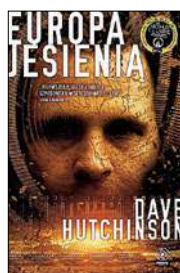
Europa idzie w drzazgi, czasem bardzo małe: rozpadają się stare państwa, niepodległość ogłaszają regiony, miasta, czasem dzielnice, a nawet linia kolejowa prowadząca przez całą Eurazję. Estoński kucharz Rudi pracujący w Krakowie zaczyna terminować w innym fachu – jako adept sekretnej organizacji kurierów, która nowe granice ma za nic i zajmuje się przemycaniem wszystkiego. Nowe życie Rudiego jest pełne niebezpieczeństw i przypomina fabułę skomplikowanej powieści szpiegowskiej. Nigdy nie wiadomo, kto jaką operację właśnie prowadzi, kto jest agentem podwójnym albo potrójnym, kto z kim zawarł akurat sojusz. Inspiracje prozą Johna Le Carré czy Lena Deightona są wyraźne, ale to proza science fiction bliskiego zasięgu.

Przyszłość, którą kreśli Dave Hutchinson, nie jest czarna. Chociaż mury i zasięki rosną, wszystko to jakoś działa, nie ma kryzysu gospodarczego ani próby zawładnięcia rozczłonkowanym kontynentem przez silniejszych graczy. Jedno i drugie wydaje się mało wiarygodne, ale intryga z taką prędkością, a jej konstruowanie sprawia autorowi tyle frajdy, że nie zwracamy na to uwagi podczas lektury. Jak zabawa, to zabawa, a wielopiętrowe spiski naprawdę wciągają. Taktownie nie będę

pytał więc o to, dlaczego nie uwzględniono w nowym rozpadzie kontynentu motywacji religijnych, ani o to, co się stało ze wszystkimi agresywnymi muzułmanami importowanymi ostatnio do Europy.

Dla polskiego czytelnika rzecz jest dodatkowo ciekawa, bo część akcji toczy się w Polsce, włączając w to nowe państewko Hindenberg, które obejmuje ziemie od Wrocławia do Opola. Hutchinson sobie z nas dworu, czasem sympatycznie (gdy sugeruje, że polskiego charakteru rozumem nie pojmiem), czasem złośliwie, jak wówczas gdy opisuje pijackie obyczaje bardziej podobne do wyczynów nowobogackich Rosjan. Jest w tym wszystkim nuta dyskretnej brytyjskiej wyższości, bo podczas gdy Anglia pozostaje oazą cywilizacji i porządku, reszta Europy, szczególnie środkowa i wschodnia, opisana jest jako miejsce mocno szalone, a Węgrzy, Polacy, Bałtowie, Czesi i Rosjanie niespecjalnie się od siebie różnią. Na najważniejsze

pytanie: „Skąd właściwie ta epidemia separatyzmu?” odpowiedzi brak. Może padnie w kolejnych częściach serii, bo powieść to tylko część większej całości. Będę czekał, bo Hutchinson pisze dobrze i ma ciekawe pomysły, no i chciałbym się dowiedzieć, komu tak naprawdę biedny Rudi nastąpił na odcisk. © ©



★★★★★
DAVE HUTCHINSON
„EUROPA JESIENIA”
REBIS 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Drobiazgi uzupełniające dorobek autora „Wielkiego Gatsby’ego” oraz „Czuła jest noc”, czyli zbiór opowiadań zagubionych oraz rozproszonych. Całość wzbogacona unikatowymi zdjęciami i dokumentami z archiwum pisarza.



F. SCOTT FITZGERALD
„DLA CIEBIE MOGĘ UMRZEĆ”
REBIS

Nie tylko lord Sandwich i Lady Godiva, nie tylko skandale królewskie. Lista brytyjskich ekscentryków z wyższych sfer jest dużo dłuższa, a fantazja większa. Co lekko opisuje dziennikarz BBC i korespondent polskich mediów w Londynie.



MAREK RYBARCZYK
„SKANDALE ANGIELSKICH DWORÓW”
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Wznowienie najsłynniejszej (oprócz „Kronik marsjańskich”) powieści Bradbury’ego. Klasyka antyutopii, rzecz o przyszłości, w której posiadanie i czytanie książek jest zakazane, a ocalałe tomy publicznie palone.



RAY BRADBURY
„451 STOPNI FAHRENHEITA”
MAG

Antologia 15 polskich opowiadań kryminalnych. Wśród autorów m.in. Łukasz Orbitowski, Remigiusz Mróz, Katarzyna Puzyńska, Jakub Małecki, Wojciech Chmielarz czy Marta Guzowska. © ©

poleca Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI
„ZABÓJCZY POCISK”
SKARPA WARSZAWSKA

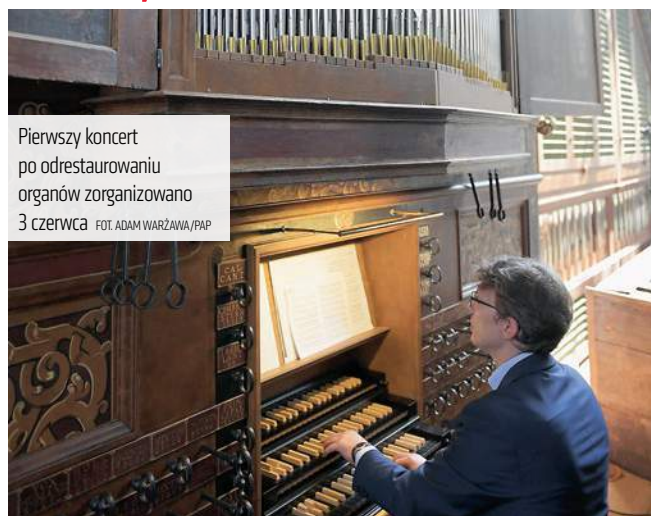
BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Katarzyna Nosowska „A ja zem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
2. **Katarzyna Bonda „Czerwony pajak” (Muza)** – ostatni tom kryminalnego cyklu „Cztery żywioły Saszy Żaluskiej” rozpoczętego w 2014 r. powieścią „Pochłaniacz”.
3. **Paweł Reszka „Mali bogowie 2” (Czerwone i Czarne)** – „Jak umierają Polacy”; czyli nowy tom wstrząsających reportaży o służbie zdrowia nad Wisłą.
4. **Piotr Krysiak „Dziewczyny z Dubaju” (Deadline)** – jak polskie modelki zarabiały na spełnianiu sekszachcianek szejków. Niestety na faktach.
5. **Olga Tokarczuk „Opowiadania bizarne” (Wydawnictwo Literackie)** – 10 opowiadań autorki „Ksiąg Jakubowych”.

(Najchętniej kupowane książki w salonach sieci Empik od 14 do 27 maja 2018 r.)

W murach kościoła Trójcy Świętej w Gdańsku znów rozbrzmiały organy, których historia sięga XVI w. Majestatyczny instrument przez ostatnią dekadę przechodził renowację, która była jednym z największych przedsięwzięć konserwatorskich zabytków ruchomych na Pomorzu. Dzisiaj instrument brzmi tak, jak przed 400 laty. A to również za sprawą ludzi, którzy wpłacali pieniądze na odnowienie konkretnych piszczałek, dzięki czemu stali się ich patronami.

– Obecnie organy – podzielone na pięć sekcji organowych – są w stanie wydobyć 45 głosów. Największa piszczałka ma wysokość 4,5 m, najmniejsza – zaledwie 5 cm. Dzięki odbudowie według zasad XVII-wiecznych najpewniej słyszymy te same dźwięki, którymi cieszyli się słuchacze 400 lat temu – mówił podczas uroczystości odsłonięcia



Pierwszy koncert po odrestaurowaniu organów zorganizowano 3 czerwca FOT. ADAM WIAŻANJA/PAP

Dźwięki sprzed wieków

i poświęcenia organów koordynator odbudowy dr Andrzej Szadejko.

Historia instrumentu sięga 1568 r., kiedy to organy w gdańskim kościele miał zbudować Balzer Sturmer, a w 1618 r. rozbudować mistrz Maren Friese. Później instrument był kilkakrotnie modernizowany, a podczas

II wojny światowej rozebrany i w skrzyniach wywieziony na Żuławy. Ewakuacja, choć nie przysłużyła się kondycji organów, pozwoliła je ostatecznie ocalić. Gdyby nie ona, instrument zapewne by spłonął w pożarze prezbiterium. Po wojnie organy wróciły do Gdańska, a kompleksowej renowacji doczekały się dopiero

niedawno. Doktor Andrzej Szadejko stworzył koncepcję odbudowy organów, które kryły się za manierystycznym prospektem z 1618 r. i prospektem barokowym z 1703 r. Skomplikowana renowacja trwała 11 lat, a swoje cegiełki dołożyli do niej również mieszkańcy Gdańska, choć nie tylko oni, bo patronami piszczałek (instrument ma ich 2441) zostawali również ludzie mieszkający poza Trójmiastem.

Zwiedzając Gdańsk, warto nieco zboczyć z głównego szlaku turystycznego i zejść do franciszkańskiego kościoła. Nie tylko po to, by posłuchać niezwykłego instrumentu, lecz także po to, żeby zobaczyć efekt renowacji samej świątyni. Renowacji, za którą o. Tomasz Janek, rektor kościoła Trójcy Świętej, został odznaczony przez ministra kultury Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

To już rok bez niego

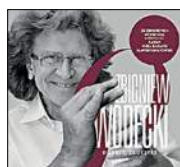
Zbigniew Wodecki niespodziewanie odszedł przed rokiem. Pracował nad nowym albumem, który po wielu miesiącach obróbek studyjnych właśnie się ukazał.

Kiedy mistrz zmarł, płyta nie była ukończona. Krakowianin śpiewa więc tylko w pięciu z 13 piosenek. Wiele tekstów nie było jeszcze napisanych, na szczęście wokalista zaśpiewał linie melodyczne jako instrukcje dla autorów tekstów. Świetnie, że ten scat jest obecny w kilku nagraniach. Słuchając płyty, ma się wrażenie, że bohater do końca czuwał nad projektem.

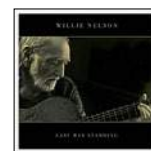
Album rozpoczyna wykonana przez mistrza piosenka „Dobrze, że słońce”. Siłą rzeczy większość utworów musieli zaśpiewać goście. Jako pierwszy z przyjaciół pojawia

się Junior Robinson, którego wokół wprowadza nas w krainę amerykańskiej muzyki lat 70. Duże wrażenie robią utwory z udziałem Kayah. Poruszająca jest napisana przez nią piosenka „Na paluszkach” oraz duet z krakowianinem, singlowy „Chwytaj dzień”. Świetnie wypada Andrzej Lampert w „Sobą być”, szczególnie że przepięknie prowadzi go na skrzypcach Mariusz Patyra. Sławek Uniatowski śpiewa, jakby sam był Z.W., a ten oryginalny zachwyca w duecie z Beatą Przybytek. Kuba Badach pokazuje klasę w dwóch utworach. Junior Robinson w balladowej „Give It a Moment” wraz ze Zbigniewem Wodeckim życzą nam dobrej nocy. Piękne zakończenie.

Słowa uznania dla Rafała Stępnia, który całość zaaranżował, nagrał i muzycznie wyprodukował. ©©



★★★★★
ZBIGNIEW WODECKI
„DOBRE, ŻE JESTEŚ”
AGORA



★★★★★
WILLIE NELSON
„LAST MAN STANDING”
SONY

85-letni mistrz country nagrał mądry i niepozawiany humor album o kresie żywota. Świetne utwory, zespół gra zawodowo, a głos Nelsona ma przepiękną patynę. „To nie jest coś, co musisz zakończyć, to coś, przez co musisz przejść” – śpiewa. ©©



★★★★★
NEIL YOUNG
„TONIGHT'S THE NIGHT LIVE”
REPRISE

Arcydzieło, czyli album „Tonight's the Night”, czekało na wydanie dwa lata. Depresyjnej płyty nie chciała wytwórnia. Po 55 latach otrzymujemy zapis przejmującego koncertu, poświęconego pamięci zmarłych przez narkotyki przyjaciół. ©©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**SENSACYJNY
WYWIAD
Z ŻOŁNIERZEM
KEDYWU AK**

- Piotr Zychowicz – **Dwa oblicza granatowych**
 Dariusz Libionka kontra Janina Hera – **Spór o książkę „Dalej jest noc”**
 Tomasz Stańczyk – **Zabójstwo pułkownika Reszczyńskiego**
 Rafał A. Ziemkiewicz – **Błędy Śmigłego-Rydza**
 Mikołaj Iwanow – **Ostatni wyklęty z Czeczenii**
 Sławomir Cenckiewicz – **Tajne akta WRON**
 Adrian Goldsworthy – **Jak Rzymianie podbili świat**
 Sławomir Koper – **Trzy trupy na Pańskiej 11**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
 CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Prezydent USA Donald Trump i premier Izraela Benjamin Netanjahu
FOT. GETTY IMAGES

PIOTR WŁOCZYK: Powinniśmy się obawiać ustawy 447?

PROF. NORMAN G. FINKELSTEIN: Myślę, że nic wielkiego Polsce z tej strony nie grozi. Bill Clinton popierał w latach 90. ściąganie „odszkodowań”, ale była to zapłata za wsparcie udzielone mu przez Edgara Bronfmana, ówczesnego prezesa Światowego Kongresu Żydów. Teraz z kolei Donald Trump musiał się zrewanżować przeniesieniem amerykańskiej ambasady do Jerozolimy. Te przenosiny były zapłatą za wielką hojność dla republikanów ze strony Sheldona Adelsona, magnata kasynowego z Las Vegas, słynącego z popierania Izraela.

Jeżeli jednak mówimy o ostatnich staraniach żydowskich organizacji w sprawie ściągnięcia tzw. odszkodowań za polskie mienie, to nie widzę odpowiednio dużej siły politycznej stojącej za tą akcją. Krótko mówiąc: Trump na pewno nie czuje wystarczająco silnej presji, by „płacić” komukolwiek swoim poparciem w tej konkretnej sprawie.

Nie ma jednak wątpliwości, że Donald Trump jest bardzo wyczulony na żydowskie głosy. Już nieraz pokazał, że za Izraelem jest gotów pójść w ogień.

Tak, za Izraelem jest gotów pójść w ogień, ale to wcale nie znaczy, że jest gotów wesprzeć akcję żydowskich organizacji przeciw polskiemu majątkowi. Obie te sprawy dotyczą Żydów, ale to jednak dwie różne sprawy. Żydowskie organizacje zajmujące się wyciąganiem „odszkodowań” i Izrael to nie to samo.

Ponadto w tej sprawie w grę wchodzi nieruchomości, a – jak wiadomo – Trump jest miliarderem, który zbudował swój majątek na rynku nieruchomości. Proszę mi wierzyć, śledzę te sprawy nie od dziś: Trump dwa razy się zastanowi, zanim zajmie się którymiś nieruchomościami.

Przepraszam, ale jaki związek mają jego nieruchomości z ustawą 447?

Cóż, jeżeli człowiek zaczyna majstrować przy takich sprawach, to może się okazać, że jego własne nieruchomości mogą mieć pewne „słabe” punkty. Trump to rozumie i moim zdaniem nie będzie wspierał takich operacji.

Tymczasem w Polsce alarm. Wprawdzie szef naszego MSZ również uważa, że nic wielkiego nam nie grozi, ale z wielu stron słychać głosy, iż skutkiem ustawy 447 miałyby być wyciągnięcie od Polaków nawet 300 mld dol. Ta ustawa przewiduje przecież, że Departament Stanu ma monitorować, jak przebiega na całym świecie restytucja

Z prof. Normanem G. Finkelsteinem,
amerykańskim politologiem
rozmawia Piotr Włoczyk

Trump ich nie poprze

pożydowskiego mienia. I mimo to twierdzi pan, że to wszystko skończy się na niczym?

Nie ma co przesadzać. Szantażowanie Polski to naprawdę trudne zadanie do przeprowadzenia. Aby tak się stało, musiałaby się pojawić wola ze strony administracji Trumpa, by pomóc wyegzekwować od Polski te tzw. odszkodowania. Z którejkolwiek strony bym się nie przyglądał temu problemowi, to nie widzę tu dużego zagrożenia dla Polski.

Oczywiście te wszystkie „odszkodowania” nie mają nic wspólnego z samymi ofiarami, z ludźmi, którzy przeżyli Holocaust lub z ich spadkobiercami. To przedsięwzięcia oszukańczych organizacji żydowskich, które wykorzystują Holocaust jako broń służącą do wzbogacenia się. Prawdziwe ofiary lub ich spadkobiercy nic z tego nie dostają.

Widać, że to dla pana bardzo osobista sprawa.

Moja śp. matka, która cierpiała w getcie warszawskim, została w kwietniu 1943 r. wysłana na Majdanek, a następnie do dwóch obozów pracy niewolniczej. W czasie wojny straciła całą rodzinę. Otrzymała jakieś 3 tys. dol. od organizacji żydowskich, które zabrały dla siebie

resztę przysługującego jej odszkodowania. Walczyłem o prawdziwe odszkodowanie dla mamy. Bardzo ją bolało, że Żydzi, którzy nigdy nie widzieli obozu koncentracyjnego, zgarniali miliony dolarów. Ci ludzie to hieny cmentarne.

Pamiętajmy, że na długo, zanim pojawił się przemysł Holocaustu (1995/1996 r.), Niemcy wypłacili 80–120 mld dol. odszkodowań. To mnóstwo pieniędzy! Jednak przemysł Holocaustu zaczął krzyczeć, że Niemcy tak naprawdę nic nie zapłacili, i jego przedstawiciele zgłosili się do niemieckiego biznesu... Tymczasem Niemcy naprawdę solidnie wywiązywali się ze swoich zobowiązań. Pamiętam, że mój ojciec dostawał z Niemiec co miesiąc, od początku lat 60., czeki na 300–400 dol. Przychodziły w charakterystycznej niebieskiej kopercie z pieczętką „Hanower”. Widać tu różnicę między bezpośrednimi odszkodowaniami wypłacanymi przez Niemców a pośrednimi, które poprzez organizacje żydowskie miała dostać m.in. moja matka...

Chyba nie ma pan większych wątpliwości, kto jest rzeczywistym celem 447?

W tej konkretnej ustawie bez wątpienia chodzi przede wszystkim o Polskę.

Wcześniej żydowskim organizacjom chodziło o dopadnięcie szwajcarskich banków czy niemieckiego przemysłu. Tylko amerykańskie banki mają tu immunitet.

W jakim sensie?

W obliczu zagrożenia ze strony nazizmu wielu europejskich Żydów zdecydowało się ulokować swoje oszczędności w amerykańskich bankach. Wychodzili oni z założenia, że im dalej je zdeponują, tym będą one bezpieczniejsze. Jednak amerykańskie banki nigdy nie stały się przedmiotem zainteresowania organizacji starających się wyciągnąć „odszkodowania”. Nie trzeba być geniuszem, żeby to zrozumieć. Nie gryziemy ręki, która nas karmi...

Należy więc zapytać ludzi, którzy próbują wymuszać pieniądze za pomocą wszystkich tych ustaw: Zanim weźmiecie się za polskie nieruchomości, dlaczego najpierw nie prześwietlicie amerykańskich banków pod kątem zdeponowanego w nich żydowskiego majątku? Przecież da się przeprowadzić taki audyt, co pokazała sprawa szwajcarskich banków, które musiały zapłacić wówczas ok. 1,5 mld dol.

REKLAMA



Obietnica. Historia, którą napisało życie

Historia młodej dziewczyny – Heni, która została zesłana do Kazachstanu. Choć dramatycznych opisów losów polskich zesłańców nie brakuje, ten jest wyjątkowy, bo prowadzony z niespotykanej dotąd perspektywy. W mistrzowski sposób łączy wątek autobiograficzny z duchowym. Współautorem książki jest wnuk bohaterki, który po kilkudziesięciu latach od tych wydarzeń Koleją Transsyberyjską udał się na poszukiwanie zaginionego dziadka, męża babci Heni...



ks. Arkadiusz Paśnik

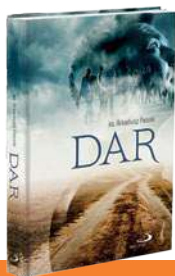
Przyjdź do jednej z naszych księgarni stacjonarnych z tym wydaniem gazety a dostaniesz **rabat 25%** na wszystkie publikacje ks. Arkadiusza Paśnika.

W tym roku z okazji obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości razem ks. Arkadiusz Paśnik, z babcią Henryką, został odznaczony medalem „Pro Patria” – polskim resortowym odznaczeniem cywilnym, przyznawanym przez kierownika Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.



Znamie

Bolesne, ale szczere rozliczenie z przeszłością swoją i swojej rodziny, pozwalające z nadzieją patrzeć w przyszłość. Dalsze losy bohaterów „Obietnicy”.



Dar

Książka, obok której trudno przejść obojętnie. Budząca skrajne emocje, od łez do niekontrolowanego śmiechu.



Lęk

Podróż do Ziemi Świętej, spisana w formie dziennika, stała się dla autora okazją do rozliczeń i przemyśleń. Łączy drogę po miejscach świętych z drogą po najbardziej intymnych obszarach ludzkiej psychiki.

Częstochowa 7 Kamienic 23 · Lublin Królewska 6 · Katowice 3 Maja 18

Promocja obowiązuje do 31 sierpnia br.

Kielce Sienkiewicza 61 · Wrocław Piaskowa 3



ŚWIĄTY PAWEŁ

Nie jest pan zainteresowany odzyskaniem tego, co pańska rodzina pozostawiła w Polsce?

Moi rodzice, tak samo jak wielu ocalałych, nie rozmawiali zbyt dużo o tych sprawach. Rodzina mojego ojca miała mały tartak w Warszawie. Z kolei rodzina mojej matki miała w Warszawie mały sklep z tytoniem. Nic więcej mi nie wiadomo o tych sprawach. Byłem blisko z rodzicami, ale te tematy były tabu. Nie otwierało się ran z przeszłości.

I nie chce się pan dowiedzieć więcej na ten temat?

Ani moje rodzeństwo, ani ja nie mamy takich planów. Nawet w głowach by się nam nie mieściło, żeby próbować uzyskać jakieś nieruchomości w Polsce. To byłoby szaleństwo.

Właściwie dlaczego?

Ponieważ to sprawa sprzed 80 lat, nie mam z tym wszystkim żadnego związku. To już na pewno zostało jakoś zagonosparowane. Ja mieszkam w USA, a te sprawy dotyczą odległej Polski. Domaganie się czegośkolwiek od Polski byłoby w moim przypadku absurdem. Jednak oczywiście oszukańcze żydowskie organizacje nie mają w takich sprawach żadnych skrupułów.

Jaką siłą dysponuje dziś, 73 lata po wojnie, grupa organizacji, które zbiorowo nazywa pan „przemysłem Holocaustu”? Na chłopski rozum z każdym rokiem muszą one tracić wpływy.

To jeden z wielkich paradoksów biologii. Otóż z biegiem lat liczba ocalałych z Holocaustu... rośnie. Przemysł Holocaustu nie podlega jednak prawom biologii, tylko prawom wymuszeń. Im więcej ocalałych, tym więcej pieniędzy można wyciągnąć. Każdego roku odkrywają więc nowych ocalałych z Holocaustu gdzieś tam na wysepkach południowego Pacyfiku.

Dzisiaj jednak nie słychać o tak wielkich odszkodowaniach, jakie były wypłacane jeszcze kilkanaście lat temu.

Ten przemysł jest dziś mniej efektywny, ponieważ ludzie są już zmęczeni tym, jak niektórzy Żydzi wykorzystują Holocaust pod kątem politycznym i finansowym. Dzisiaj jedynym celem tego przemysłu, który jest otwarty na próby wykorzystywania, jest Angela Merkel. Kanclerz Niemiec cały czas próbuje udowodnić, że jest tą „dobrą” Niemką i zawsze jest gotowa pokutować za nazistowski Holocaust. Te organizacje

zgłaszają się do niej raz na jakiś czas. Nie dostają wprawdzie tyle, ile by chciały, ale dostają wystarczająco dużo – po kilkadziesiąt milionów dolarów.

Jak pan czyta polsko-izraelski spór o nowelizację ustawy o IPN?

Izrael nie dba o prawdę historyczną. Nie zna pan jidysz, więc pewnie nic panu nie mówi słowo „szmata”.

To też polskie słowo.

Aha. W moim rodzinnym domu polski mieszał się z jidysz, więc można się pomylić. Jak wiadomo, szmata jest potrzebna, gdy się czymś pobrudzimy. W Izraelu traktuje się Holocaust właśnie jak „szmatę”.

To słowo brzmi w tym kontekście bardzo niedobrze...

Kiedy Netanjahu chce zaatakować Palestyńczyków, to używa do tego Holocaustu: mówi, że to nie Hitler wymyślił zagładę Żydów, lecz wielki mufti Jeruzolimy. To oczywiście bzdura. Izrael używa Holocaustu, kiedy jest mu to do czegoś potrzebne. Ostatnio jeden z izraelskich ministrów porównał Palestyńczyków ze Strefy Gazy do nazistów. Ludzie zamknięci w wielkim obozie koncentracyjnym, zmuszeni do picia brudnej wody, nazywani są nazistami. Czy to nie jest zabawne? Tak Izrael dba o pamięć o Holocaustie.

To nie jest już antysemityzm?

No tak, każdy, kto krytykuje Izrael, to antysemita. Nie musi mi pan tego przypominać. Kiedy mówimy o polsko-izraelskich różnicach w sprawie Holocaustu, to – po stronie izraelskiej – nie ma to nic wspólnego z faktami. Tutaj chodzi o politykę.

Jednak nie ma chyba co podejrzewać pana o popieranie zapisów tej ustawy?

Nie chcę wchodzić w meritum sporu między Polską a Izraelem. To bardzo skomplikowane sprawy, a ja nie czuję się w tej tematyce odpowiednio biegły.

Jedno mogę powiedzieć na pewno: jestem przeciwnikiem prób ograniczania wolności wypowiedzi. Jeżeli się z czymś nie zgadzasz, to walcz z tym siłą własnych argumentów. Nie zabraniaj innym wyrażać własnych opinii! Ta ustawa jest bezmyślna, ale mimo wszystko nie będę się jakoś specjalnie pastwił nad polskim parlamentem, bo niestety wszystkie kraje mają swoje sposoby, by walczyć z prawdą.

Co konkretnie ma pan na myśli?

Ostatni przykład. Głośno jest o sytuacji w Strefie Gazy. Tak się złożyło, że wydałem właśnie książkę o Gazie. Wiadomo jednak, że w USA ludzie generalnie nie za bardzo lubią moje opinie na temat Izraela. Mimo że książka została wydana przez bardzo poważane wydawnictwo – University of California Press – media nie chcą jej recenzować. Oczywiście prawo daje Amerykanom wolność wypowiedzi, mamy jednak bardzo efektywny system cenzorstwa. Niektóre formy cenzorstwa są jawne – tak jak w przypadku polskiej ustawy – a inne są niejawne.

Twierdzi pan, że ustawa 447 nie jest problemem. Czyli nie musimy się niczego obawiać?

Tego nie powiedziałem. Największe niebezpieczeństwo to naciski ze strony Izraela. Netanjahu ma dostęp do ucha Donalda Trumpa i widać, że część państw boi się zrobić cokolwiek wbrew woli Izraela. Niebezpieczeństwem jest to, że rządy i jednostki będą się teraz bały szantażu: sprzeciw wobec działań Izraela może się skończyć karą ze strony USA. Boję się, że uzasadniona krytyka wobec potwornych działań Izraela na niektórych polach będzie uciszana.

Tymczasem trzeba mówić prawdę prosto w oczy. W Gazie mieszkają 2 mln ludzi. Połowa z nich ma mniej niż 18 lat – to wszystko dzieci. ONZ alarmuje: tam się nie da żyć. 97 proc. wody jest zanieczyszczone. Istnieje obawa, że dojdzie do epidemii tyfusu i cholery. Pamiętajmy, że w warszawskim getcie głównymi przyczynami śmierci były głód, tyfus i cholera. Moja matka wiele mówiła o epidemii tyfusu w getcie.

Izrael walczy z takimi porównaniami, przypominając, że Hamas nie przestaje mu zagrażać.

Tylko że Izrael pozwala, by teraz to samo działo się w Gazie. Każdy, kto to potępia, nazywany jest antysemitą. Myślę, że to, co teraz powiedziałem, nie zostanie wydrukowane w Polsce. Albo pański redaktor naczelny się przestraszy, albo to pan się przestraszy i wytnie te słowa. Ludzie niestety za bardzo boją się gniewu ze strony Izraela.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Norman G. Finkelstein
– amerykański politolog,
autor książki „Przedsiębiorstwo Holocaust”.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Bezidolowość

Ilekoć umiera jakiś słynny i ważny muzyk rockowy, nadochodzi mnie przykra myśl, że jestem nieczułym potworem. Moi znajomi, przyjaciele albo po prostu ludzie z mojego pokolenia doznają szoku. I potem ronią łzy, rozpaczają albo chociaż wspominają. A ja nic.

Ta bezduszość dopadła mnie, kiedy odszedł Prince. Nie płakałem po Davidzie Bowie. I nawet teraz, kiedy zmarł nasz Robert Brylewski, poczułem jedynie niezbyt bolesne ukłucie w sercu. Co tu dużo gadać – przyjąłem tę wiadomość raczej obojętnie. Tak samo przeżywa się śmierć sąsiada, którego co prawda się kojarzy, ale nie bardzo wie, pod którym numerem mieszkał. Zdecydowanie coś ze mną jest nie tak.

Pochyliłem się nad swym zwyrodniałstwem, szukając jego przyczyny. I po długim namyśle wreszcie zrozumiałem, że ja – w przeciwieństwie do ogromnej większości 40-, 50-latków – nie lubiłem muzyki rockowej. Nigdy za nią nie przepadałem, nigdy nie była moja, nigdy mi nie odbiło na jej punkcie, nigdy nie czułem, żeby mnie wyrażała. Tym samym ominęło mnie coś, co ukształtowało moich rówieśników.

Kiedy chodziłem do podstawówki, akurat eksplodował rockowy boom. Z jakichś powodów – może byłem nerdem? – pozostałem na jego obrzeżach. Idiotyczne wydawało mi się układanie włosów jak jakiś muzyk albo przypinanie sobie znaczka z nazwą ukochanego zespołu (tym bardziej że nie byłem

w stanie żadnego pokochać). Identyfikowanie się z jakąś subkulturą wydawało mi się jeszcze dziwniejsze, podobnie jak definiowanie siebie po przez rodzaj słuchanej muzyki („Ja jestem metalem!”, „A ja depeszem”). W sporach o wyższość Maanamu nad Lady Pank czy Metalliki nad AC/DC nigdy nie miałem zbyt wiele do powiedzenia. W Jarocinie byłem raz, już jako dorosły człowiek, i zdecydowanie mi się nie podobało. Nigdy nie nosiłem kucyka. W nosie mam i Beatlesów, i Rolling Stonesów (choć nic nie jest tak nudne jak ci pierwsi). No po prostu ja i rock nie pasujemy do siebie. Żaden kawałek mnie nie odmienił, żaden zespół mnie nie ukształtował.

Niestety, czyni to ze mnie nie tylko człowieka nieczułego na odchodzenie idoli, lecz także wyobcowanego społecznie. Mogłoby się wydawać, że fascynacje sprzed trzech dekad nie mają wielkiego wpływu na życie ludzi w mocno średnim wieku. Ja w każdym razie z lekkim zażenowaniem wspominam młodzieńcze uniesienia z różnych dziedzin. Jednak ludzie rocka są mu wierni, jakby złożyli wolnomularską przysięgę. Mimo łysin wciąż chodzą na koncerty, machają bezwłosymi głowami, a potem publikują filmy, na których nic nie widać, informując, że było czadowo tak jak w 1990 r.

I chyba dlatego czuję się czasem tak wyobcowany. Acz pewne znaczenie może mieć też fakt, że nie widziałem ani jednego odcinka „Ucha Prezesa”. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Widmo wolności

Widmo kaczyzmu krąży po Europie. Nowe wiatry dają się odczuć w coraz większej liczbie krajów. Polsko-węgierska zaraza ogarnęła Austrię i Włochy, sięgnęła po małą Słowenię. I nic nie wskazuje na to, żeby miała się zatrzymać. Barwy antysystemowców bywają różne, mają jednak zbieżne cele (z rozwiązaniem problemu imigrantów na czele) i wspólne powody powstania. Dotychczasowe główne partie zawiodły. Tak dalece upodobniły się do siebie, że społeczeństwa straciły

związku wolnych narodów coraz bardziej upodabniała się do RWPG, a może nawet samego ZSRS.

Od pewnego czasu trwał wyścig z czasem – czy wcześniej Europa się obudzi, czy też społeczeństwa zostaną tak spętane, tak ogłupione, że zatracą jakąkolwiek zdolność sprzeciwu.

W istocie chodzi o możliwość działań samozachowawczych. Jad sączony przez pół wieku przez „dzieci Marksa i Coca-Coli” (minęła właśnie okrągła rocznica „maja barykad 1968 r.”) spętał organizmy wolnych państw. Zdominował media, przejął uniwersytety, stając się czymś we własnym mniemaniu bezalternatywnym.

Swego czasu podobne ambicje miał marksizm. Socjalizm, ogłaszając się „naukowym”, z góry deprecjonował wszelkie inne koncepcje jako nienaukowe i próbował być monopolistą.

Podobnie dyktatura światowego lewactwa wykluczyła możliwość jakiegokolwiek odmienności w interpretacji zjawisk. Tyle że prędzej czy później wszelkie pomysły totalne kończą się totalną kląpą.

Oczywiście zmiany trendów nie należy przeceniać. Przed powrotem do systemu zdrowego rozsądku daleka droga. Mainstream będzie się bronił, pojawiają się próby kooptacji, podziałów, zgniłych kompromisów, choć zadufanie jest ciągle najlepszym sprzymierzeńcem buntowników. A swoją drogą: Czy ruch sprzeciwu, kiedy ostatecznie zwycięży, będzie się nazywać mainstreamem? ©©

**Fala sprzeciwu,
gniewu,
a nade wszystko
zdrowego rozsądku
zmiecie nadętą
kastę pasożytniczą
na Unii**

jakąkolwiek możliwość wyboru. Poprawność polityczna zamordowała wszelką dyskusję na najważniejsze tematy, a rosnąca część społeczeństwa nie miała swego przedstawicielstwa. Arogancja elit sięgnęła himalajów pychy. Teraz ruszyła lawina. Intuicja podpowiada mi, że po wyborach do europarlamentu w maju przyszłego roku nie poznamy naszego kontynentu. Fala sprzeciwu, gniewu, a nade wszystko zdrowego rozsądku zmiecie nadętą kastę pasożytniczą na Unii, która zamiast do



FOT. BLOMBERG/GETTY IMAGES

Druciarze Europy



Rafał A.
Ziemkiewicz

To, co w tej chwili zdolni są wymyślić eurokraci, przypomina mi naprawianie bezpieczników drutem. Czy usmażą całą europejską instalację?

Polsko-węgierski wirus infekuje kolejne unijne kraje. Po kilkunastu dniach bezowocnych prób wyleczenia zeń Włoch sternicy zjednoczonej Europy i pełniący funkcję ich delegata na kraj pochodzenia włoski prezydent odpuścili, pozwalając w końcu na powstanie eurosceptycznego rządu. Najwyraźniej sondaże przekonały odsuwać od znaczenia establishment, że kolejne wybory, jeśli uda się je wymusić, przyniosą rezultat jeszcze bardziej dla nich żałosny. Nietrudno zauważyć, że ów establishment usiłował wcielić we Włoszech w życie podobny scenariusz, który marzył się naszej „totalnej opozycji”. Zupełnie oczywiste wydaje się

więc, że także dalej będzie realizowane to samo, czego po załamaniu marzeń o „milionach na ulicach” i „PiS-owcach skaczących z okien” chwyciły się u nas PO z Nowoczesną i ich „tęfałeny”. Nowy, eurosceptyczny rząd będzie codziennie atakowany falą oburzenia z byle powodu, odsunięte w wyborach elity będą się starały go za wszelką cenę zdelegitimizować, rozpętując histerię za histerią, bez chwili przerwy. Nie wiem oczywiście, co będzie włoskim odpowiednikiem aukcji koni, wycinania drzew, reformy sądów, niepełnosprawnych dzieci itd. – ale przecież nie ma to wielkiego znaczenia.

Z naszego punktu widzenia ważne jest jedno – Polska schodzi z linii strzału. Włochy to państwo założycielskie pierwotnej wspólnoty europejskiej, jedna z największych gospodarek Unii, państwo liczące sobie 60 mln obywateli... Jeśli postawi się Berlinowi, Paryżowi i Brukseli na dobre, to eurokraci będą mieli kłopot. A że się postawi, upewniają najnowsze sondaże. Poparcie dla Unii Europejskiej i zaufanie do niej deklaruje dziś 38 proc. Włochów. Jeszcze dziewięć lat temu było to 70 proc. Co prawda, na razie w tym samym sondażu tylko 25 proc. deklaruje, że głosowałoby, gdyby odbyło się takie referendum,

za opuszczeniem Unii, ale tendencja jest wyraźna.

I co? Kierownictwo Unii, gdziekolwiek się ono właściwie znajduje i w czyichkolwiek rękach, wydaje się równie niezdolne do zrozumienia tej sytuacji jak sowieckie politbiuro z czasów Susłowa i Kulikowa. Na problemy Europy lekarstwem ma być więcej Europy. Na problemy z integracją reakcją jest więcej integracji. Tako rzecz doktryna.

Tymczasem to właśnie „więcej integracji” jest przyczyną, dla której panoszenia się „Europy” w osobach jej samozwańczych przywódców coraz bardziej mają dość już nie tylko Polacy, Węgrzy czy Słowacy, lecz także Austriacy i Włosi, po których na pewno dadzą swej irytacji wyraz następni, poczekajmy zresztą na przyszłoroczne eurowybory. Strefa euro zrujnowała Południe, niekontrolowana imigracja zniszczyła poczucie bezpieczeństwa, a rachunku dopełnia bezczelność Komisji Europejskiej, usiłującej bez prawnego umocowania narzucić się jako ponadpaństwowy superzrząd.

To, co w tej sytuacji zdolni są wymyślić eurokraci, przypomina mi naprawianie bezpieczników drutem. Za moich czasów – dygresja niezbędna dla młód-

szych – bezpieczniki domowej instalacji nie miały tak jak dziś formy tablicy, na której jednym pyknięciem przywraca się prawidłowe ustawienie, były jednorazowe i właśnie ich, tak jak wszystkiego, nie było, więc przepalony bezpiecznik owijało się drutem i więcej już się nie przepalał. Smażyła się za to, po jakimś czasie, sama instalacja elektryczna gdzieś w ścianie.

@

Z traktowaniem kolejnych obsuw euroidei jak bezpieczników, które się zadrutuje i jakoś będzie się świeciło dalej, nieodparcie kojarzy się oburzenie przywódców europejskich na prezydenta Trumpa, który – zgodnie z zapowiedziami złożonymi jeszcze w kampanii wyborczej – wprowadził na europejską stal i aluminium zaporowe cła. Wściekłość eksporterów tych dóbr jest zrozumiała, ale ich argumenty – zabawne. Trudno nie pęknąć – choć właściwie nie wiem, czy ze śmiechu, czy ze złości – kiedy prezydent Francji z pasją poucza Trumpa, że protekcjonizm gospodarczy to złe rozwiązanie, bo szkodzi rozwojowi gospodarczemu i prowadzi do wojen. Przecież tak niedawno w kampanii wyborczej ten sam Macron najechał bez pardonu na Polskę i inne kraje środkowej Europy, zarówno za to, że ściągają do siebie niższymi kosztami francuskie przedsiębiorstwa, jak i za to, że nasze firmy stanowią konkurencję dla rodzimych, francuskich, w ich własnym kraju.

Powie ktoś: Macron z kampanii wyborczej to nie ten sam Macron, który już wybory wygrał i jest prezydentem. Otóż nie, akurat w tej sprawie jest on konsekwentny jak mało który polityk. Wprawdzie co bardziej radykalne pomysły skutecznie zablokowała mu kanclerz Niemiec, ale od podgryzania podstawowych swobód gospodarczych, na których oparto Europejską Wspólnotę Węgla i Stali, potem nazwaną Europejską Wspólnotą Gospodarczą i w końcu Unią Europejską, bynajmniej francuski lider nie odstąpił i znajduje w tym dziele sojuszników. To Francja właśnie stoi za niedawno przyjętą dyrektywą o „pracownikach delegowanych”, pozbawiającą przedsiębiorstwa z naszego regionu dotychczasowych atutów w konkurencji na rynkach „starej Unii”.

Oczywiście miejscowa „opozycja magnacka” z zapałem tendencję do niszczenia polskich firm wspiera – nie tylko zagłosowała za dyrektywą, by potem

różnić głupa, że przez pomyłkę, lecz także upowszechnia narrację, że to w sumie dla dobra polskich pracowników, żeby zarabiali tyle samo co ci z Zachodu. Skoro tak, to niech ktoś zaproponuje Unii „dyrektywę o delegowanych przedsiębiorstwach”, zobowiązującą działające na naszych rynkach firmy francuskie, niemieckie i inne, aby zatrudnianym tu pracownikom płaciły dokładnie tyle samo, ile w swoich krajach pochodzenia.

No? Panowie europosłowie i panie europosłanki z Europejskiej Partii Ludowej, macie szansę zawalczyć o sympatię Polaków dużo skuteczniej niż pisanie do Komisji Europejskiej petycji, żeby uniemożliwiła wejście w życie reformy Sądu Najwyższego, bo wtedy – jak wypsnęło się pani Lubnauer – zmuszeni będą odejść z jego składu „nasi sędziowie”. Jak to się człowiek, swoją drogą, czasem wygada...

@

Mówiąc krótko: ci, którzy oskarżają prezydenta USA o to, że niszczy podwaliny światowego porządku, czegoś, co nazwano – niezbyt trafnie – konsensem neoliberalnym, sami jednocześnie niszczą podwaliny europejskiej jedności. Bo chyba nie są idiotami, żeby sądzić, że da się utrzymać istnienie Unii, przekształcając ją z projektowanej strefy wolnego handlu, mającej jednoczyć go-

Kazimierz Rudzki – „coraz bardziej go otaczającej rzeczywistości”. Może jednak zdaje sobie sprawę, że jedyne, co może, to zachowywać pozory, drutować kolejne przepalone bezpieczniki i mieć nadzieję, że co ma wywalić, wywali za kadencji jego następcy?

Jakby mało było kłopotów, premier Izraela uporczywie dąży do wywołania na Bliskim Wschodzie wojny. Lepiej teraz niż później – mówi zupełnie otwarcie izraelskiej gazecie. To logika von Moltkego, który w 1914 r. robił wszystko, by lokalny kryzys spowodowany zastrzeleniem przez terrorystę austriackiego następcy tronu przekształcić w wojnę z koalicją francusko-rosyjską. Rosja rośnie w siłę – perswadował – z każdym rokiem stosunek sił zmienia się na naszą niekorzyść. Na co więc czekać? Iran rośnie w siłę, inne państwa Zatoki Perskiej też. Benjamin Netanjahu twierdzi, że Iran produkuje bombę atomową i że ma na to dowody – ale przedstawić ich „nie może”. Mówiąc szczerze, po „zbrodniach w Kosowie” i po „broni chemicznej” Saddama Husajna trudno mu uwierzyć. Dlatego sekretarz generalny NATO dość nieoczekiwanie odmówił uznania Izraela za państwo, którego sojusz zobowiązany jest bronić. Tylko czekać, jak znajdą się na niego haki, że antysemita.

Kluczowe jednak będzie to, jak do starań Netanjahu odniesie się Ameryka,

Warszawa schodzi z linii strzału. Jeśli Rzym postawi się Berlinowi, Paryżowi i Brukseli na dobre, to eurokraci będą mieli kłopot

spodarcze potencjały wszystkich krajów w jedną gospodarkę, zdolną perspektywnie konkurować z Ameryką, Dalekim Wschodem i krajami BRICS, w narzędzie kolonialnej dominacji silnych państw północnego Zachodu nad państwami Europy Środkowej i Południa.

A może są? Oglądając kolejny film, opublikowany niedawno w Internecie, na którym Jean-Claude Juncker zatacza się po czerwonym dywanie i chwiejnie obłapia swoich urzędników, by nie upaść, przypomniałem sobie pewnego byłego prezesa telewizji, który – poddany rzeczywiście straszny, kompletnie go przerastającym politycznym presjom i coraz bardziej niezdolny zrobić – z każdym miesiącem urzędowania coraz bardziej nie trzeźwiał. Juncker chyba znieczula się z tego samego powodu, by uciec od – jak to mówili

w pewnym sensie odpowiedzialna za rozzuchwalenie go idiotyczną decyzją o przeniesieniu ambasady do Jerozolimy. Trudno uwierzyć, by Trump, mając natwieranych już tyle frontów, gotów był posyłać wojsko na kolejną wojnę, do której wydaje się niewykonalne przekonać zarówno swoje własne społeczeństwo, jak i sojuszników. No, może poza Polską.

Co z tego wszystkiego wyniknie, nie powiem. Nie żebym nie miał pewnych przewidywań, ale nie będę się nimi dzielił. Kiedyś, w latach 90., pisałem opowiadania i powieści SF, dziejące się w Europie gdzieś ok. 2020 r. Kto czytał, ten się zgodzi, że – ogólnie rzecz biorąc – najczarniejsze przewidywania się sprawdziły (kto nie czytał, ten niech kupi i przeczyta). Może zatem tym razem to już nie.



Protesty studentów w Paryżu.

Maj 1968 r. FOT. JONATHAN BLAIR/CORBIS/GETTY IMAGES

Wildsteinowi wciąż się chce



Piotr Semka

Bronisław Wildstein w swej najnowszej książce obnaża aksamitną dyktaturę unijnych elit

Rewolucjoniści 1968 r. doprowadzili przez dekady do zmian, które różnią się od dawnych powstań i zrywów. Politycznie zwolennicy Daniela Cohna-Bendita czy Rudiego Dutschkego wówczas, w 1968 r., przegrali – nie obalili znienawidzonych przez siebie rządów „represyjnej tolerancji” ani nie założyli nowych partii. A jednak udało im się to, co nazwano potem „długim marшем przez instytucje”.

Aby zorientować się w celach i metodologii tej neomarksistowskiej „piekrowki dusz”, warto wziąć do ręki najnowszą książkę Bronisława Wildsteina „O kulturze i rewolucji”. Jest to zbiór esejów, wykładów i felietonów autora z ostatnich paru lat.

NIEMIŁA NIESPODZIANKA

Jego pokolenie, które pierwszą część życia spędziło na walce z komunizmem w stylu sowieckim, nie było dobrze przygotowane do zderzenia z generacją '68. Co więcej, weterani paryskiego Maja byli wśród intelektualistów pomagających Solidarności. PRL przyzwyczajał do sprzeciwu wobec oficjalnego rytuału i represyjnej strony komunizmu. Marksizm krajów demokracji ludowej był ogólny,

celebrowany i urzędowy. Bardzo wyraźnie podkreślał swoją ideologię, swoje cele i nie krył specjalnie swojej opresyjności.

Dla odmiany rewolta 1968 r. na Zachodzie dla młodych Polaków była symbolem świeżości i ducha swobody. Podkpiwano z portretów Mao i Ho Chi Minha na strajku na Sorbonie, ale wyraźnie oddzielano dziwną fascynację marksizmem od wolnościowego klimatu, wyrażanego muzyką, długimi włosami, niekiedy swobodą seksualną i popkulturą. I przede wszystkim – nijak duch roku 1968 nie kojarzył się z opresyjnością.

Trzeba było upadku komunizmu i nasycenia się „wejściem do Europy”, aby co bystrzejsi dawni kontestatorzy komunizmu, w tym Bronisław Wildstein, zaczęli z niepokojem odkrywać dawne cechy marksizmu powracające w nowej tęczywo-hedonistycznej dekoracji. Nie był to krótki i łatwy proces odkrywania prawdy.

Pamiętam Bronka z pierwszej połowy lat 90., gdy jeszcze wierzył w liberalizm w gospodarczym znaczeniu tego słowa jako najlepsze antidotum na pozostałości komunizmu. Trzeba było osobistego zderzenia z układem okrągłostołowym w postaci blokady akt dawnej SB na temat niewyjaśnionej śmierci Stanisława Pyjasa, przyjaciela z opozycji, by Bronek zaczął rozumieć, że pod kolorową fasadą III RP kryją się skrytynie chowane tajemnice. A kolejnym odkryciem było, że pod wolnościową i uśmiechniętą fasadą zachodniego liberalizmu kryje się wiele cech opresji marksistowskiej. Nic dziwnego, że najdłuższy esej w książce poświęcony jest „życiu po życiu” – idei filozofa z Trewiru.

Wildstein pisze: „Paradoksalnie, pomimo katastrofy i klęski wszystkich opartych na doktrynie Marksa projektów politycznych, po przeformułowaniu jego głównych tez, to on okazuje się prawdziwym prawodawcą współczesnej Europy”.

Wszystkie takie uwagi u euroentuzjastów wywołują oburzenie. Jak można porównywać satrapię sowiecką z dzisiejszą Europą?! – krzyczą z oburzeniem.

Jak można? Poczytajcie Wildsteina. Autor opukuje współczesną kulturę polityczną Europy, szukając starych mechanizmów ukrytych w aksamitnym opakowaniu. Ten monopol władzy elit liberalno-lewicowych przyjmuje dziś oblicze pozorowanej demokracji wolnego wyboru, ale gdy tylko wygrywają „nie ci, co trzeba”, rozpoczyna się awantura, którą Polacy odczuwają na własnej skórze od lata 2015 r.

Po co zamykać świątynie? Lepiej zdyskredytować Kościół, generalizując przypadki pedofilii, by ludzie odwrócili się od księży. Po co zakazywać patriotyzmu? Lepiej go ośmieszyć, a gdy to nie pomoże – ubrać go w kostium faszyzmu i przemocy niegodny światłego Europejczyka.

Podstawą sukcesu jest niewidoczność neomarksizmu, który opanowuje jako ukryta ideologia kolejne przestrzenie życia publicznego. Zawsze przedstawia się nie jako rozwiązania ideologiczne, ale jako coś po prostu lepszego i nowocześniejszego. Tak jak rosyjscy żołnierze w mundurach bez oznak byli na Krymie w 2014 r. skuteczniejsi niż wojska z normalnymi symbolami armii.

W tekście „Nowa ideologia” Wildstein pisze: „Korpus dominującej dziś ideologii

(lewy) jest rozproszony. W przeciwieństwie do swoich poprzedników nie posiada świętych ksiąg, które zawierałyby całość jej doktryny, nie ma także proroków, którzy gwarantowaliby jej ortodoksje. To znaczy ma i święte księgi, i proroków, ale formalnie antydoktrynalne myślenie, które ma być jego metodą, powoduje, że nie ma jednej ewangelii, ale całą bibliotekę niezwykłe do siebie podobnych tekstów, nie ma jednego proroka, ale cały ich legion”.

Wildstein pokazuje, jaką siłą może być ideologia, która udaje, że formalnie nią nie jest. Taka konstrukcja ideowa przypomina niewidzialny gaz – zaczyna, nie dając się wyrazić ani zobaczyć, ani sklasyfikować.

To coś na kształt przewidzianej w książce „Nienasycenie” Stanisława Ignacego Witkiewicza nowej wersji pigulek Murti-Binga.

„(Nowa ideologia) jest tworem par excellence nowoczesnym. Rodzi się z porzucenia porządku religijnego, który kształtował ludzkie wyobrażenie o świecie i wskazywał na znikomość ludzkiej mocy; rosnąć może, kiedy zanegujemy ludzką niedoskonałość i ułomność”.

OCZY SZEROKO ZAMKNIĘTE

Wildstein w swoich esejach doskonale pokazuje, jak złudne było przekonanie, że Europa wyciągnie wnioski z upadku ZSRS i krachu komunizmu w sowieckim stylu.

Jego pokoleniu ten sukces wydawał się tak ewidentny i oczywisty, że długo nie zauważano, jak wiele cech marksizmu weszło w Unię Europejską niczym duch zombi w nowe ciało.

Duża część byłych dysydentów, weteranów walki z komunizmem nie miała już siły, aby po wygranej z jednym totalizmem zauważyć nowe, niepokojące, antydemokratyczne tendencje w świecie rzekomego „końca historii”. Ten sam krakowski Studencki Komitet Solidarności wydał zarówno Wildsteina, jak i Różę Thun – nową „La Passionarię” europejskiej urawniłowki nad Wisłą.

Co więcej, neomarksizm walczył z tymi, którzy wskazują na jego utopijne cechy, sam oskarża takich śmiałków o komunistyczne nawyki. Gdy ktoś chce poszanowania religijnych tradycji narodu – zarzuca mu się chęć wskrzeszenia socjalistycznej jedności ideowej wspólnoty. Gdy chce postawić tamę naporowi imigrantów z południa tak jak Viktor Orbán – porównuje się go do twórców muru berlińskiego. A ponieważ wielu intelektualistów z dawnych demoludów ma złe wspomnienia z lat

komuny – takie porównania z dawnymi czasami są tym bardziej skuteczne.

W wykładzie na sesji w Trybunale Konstytucyjnym 8 czerwca 2017 r. Wildstein ostrzegał: „Na straży nowej ideologii stoi cenzura poprawności politycznej, która wpisywana jest w normy i politykę prawną państw Europy Zachodniej, wkracza do systemów edukacyjnych i promowana jest we współczesnej kulturze. Zwłaszcza Unia Europejska staje się wehikułem przebudowy świata w myśl jej zasad”.

Te złe cechy Unii instynktownie uznawano za wypadki przy pracy. Wielu powtarzało wezwania Jana Pawła II, dla którego akcesja unijna była ostatecznym zerwaniem z komunizmem.

Tyle że w 2003 r., gdy decydowało się w referendum wejście Polski do UE, nie widać było jeszcze, jak bardzo despotyczna będzie to struktura. Wtedy postępowi katolicy ze stworzonego na potrzeby kampanii referendalnej Forum Świętego Wojciecha uspokajali, że akces do Unii nie musi oznaczać zmian cywilizacyjno-obyczajowych. Dzisiaj te same tuzy katolickiej inteligencji z kręgów „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi” milczą, gdy np. próbuje się wymusić legalizację „małżeństw jedнопłciowych” w niezgadających się na to krajach Europy pod pretekstem koordynacji przez Parlament Europejski przepisów cywilnych.

Wildstein ma niezwykle wyczulone ucho na te nieliczne chwile, gdy eurokracja zdobywa się na szczerość. Cytuje fragment gniewnego felietonu polityka PO Bartłomieja Sienkiewicza po zwycięstwie w brytyjskim referendum zwolenników brexitu.

Sienkiewicz tak wyjaśnia argumenty zwolenników wyjścia z UE. Są to „populizm i demagogia kładące kres panowaniu dotychczasowych elit politycznych i sterowności całego systemu; nieufność do jakiegokolwiek wiedzy pochodzącej z kręgów eksperckich i równocześnie wiara w najbardziej dziwkie kłamstwa i szalone recepty, pogarda dla dotychczasowych instytucji i chęć stworzenia nowego świata wolnego od zgniłego establishmentu”.

Zatrzymajmy się wraz z Wildsteinem nad takim myśleniem Sienkiewicza. Wyziera z niego przekonanie, że wybory są dobre tylko wtedy, gdy potwierdzają władzę euroelit i ekspertów. Są oni czymś w rodzaju nowej szlachty rodowej, której władza

nad niechętną Europie ciemnotą rozumie się sama przez się.

Wildstein pisze: „Trzeba przyznać rację Sienkiewiczowi. Obecne elity władzy sprzęgnięte są z dominującymi w Europie kręgami eksperckimi. Fakt, że te ostatnie nie były w stanie przewidzieć niebezpieczeństw (brexitu) wskazywanych przez tych, którym odmawiano kompetencji, daje do myślenia. To, że eksperci ci stanowią element rządzących elit, wyjaśnia sprawę.

Sam Sienkiewicz jest tego doskonałym przykładem. Bezinteresowny ekspert powołany do rządu Tuska, teraz znowu wrócił do roli niezależnego mędrca. I tak nie pełni tych funkcji równocześnie, tak jak swego czasu Aleksander Smolar. A dziennikarze rozmawiając z nim, musieli się upewniać, czy mówią z niezależnym komentatorem sceny politycznej, czy z członkiem zarządu zapomnianej dziś partii Unii Wolności”.

BYSTRE OKO

Wildstein wyjaśnia, jak wkomponowanie ekspertów w polityczny aparat władzy powoduje ich dysfunkcjonalność. Skoro eksperci są faktycznie częścią aparatu władzy, to jasne jest, że odsuwają ze swego pola widzenia zwiastuny sytuacji, które będą dla tejże elity niekorzystne.

Skoro eksperci przekonywali wyborców, że do brexitu nie dojdzie – jak mieliby być przygotowani na taki rozwój wypadków? Takie słabości powodują, że system aksamitnej dyktatury liberalnych elit w Unii przypomina dzieje obozu sowieckiego po 1945 r. Nie da się uniknąć co pewien czas kryzysów. Tak jak w XX w. kolejne wybuchy w postaci rewolty na Węgrzech w 1956 r., potem w Czechosłowacji w 1968 r., a wreszcie

rewolucja Solidarności ujawniały dysfunkcjonalność systemu – tak w dzisiejszej Europie kolejne kraje wyrwywają się z kanonów poprawności politycznej: Węgry Orbána, Polska Kaczyńskiego, Austria Kurza czy Włochy Di Maio i Salvinięgo.

Wydawało się, że takie podobieństwa powinny rzucać się w oczy przede wszystkim byłym dysydentom. Większość z nich jednak nie ma ochoty na kolejną walkę z nowym przeciwnikiem. Wildsteinowi wciąż się chce. I za to mu chwała. Sięgnijcie koniecznie do jego książki.



BRONISŁAW WILSTEIN
„O KULTURZE
I REWOLUCJI”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2018

STAN WOJENNY WE WSPOMNIENIACH

**NIE POZWÓLMY, ABY
WYDARZENIA SPRZED LAT
ULEGŁY ZATARCIU.
DZIELMY SIĘ RELACJAMI
Z TEGO TRUDNEGO CZASU.
KAŻDY, KTO PAMIĘTA ROK 1981,
NOSI W SOBIE WYJĄTKOWE
WSPOMNIENIA.
UŁÓŻMY Z NICH JEDYNY
W SWOIM RODZAJU OBRAZ
TAMTYCH DNI.**

WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU

**WEŹ UDZIAŁ W TWORZENIU
MUZEUM WSPOMNIENI!**

**PODZIEL SIĘ Z NAMI WSPOMNIENIAMI
ZE STANU WOJENNEGO I WEŹ UDZIAŁ
W KONKURSIE. SZCZEGÓŁY NA:
WWW.SUPERHISTORIA.PL**





Harcerze króla Zygmunta



Jacek Komuda

Harcownicy, tak jak dzisiejsi sportowcy, potykali się w polu na oczach wrogich armii. Rezultat ich walk często rozstrzygał o wyniku bitew

Jednym ze średniowiecznych obyczajów rycerskich było stacanie przed bitwą pojedynków, których wyniki podnosiły lub osłabiały morale wojsk. Obyczaj ten znali nie tylko Niemcy, Polacy, Litwini i Wołosi, lecz także Hiszpanie, a przede wszystkim – Turcy, Tatarzy,

Arabowie i Maurowie. W XVI w. wojowników wyjeżdżających na harce zwano harcerzami. Jak pisze Zygmunt Gloger, „zdarzało się, że najdzielniejsi, przepasawszy się przez piersi na ukos czerwonymi nałęczami [wstęgami – przyp. JK.], przed bitwą rzucali się w kilkadziesiąt

koni w środek obozu nieprzyjacielskiego i sprawiali popłoch w tysiącach”.

Jedne z pierwszych opisanych harców to te przed bitwą pod Koronowem w październiku 1410 r., kiedy do Polaków przybył herold, oznajmiając, że Słazak Konrad von Niemcz, rycerz z dworu króla Zygmunta Luksemburczyka, wyzywa na pojedynek tego z polskich rycerzy, który odważy się z nim zmierzyć. Jego rękawicę podjął Jan Szczyccki herbu Doliwa, który wysadził wroga kopią z siodła i – jak podaje Długosz – strącił, dając znak, jak potoczą się losy obu wojsk. I rzeczywiście bitwa skończyła się zwycięstwem Polaków.



Król Zygmunt I po zwycięstwie pod Obertynem na Zamku Krakowskim przyjmuje Jana Tarnowskiego, hetmana wielkiego koronnego FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

A kiedy gospodar Piotr Raresz wysłał własnych, którzy „krzykiem, drwinami i łajaniem wywabiali” naszych i jeden z nich podjechał na koniu blisko obozu, łącz hetmana i nazywając go tchórzem, został po prostu zastrzelony.

DRUŻYNA KRÓLA ZYGMUNTA III

Z biegiem czasu utrzymywanie własnych harcowników stało się tak popularne, że władcy, a nawet książęta zaczęli zaciągać drużyny konnych i zbrojnych „sportowców”, którzy na polach bitew i na turniejach prezentowali siłę oraz moc suwerena. Król Stefan Batory utrzymywał ich kilku, a z nazwisk znamy z 1585 r. Szwarackiego i Goreczkowskiego. Zygmunt III Waza utrzymywał w 1590 r. na dworze aż 35 „harcerzy” – m.in. Żółtowskiego, Łopackiego, Chomentowskiego, Stockiego, Cwiklińskiego, Skrzetuskiego, Płońskiego i wielu innych. Każdy miał dwa wierzchowce, pobierał 120 dukatów zasług rocznych, a tygodniowo na strawę otrzymywał jeden złoty i 20 srebrnych groszy. Przełożonym „harcerzy” był Jerzy Kretkowski, który służył na sześć koni i pobierał 400 dukatów rocznej pensji. Ich jedynym zadaniem było wygrywać dla monarchy potyczki i pojedynki przed bitwą.

W 1588 r. pod Byczyną Jan Zamoyski wystawił przed szczykami polskimi 70 najdzielniejszych i najlepiej wyćwiczonych harcowników, pod dowództwem Andrzeja Karchowskiego. Starli się z oddziałem ok. 30 węgierskich „harcerzy”, których utrzymywał z kolei arcyksiążę Maksymilian Habsburg, pretendent do polskiego tronu. Polacy zmieszali przeciwnika, a Węgom przyszli z pomocą arkebuzery cesarscy – postrzelono wówczas Chrzastowskiego, Baranowskiego i Strusia. Jednak atak naszych harcowników skłonił arcyksięcia do sprowadzenia jazdy ze wzgórz przed szczy polski, gdzie została ona zaatakowana przez husarię i Kozaków Zamoyskiego. W bitwie tej zginął też Hawryło Hołubek, sławny Kozak, harcownik i zagończyk postrzelony w głowę lub prosto w oko z arkebuzą.

ELEARZY RUSZAJĄ DO BOJU

Pod koniec XVI w., zgodnie ze zmieniającymi się modami, „harcerzy” zaczęto nazywać z węgierska „elearami”, „eljerami”, „haljerami” lub znacznie później – po prostu harcownikami. Według Wojciecha Dębołęckiego, kapelana lisowczyków, słowo to wzięło się z węgierskiego „clu

iaro”, czyli: „w przód idący”, albo „elo harcos” od „elo” – „naprzód” i „harcos” – oznaczającego doświadczonego wojownika. Od tego terminu zapewne wywodzi się nazwa polskich skautów, zaproponowana w 1910 r. przez Kazimierza Żórawskiego i Andrzeja Małkowskiego wydających pismo „Harcerz”.

Oddział takich właśnie elearów ustawił na lewym skrzydle wojsk Jan Zamoyski w roku 1600 przed bitwą pod Bukowem, gdzie walczył z armią hospodara wołoskiego Michała Walecznego. Kiedy przyszedł hetman litewski Jan Karol Chodkiewicz prosił Żółkiewskiego, aby wraz z bratem pozwolił im iść z nimi w bój, hetman odmówił, obawiając się niepotrzebnych strat w walce ze słabym przeciwnikiem. „Ten zdrajca Michał za paznokcie wasz nie stoi” – odpowiedział. Oddziałem elearów, który pierwszy przekroczył rzeczkę i uderzył na kopijników wroga, dowodzili nieznanzy z imienia Bekiesz, być może krewny Kaspra Bekiesza, i Aleksander Łaszcz.

Harcownicy pojawili się później w wojskach rokoszan w bitwie pod Guzowem w 1607 r. – przepasani czerwonymi szarfami pod komendą Janusza Radziwiłła przedarli się przez chorągwie królewskie aż do namiotu Zygmunta III Wazy, a jeden z nich – Hołownia – dopadł dworzan, wołając: „A gdzie Szwed?”, za co został rozsiekany.

W latach późniejszych nazwa elearów przylgnęła do lekkiej jazdy lisowczyków, w czym nie miała być zasługa ich kapelana, wspomnianego Dębołęckiego, i jego dzieła „Przewagi elearów polskich”.

JA GO W PULS, ON MNIE W OKO!

Jak wyglądały w tamtych czasach „harce”? Bardzo często ruszały naprzeciwko siebie luźne ławy jeźdźców z obu stron, po czym starcie rozpadało się na wiele pojedynków. Rywalizowano zarówno na białą, jak i na palną broń. Często próbowano po prostu schwytać przeciwnika – co oznaczało zysk dla zwycięzcy, jeniec musiał bowiem zapłacić sowity okup. Mierzono do siebie z pistoletów, pchano dzidami – włóczniami, Turcy często rzucali dziurty – krótkie oszczepki służące do miotania. Walka była dynamiczna – żaden z jeźdźców się nie zatrzymywał, chyba żeby złapać za wodzę konia pokonanego. Przeciwnicy po prostu mijali się w galopie, rąbiąc, klując, czasem strzelając, po czym zawracali i godzili w siebie po raz kolejny. W takich warunkach dobrze było mieć mocnego,

Nie wszyscy przeciwnicy Rzeczypospolitej znali ten obyczaj. Na harce nie wychodzili Moskale. Kiedy Jan Tarnowski, przyszły hetman, przed bitwą pod Orszą w 1514 r. chciał wyjechać z szeregów, wyzywając któregoś z nieprzyjaciół na pojedynek, został powstrzymany przez księcia Konstantego Ostrojskiego. Hetman powiedział wówczas: „Ani rozumiej, żeby Moskale byli toż samo co tui Maurowie. Inna jest karność wojskowa w Luzytanii, a inna – w Polsce”. Być może pamiętając o tych słowach, sam Tarnowski zabronił żołnierzom wychodzić „na harc” w bitwie pod Obertynem w 1531 r.

■ ale lekkiego i zwrotnego wierzchowca. Najważniejszym elementem jazdy stawał się niespodziewany zwrot lub zawrócenie konia prawie w miejscu, np. zaraz po minięciu się z przeciwnikiem. Dzisiaj to ciężka szkoła dla niewyćwiczonego w zwrotach konia – po góra 15 minutach „harców” koń jest mokry. Należy sądzić, że dawne „harce” wymagały częstej wymiany zmordowanych wierzchowców.

Wacław Potocki w „Transakcji wojny chocimskiej” opisuje przebieg takich starć na polu walki pod Chocimiem w 1621 r. Piotr Lipski, upatrzywszy sobie Araba z kitą i złocistą misiurką, wysokiego i pleczystego, który „siła broił nad inszych”, zajęchał go z boku, wykorzystując fakt, że przeciwnik miał zmordowanego konia i był poraniony. Jednak mimo tego skoczył na spotkanie z Polakiem. Najpierw, najeżdżając na Lipskiego, rzucił dzidą, która odbiła się od obojczyka zbroi chroniącego szyję. Następnie chciał pchnąć szablą – poniżej kirsu, w podbrzusze przeciwnika, w miejsce między okutym przednim łękiem kulbaki i zbroją. Lipski jednak „raz zmylił”, czyli zapewne odbił uderzenie, i sam pchnął Araba pałaszem w piersi aż

powoł Aleksander Morsztyn, który złapał pewnego murzę z Krymu, mszcząc się za turecką niewolę, gdyż rok wcześniej został uwięziony po klęsce pod Cecorą.

Doskonałym przygotowaniem do „harców” stała się zabawa znana w XVII w. jako kaptiwusz, opisywana szczegółowo w dziele Krzysztofa Pieniążka „Hippika”. Była to staropolska odmiana gry w dwa ognie tyle tylko, że odbywała się konno i na palcaty. Zwykle bawiła się w nią szlachecka młodzież i czeladź. Zawodnicy dzieli się na dwa oddziały i spotykali na polu przegrodzonym rozłożoną na ziemi słomą. Porucznicy wyznaczali kolejnych jeźdźców, którzy potykali się na palcaty na koniach, najeżdżając na siebie i goniąc – ten, kto dostał kijem, musiał iść do aresztu i czekać na wyzwolenie przez kolejnego walczącego.

NA POLU CHWAŁY

Wysyłani na pole przyszej bitwy harcownicy spełniali zwykle kilka zadań bojowych. Przede wszystkim ich sukcesy dodawały ducha żołnierzom. Wierzone np., że jeśli pierwszy trup padnie głową w stronę swoich, to oznacza to nadcho-

porucznika „sześć razy w łeb szkodliwie cięto”. Jednak dało to czas na wysłanie za wały reszty jazdy.

Pod Beresteczkiem, w pierwszy dzień bitwy – 28 lipca 1651 r. – Jan Kazimierz zezwolił na wyjeżdżanie na „harc” dopiero po południu. Harcownicy ujeżdżali się przez dwie godziny na oczach wojska. Jak podaje Ludwik Kubala, uwagę zwracał Tatar siedzący na pstrokatym koniu – za którym uganiał się stary szlachcic mazowiecki. Nie mogąc wziąć żywcem przeciwnika, uderzył wreszcie na ostro. Wkrótce Ordyniec padł martwy, w dodatku zwałił się z konia głową w stronę swoich, co poczytywano za złą wróżbę. Rozwścieczeni tym wypadkiem Tatarzy rzucili się w stronę obozu polskiego, co spowodowało atak chorągwi koronnych. Następnego dnia wrogowie podjeżdżali grupkami w stronę obozu, wywołując Polaków na „harce”, ale hetmani i król zakazali wychodzenia na pojedynki.

Obyczaj harcowania przed bitwą wygasł pod koniec XVII w., razem z ostatnimi starciami z Turkami i Tatarami. Jeszcze w 1673 r. pod Chocimiem harcownicy tureccy wypadli za wały z okrzykiem: „Haracz!, „Haracz!”, przypominając o pokoju w Buczacz, wymuszającym zapłatę daniny dla Wysokiej Porty, który Polska łamała. Gonitwy trwały przez cały dzień, w zamiśle Sobieskiego miały zająć nieprzyjaciela i dać czas na podciągnięcie reszty oddziałów. Nie były pomyślane dla naszych – w potyczkach zginęli: podczaszy sieradzki Jędrzej Modrzewski i porucznik Florian Maj. W 1676 r. Tatarzy wysyłali junaków na harce 25 września pod obóz Sobieskiego przy Żórawnie, ale były to już ostatnie przykłady tego obyczaju.

W bitwach pod Wiedniem i pod Parkanami „harców” nie było, choć za ostatnich elearów można uznać dwóch Polaków, którzy dołączyli ochotniczo do próbnych szarż chorągwi husarskich królewicza Aleksandra i Szczęsnego Potockiego. Do pierwszej przyłączył się podskarbi nadworny Andrzej Modrzewski, który wysforował się przed husarzy i zginął opadnięty przez Turków. Do drugiej zaś starosta halicki Stanisław Potocki, który wziął udział w wypadzie razem z całą swoją chorągwią pancerną i... padł z odrąbaną głową. Kiedy w 1702 r. armia Rzeczypospolitej stanęła na polu bitwy pod Kliszowem ze Szwedami, nikt już nie wyzywał wroga i nie szukał szczęścia przed bitwą. Nastała nowa epoka w historii wojskowości.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Obyczaj harcowania przed bitwą wygasł pod koniec XVII w. razem z ostatnimi starciami z Turkami i Tatarami

po rękoność. W tym czasie Ścibor Chełmski zwałił z konia „pięknego Turczyzna”, a drugiego schwytał żywcem. Kolejny pojedynek stoczył Mikołaj Sieniawski z Turkiem, który ruszył na niego z dzirytem – krótką włócznią przeznaczoną do rzucania. Widząc, co się święci, krajczy wyjechał z pistoletem – wpadli na siebie z impetem, chyba żaden nie trafił, jednak kiedy po wyrzuceniu Sieniawski chwycił za szablę, przeciwnik już został schwytany przez jego pocztowych.

Nie obyło się oczywiście bez ofiar – zabici zostali Rosen i Twardowski, Potocki ranny z łuku w rękę, kiedy prowadził przy munsztuku konia ze schwytanym Turkiem. Autor podaje, że Polacy często przystępowali do „harców” osłonięci zbrojami, pancerzami, czyli kolczugami, w misiurkami na głowach. Natomiast Turcy prawie nie używali uzbrojenia ochronnego, „żeby siebie i lotnych nie obciążać koni”. Ciekawe też, że nasi wzorem Tatarów używali arkanów, aby chwycić żywcem przeciwnika. Tak postę-

dzące zwycięstwo. Harcownicy mogli spowodować nieprzyjacielską armię do przedwczesnego uderzenia, tak jak pod Byczyną, osłonić koncentrację własnych sił – jak zobaczymy dalej – pod Beresteczkiem i Chocimiem. Wysyłano ich, aby zdobyli „języka” albo dokonali dywersji – przedostając się na tyły wroga naszym rokoszanom Janusza Radziwiłła atakujących stanowiska króla pod Guzowem.

Jednym z najbardziej niesamowitych pokazów manewrowania i sprawności były harce pod Zbarażem 10 lipca, kiedy nadciągający i ruszający „na harc” Tatarzy zaskoczyli przed umocnieniami także Tatarów, tyle że służących księciu Jeremiemu Wiśniowieckiemu. Ordyńców z Krymu było do dwóch tysięcy, naszych tylko 150 jeźdźców. Jednak książęcy Tatarzy najpierw rozdzielili się na dwoje, unikając ataku, potem na czworo, a potem, zachodząc wroga z niespodziewanej strony, połączyli się we dwoje i wreszcie całą kupą uderzyli na nieprzyjaciela. Zginęło ich wielu, bo ponad stu, a samego



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Tabu
II RP

Przesłodzony sposób, w jakim opowiada się w Polsce o historii, przynosi osobliwe skutki. Weźmy choćby tzw. sferę intymną. Zgodnie z wyobrazeniami sporej części Polaków pokolenie naszych dziadków zajmowało się tylko walką o niepodległość. A jego jedynymi namietnościami były patriotyzm i służba ojczyźnie.

W ten sposób postrzega się zarówno okres II wojny światowej, jak i dwudziestolecie międzywojenne. O seksualności naszych przodków do niedawna mówiło i pisało się niezwykle niechętnie. Zmienił to m.in. Kamil Janicki, autor popularnych książek o obyczajach panujących w II RP.

Tym razem Janicki wszedł jednak na niezwykle cienki лёd. Zajął się bowiem tematem tabu. Czyli dewiacjami i przemocą na tle seksualnym. Tak, zjawisko to wcale nie rozpoczęło się za „naszych parszywych czasów”. Gwałciciele i pedofile grasowali również w II RP. A ich ofiarą padały setki niewinnych kobiet (i nie tylko).

Na kartach „Epoki milczenia” zostało przedstawionych wiele takich spraw. Na przykład historia Witolda Po-

morskiego, który w 1937 r. został aresztowany w podlódzkich Poddębicach. Jak pisała prasa, „zwyródnialec” ten „praktykował czyny nierządne na osobie 14-letniej służącej”.

Z kolei Stanisław Narbutt był lekarzem pracującym na oddziale dla umysłowo chorych w Szpitalu św. Jaku-ba w Wilnie. W 1934 r. pod jego opiekę trafiła młoda, chora na nerwicę pacjentka. Kuracja nie dawała pożądanych skutków – dziewczyna stawiała się coraz bardziej nerwowa. W końcu, doprowadzona do ostateczności, targnęła się na własne życie.

Całe szczęście hak, na którym próbowała się powiesić, się zerwał. Gdy odzyskała przytomność – wyznała, że dr Narbutt „dokonał na niej gwałtu i defloracji”. I to trzykrotnie! W Wilnie wybuchła wielka afera, a młody lekarz stanął przed sądem.

Wnioski, które wypływają z książki Janickiego, są niewesołe. Po pierwsze – część opinii publicznej II RP



★★★★★
KAMIL JANICKI
„EPOKA
MILCZENIA”
ZNAK HORYZONT
2018

lubowała się w podobnych historiach opisywanych ze szczegółami przez brukowce. Po drugie – ówczesny wymiar sprawiedliwości był niezwykle pobłażliwy dla sprawców „czynów nierządnych”. Gwałciciele z sali sądowej wychodzili na ogół wolni. A ich ofiary jeszcze bardziej upokorzone. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tragedie
Sławka

Przyszły premier poznał Piłsudskiego w maju 1902 r. (miał wówczas 23 lata), poprzez jego pasierbicę Wandę Juszkiewiczównę. „Przywitaliśmy się jak starzy znajomi, którzy o sobie już dużo wiedzą – wspominał Sławek. – A teraz tylko przyglądają się sobie nawzajem.

Rozmawialiśmy długo. Najpierw ja opowiadałem

pseudonimu używał) był typem człowieka nieśmiałego, potrzebującego wsparcia mocnej osobowości. Z czasem okazało się, że kimś takim będzie dla niego Józef Piłsudski.

9 czerwca 1906 r. miało miejsce wydarzenie, które odbiło się na całym życiu Sławka. Na ten dzień zaplanowano akcję ekspropriacyjną Organizacji Bojowej PPS – napad na pociąg pocztowy pod Milanówkiem. W lesie pod Grodziskiem, podczas uzbrajania bomb przez Sławka, nastąpił wybuch, który poważnie go okaleczył. Przyszły premier stracił oko, ogłuchł na jedno ucho, odniósł ciężkie rany rąk i klatki piersiowej. Wpadł w ręce Rosjan, ale przetrzymywany w Cytadeli konsekwentnie zeznawał, że spacerując, znalazł nieznaną paczkę, a kiedy ją podniósł, nastąpił wybuch. W efekcie został zwolniony.

Niebawem przeżył kolejną tragedię. Sławek darzył uczuciem (z wzajemnością) Wandę Juszkiewiczównę i kiedy dziewczyna zmarła, przeszedł poważne załamanie psychiczne. Patrząc na jego życie z perspektywy czasu, można podejrzewać, że miłość do Wandy była jedynym poważnym uczuciem do kobiety, jakiego zaznał.

Jednak ta tragedia jeszcze bardziej związała go z Piłsudskim. Stał się jego ulubionym doradcą, jako jedyny obok Aleksandra Prystora był z nim po imieniu. Jednak jak wiadomo, doradcy rzadko potrafią odgrywać pierwszoplanową rolę, i tak też miało się stać ze Sławkiem po śmierci Marszałka. ©©

Brano nawet
pod uwagę jego
kandydaturę
na szefa PPS

o organizacji i stanie roboty, braku środków, ludzi itp. Później Piłsudski powiedział mi, że ma zamiar podzielić cały kraj na okręgi, postawić na czele każdego okręgu jednego kierownika, który by był swego rodzaju dyktatorem dla organizacji partyjnej danego terytorium”.

Propozycje Piłsudskiego zaakceptował zjazd PPS i Sławek stanął na czele jednego z pięciu okręgów (gubernie piotrkowska i kielecka). Podczas obrad brano nawet pod uwagę jego kandydaturę na szefa krajowej organizacji PPS, ale sprzeciwił się temu Piłsudski. Uznał, że podopieczny jest „mało wykształcony, zbyt młody i niezdający sobie sprawy z tego, co robi”. Uznał, że kwalifikuje się wyłącznie „na spełniającego polecenia”.

Piłsudski miał rację, zresztą sam Sławek zdawał sobie sprawę z własnych braków. Towarzysz Gustaw (takiego



Strajk w Hucie Katowice, grudzień 1981 r.

FOT. ARCHIWUM ŚLĄSKIEGO CENTRUM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI (X2)

Utopiony działacz Solidarności



Sebastian Reńca

Jak zginął jeden z przywódców strajku w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym

Wśród 30 marca 1983 r. było już po południu, gdy do Józefa K., sołtysa wsi Kamień (woj. małopolskie), przyszedł sąsiad z informacją, że Wisłą płynie topielec. Obaj poszli nad rzekę. Na mieliźnie, jakieś 20 m od lewego brzegu, w okolicy wapiennika, leżały zwłoki. Sołtys poinformował o topielcu milicję.

Oficjalne przesłuchanie sołtysa odbyło się dopiero 28 kwietnia, czyli prawie miesiąc od dnia, w którym odnaleziono zwłoki Ryszarda Kowalskiego – działacza Solidarności wypuszczonego z więzienia w styczniu 1983 r. Sołtys zapamiętał, że Kowalski miał na ręce zegarek z rozbitym szkiełkiem. Wskazówki zatrzymały się na godz. 7.50.

Tego samego dnia sierżant sztabowy Władysław Wyroba przepytał wdowę po Ryszardzie Kowalskim, która zeznała

m.in., że mąż wyszedł z domu 7 lutego. Wcześniej miał jej się zwierzyć, że ma myśli samobójcze.

Dzień później sierżant Wyroba napisał w urzędowej notatce, że w przypadku zgonu Kowalskiego nie stwierdzono przestępstwa. Postępowanie umorzono. Prokuratorskie postanowienie o umorzeniu dochodzenia żona odebrała 27 maja 1983 r.

OFICJALNE DOCHODZENIE

Według notatki sporządzonej 31 marca 1983 r. przez inspektora Zdzisława Mazura było tuż przed godz. 20, gdy nad Wisłę dotarł on w towarzystwie ppor. Jerzego Garzeła i sołtysa z Kamienia. Podczas oględzin zwłok „nie stwierdzono obrażeń ciała”. Ciało przekazano do Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie.

Dzień później żona Kowalskiego odebrała na posterunku w Krzeszowicach dokumenty męża i została „rozpytana” przez milicjantów. Jej zeznanie niewiele różni się od tego, które złożyła miesiąc później. W notatce znalazły się informacje o tym, że mąż miał depresję i zażywał tabletki uspokajające. 5 lutego miał wyjść z domu i iść nad Wisłę, chodzić po moście i myśleć o tym, by wskoczyć do rzeki, jednak zażył większą liczbę tabletek uspokajających. Gdy Kowalski wyszedł z domu w ponie-

dzialek 7 lutego, już nie wrócił. Dwa dni później żona zgłosiła na milicji w Babicach jego zaginięcie.

31 marca 1983 r. prof. Zdzisław Marek z Zakładu Medycyny Sądowej Akademii Medycyny w Krakowie poprosił prokuraturę pisemnie o „wydanie postanowienia o decyzji oględzin zewnętrznych i wewnętrznych”. Sekcja zwłok została przeprowadzona 5 kwietnia 1983 r. Opinia brzmiała: „Przyczyną śmierci Ryszarda Kowalskiego stało się uduszenie gwałtowne przez utonięcie”. Pod protokołem podpisali się prof. Marek i Adam Gross. Pobrano krew do badania. Został znaleziony w niej alkohol, jednak – jak napisali prof. Marek i doc. Maciej Bogusz – mógł on w całości wytworzyć się w organizmie już po śmierci.

Tyle o śmierci Ryszarda Kowalskiego mówią oficjalne dokumenty, do których dotarli posłowie z tzw. komisji Rokity.

Te przyczyny śmierci Kowalskiego budziły wątpliwości jeszcze w latach 80. Działaczka opozycji Teresa Brodzka w opracowaniu dla Komitetu Helsińskiego wymieniała nazwisko Ryszarda Kowalskiego w rozdziale pt. „Pomordowani, zranieni i pobici”.

W piątą rocznicę jego śmierci w podziemnym „Wolnym Związku” ukazał

się tekst „Syndykat śmierci”, w którym Kowalskiego wymieniano wśród innych ofiar „nieznanych sprawców”. Autor tekstu trafnie zauważał, że ciała kilku ofiar „znaleziono w wodzie. Może to świadczyć o jednolitej zasadzie postępowania morderców”.

Po 1989 r. sprawą śmierci m.in. Kowalskiego zajęli się posłowie.

– Chociaż nie jestem prawnikiem z wykształcenia, to od razu zapisałem się do Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW. Przecież jestem z Katowic, mieszkałem niedaleko kopalni Wujek, w której zastrzelono dziewięciu górników. Moje motywacje wsparła dobra i skuteczna współpraca z ekspertami – mówi prof. Jerzy Wuttke. – Nasza praca w komisji wymagała wysiłku, konsekwencji i mocnych nerwów. Na początku zapisało się do niej 23 posłów, potem było nas 13, a spraw do zbadania było ponad 120.

Na początku lat 90. Jerzy Wuttke doszedł do wniosku, że za śmiercią Kowalskiego stali funkcjonariusze SB.

Posel przypuszczał, że komisja otrzymała z prokuratury tylko część materiałów dotyczących śmierci działacza „S”. Na protokole oględzin zwłok brakło informacji o tym, kto w nich uczestniczył. Nie było szkicu sytuacyjnego miejsca, w którym zostały znalezione zwłoki. Nie wykonano również dokumentacji fotograficznej. Nie przesłuchano lekarza, który był na miejscu znalezienia ciała i stwierdził zgon. W dokumentach przekazanych przez prokuraturę znalazła się karta informacyjna pogotowia ratunkowego z 30 marca, jednakże mogła zostać sporządzona później. Posel Wuttke trafnie podkreślał, że świadków przesłuchano dopiero po miesiącu, i tylko sołtysa oraz żonę Kowalskiego.

Biegle nie przeprowadzili wywiadu z lekarzem, u którego miał się leczyć Kowalski. A w sekcji zwłok nie uczestniczył prokurator, choć powinien. Sekcja nie odpowiedziała na kilka pytań, m.in.: W jaki sposób doszło do zgonu? Jaki był mechanizm? Nie pobrano do badań zawartości żołądka, nie określono czasu zgonu, zabrakło analizy, czy ewentualne ślady zewnętrzne mogły zaniknąć na skutek przemian gnilnych. Wnioski patologów były lakoniczne, a ekspertyza została wykonana pobieżnie. – Wielokrotnie wzywaliśmy na przesłuchanie prof. Marka, ale ten ignorował nasze prośby – mówi prof. Wuttke.

Wiadomo też, że dochodzenie umorzono, gdy w aktach nie było jeszcze protokołu sekcji zwłok – a więc bez poznania przyczyn śmierci.

Katowicki poseł zwrócił też uwagę na to, że nie zabezpieczono śladów mikroskopowych (biologicznych, chemicznych). Żony Kowalskiego nie spytano, jakie mąż zażywał leki, u którego lekarza się leczył, o której godzinie wyszedł z domu 7 lutego. Ponadto z notatki wynikało jednoznacznie, że milicjant, prowadząc rozmowę z wdową, ukierunkowywał ją, a świadczyły o tym dwa ostatnie zdania dotyczące samobójstwa.

29 kwietnia po przesłuchaniu wdowy powstała notatka urzędowa, która według posła przypuszczała, że „została sporządzona fikcyjnie, aby podkreślić fakt załamania psychicznego R. Kowalskiego”.

Posel Wuttke uważał, że dochodzenie powinno być wznowione. Krakowska prokuratura wszczęła sprawę wyjaśnienia okoliczności i przyczyny śmierci Kowalskiego, została ona jednak umorzona.

WIĘZIEN NIEPOKORNY

Kowalski pojawił się w Zagłębiu, bo miał kłopoty w szkole, w której pracował, i musiał szukać pracy. W 1977 r. zatrudnił się w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym, które było powiązane z Hutą Katowice w Dąbrowie Górniczej. Został wykrywaczem żużla. Wstąpił do Solidarności, a z początkiem grudnia 1981 r. został przewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „S” w HPR. Gdy po wprowadzeniu stanu wojennego zastrajkowała huta, przyłączył się do protestu.

23 grudnia 1981 r. był przeciwny kończeniu strajku. Jednak opuścił hutę wywieziony poza jej teren przez kolejarzy. 29 grudnia 1981 r. został tymczasowo aresztowany. Dzień później zwolniono go z pracy. Wraz z innymi pracownikami został oskarżony o udział i kierowanie strajkiem w zakładzie zmilitaryzowanym oraz o kontynuowanie działalności związkowej.

Kiedy w połowie marca zapadały wyroki, przypadek Kowalskiego – ze względu na jego stan zdrowia – wyłączono ze sprawy. Od połowy lutego z nakazem sądowym przebywał w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Rybniku na obserwacji.

Nie był zaś pokornym aresztantem. Potwierdzają to np. wnioski o jego ukaranie m.in. za to, że „podczas spaceru wypowiadał się wrogo pod adresem WRON, tow. Jaruzelskiego i tow. Breżniewa oraz o komunie, że winna być wyrznięta”. Ponadto przynajmniej dwukrotnie podejmował głodówkę. Pisał skargi.

21 stycznia 1983 r. Sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego uchylił tymczasowe aresztowanie Kowalskiego, a sprawę przekazano do dalszego rozpatrzenia do sądu wojewódzkiego. Dzień później wyszedł na wolność i wrócił do rodziny w Wygiełzowie.

Andrzej Tkacz, który odwiedzał Kowalskiego w szpitalu, nie wierzy w jego samobójstwo. Podczas grudniowego strajku Kowalski zdradził mu, że ma „papiery”, które są dowodem wielkich malwersacji w hucie.

Syn Kowalskiego Tadeusz wspominał w rozmowie z Jackiem Sommerem, wieloletnim naczelnym „Wolnego Związku”, że kiedy tata przebywał w areszcie, to podczas jednego z widzeń poprosił, by syn przyniósł dokumenty z huty do więzienia.

Nawet bez dokumentów mógł być dalej niebezpieczny – musiał wiedzieć, co się w nich znajduje. A być może zdążył je skopiować?

Jerzy Wuttke przyznaje, że informacje o jakichś dokumentach dotyczących nieprawidłowości w Hucie Katowice dotarły do komisji, ale nikt ich nie widział.

Historyk Patryk Pleskot, autor m.in. książki „Zabić. Mordy polityczne PRL”, zwraca uwagę na pewien mechanizm tajemniczych śmierci, za którymi stała najprawdopodobniej SB. Jego cechami charakterystycznymi było m.in. to, że tuż przed śmiercią wokół ofiary zaciskała się pętla, nasilała się inwigilacja. Po śmierci zaś zaskakiwała

nieporadność i milicjantów, i śledczych.

Andrzej Tkacz opowiada, że Kowalski przyszedł do HPR w piątek 4 lutego 1983 r., chciał wrócić do pracy. Oczywiście nie było to za szans. Gdy jechał z huty, w autobusie spotkał kolegę. Powiedział mu, że jest śledzony przez SB i dlatego z nikim się nie spotyka, ponieważ nie chce nikogo narażać na nieprzyjemności.



Ryszard Kowalski

Czerwony zmierzch



Olivier
Bault

Hiszpania jest dziś w rękach tych, którzy przedkładają interes partii nad interes kraju. To się może źle skończyć

Ostatni rząd premiera Mariano Rajoya w Hiszpanii narodził się w bólach w październiku 2016 r. Po 10 miesiącach pertraktacji i dwóch nieudanych wyborach, w których jego Partia Ludowa (PP) nie była w stanie zdobyć większości w Kongresie Deputowanych, czyli w izbie niższej hiszpańskiego parlamentu. Nie ziszczyli się również zapowiedzi ewentualnej koalicji z centroprawicową partią Ciudadanos (Obywatele), gdyż nawet razem wzięte obie partie liberalne nie miały większości ani po wyborach z grudnia 2015 r., ani po powtórzonych wyborach z czerwca 2016 r. Zatem transformacja hiszpańskiej Partii Ludowej pod rządami Rajoya z partii konserwatywnej w partię liberalną – w sensie obyczajowym – nie pomogła w poszerzeniu jego bazy wyborczej, a zadziałała wręcz odwrotnie.

Drugi, może nawet bardziej istotny powód upadku zarówno PP, jak i partii socjalistycznej PSOE, to setki afer korupcyjnych ujawnionych w ostatniej dekadzie. To one najbardziej przyczyniły się do końca systemu dwupartyjnego w Hiszpanii i do wzrostu znaczenia skrajnie lewicowej partii Podemos jako konkurencji dla PSOE oraz liberalnej partii Ciudadanos jako konkurencji dla PP.

TYLKO NIE WYBORY

Bez większości w Kongresie Deputowanych rząd Mariano Rajoya był cały czas narażony na ryzyko odrzucenia ustawy budżetowej – co oznaczałoby rozwiązanie Kortezów Generalnych i rozpisanie nowych wyborów bądź konstruktywne wotum nieufności na rzecz kandydata wspieranego przez większość partii opozycyjnych. Mając do czynienia z takim wnioskiem ze strony lidera socjalistów Pedro Sáncheza pod koniec maja, Rajoy mógł jeszcze zablokować jego inicjatywę, gdyby złożył rezygnację. Na to się nie zdecydował, choć po poparciu baskijskich nacjonalistów z PNV dla wotum nieufności wiadomo było, że rząd musi upaść.

Przy rządzie socjalisty Pedro Sáncheza rządy Zapatero będą wydawać się konserwatywne

FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Najwyraźniej Rajoy i jego partia woleli postawić na socjalistycznego premiera, który będzie zakładnikiem skrajnej lewicy oraz baskijskich i katalońskich nacjonalistów (bez których poparcia wotum nieufności nie miało szans), zamiast ryzykować nowe wybory. Uzasadnienie takiej postawy jest prozaiczne: sondaże pokazują, że to partia Ciudadanos wygrałaby dzisiaj wybory z wynikiem bliskim 30 proc. głosów. Tymczasem PP może liczyć na niecałe 20 proc., podobnie jak PSOE i Unidos Podemos, czyli koalicja Podemos z komunistami.

W mediach hiszpańskich dominuje pogląd, wedle którego Ciudadanos zawdzięcza swoją rosnącą popularność zarówno aferom korupcyjnym, pogrążającym ludowców, jak i własnemu twardemu stanowisku wobec separatyzmów. Ciudadanos to partia powstała w 2006 r. w Katalonii z platformy Ciutadans de Catalunya, której pierwotnym celem było przeciwstawianie się katalońskiemu nacjonalizmowi. Dlatego też Baskowie z PNV, którzy w maju poparli ustawę budżetową na bieżący rok po uzyskaniu pewnych ustępstw od rządu Rajoya, zgodzili się poprzeć wniosek socjalistów o wotum nieufności, ale pod warunkiem że nie zostaną rozpisane nowe wybory. Regionalni nacjonaści najbardziej mogą zyskać na ultramniejszościowym rządzie socjalistów, ale najwięcej straciliby, gdyby doszło do przyspieszonych wyborów do powstania rządu większościowego Ciudadanos i Partii Ludowej pod przywództwem tej pierwszej partii.

W 350-osobowym Kongresie Deputowanych nowy rząd socjalistów może być pewny tylko poparcia własnych 84 posłów. Jednak choć Pedro Sánchez nie zgodził się na wejście Unidos Podemos do rządu, to ta partia zapowiedziała, że poprze go w celu poprawy losu Hiszpanów za pomocą kolejnych „postępowych” (lewicowych) reform. Ponieważ Sánchez i jego socjaliści są tak samo prounijni jak Rajoy oraz jego ludowcy, nowy rząd raczej nie powróci do katastrofalnej polityki gospodarczej Zapatero – na co wskazują już nominacje na czele ministerstw gospodarki i finansów – i będzie szukać poparcia skrajnej lewicy głównie za pomocą reform ideologicznych, choć Hiszpania zaszła już bardzo daleko na drodze lewackiego postępu.

Rządy Rajoya nie cofnęły zmian wprowadzonych przez dwa kolejne rządy Zapatero, takich jak „homomałżeństwa”, legalizacja aborcji na życzenie czy rewanżystyczna ustawa historyczna dotycząca upamiętnienia okresu wojny domowej

i rządów gen. Franco. W dodatku Partia Ludowa, która uchodziła wcześniej za partię konserwatywną, wprowadziła w regionach, w których rządzi, a zwłaszcza w regionie Madrytu, różne ustawy narzucające w szkołach i społeczeństwie ideologię gender i postulaty lobby LGBT. Zrobiła to z poparciem jeszcze bardziej liberalnej partii Ciudadanos oraz lewicy (PSOE i Podemos).

Z pomocą Unidos Podemos w parlamencie (67 posłów w Kongresie Deputowanych) rząd Sáncheza może więc sprawić, iż rządy Zapatero będą się wydawały przy nim wręcz konserwatywne. Ponieważ debata na temat wotum nieufności nie obejmowała jednak dyskusji programowej i poparcie Unidos Podemos nie jest jeszcze wystarczające do uzyskania większości w Kongresie Deputowanych, dopiero okaże się, dokąd będzie teraz zmierzać Hiszpania.

RÓWNOŚĆ I GRANICE

Sánchez wysłał już pierwszy sygnał dotyczący tego, jak wyobraża sobie swoją politykę. Przywrócił ministerstwo równości z czasów Zapatero. Nowa pani minister równości jest jedynym członkiem rządu w randze wiceministra, a zatem jest numerem dwa rządu Sáncheza. Drugi sygnał został wysłany w stronę wyborców obawiających się istnienia tajnego układu z katalońskimi separatystami. Wybierając na szefa ministerstwa spraw zagranicznych Katalończyka Josepa Borella, Sánchez wskazał na osobę doświadczoną (był on ministrem w rządzie Felipe Gonzáleza, a także przewodniczącym Parlamentu Europejskiego w latach 2004–2007), która jest znanym i głośnym przeciwnikiem dążeń niepodległościowych Katalonii.

Katalonka Meritxell Batet wybrana na stanowisko ministra ds. administracji regionalnych też nie jest zwolenniczką niepodległości Katalonii, a to ona będzie prowadziła rozmowy z Barceloną po przywróceniu autonomii regionu.

Bez 17 głosów katalońskich separatystów w Kongresie Deputowanych Sánchez nie ma jednak większości i będzie musiał szukać poparcia gdzie indziej. Trudno będzie mu znaleźć poparcie po swojej prawej stronie, czyli w partii Ciudadanos. Jego próby podjęte w 2016 r. w celu zbudowania koalicji liberalno-lewicowej z Ciudadanos z jednej strony i Podemos z drugiej strony zakończyły się porażką. Zaważyły m.in. kwestie ustrojowe: w odpowiedzi na tendencje separatystyczne niektórych

regionów Hiszpanii Podemos opowiada się za modelem federalnym, a Ciudadanos za większym centralizmem. Sánchezowi udało się objąć urząd premiera, ale nie rozwiązał tego problemu. Poza tym w interesie partii Ciudadanos leży niepopieranie ustaw proponowanych przez socjalistów i skrajną lewicę, lecz rozwiązanie Korteżów oraz rozpoznanie nowych wyborów.

Rząd Sáncheza będzie dodatkowo osłabiony poprzez fakt, że w senacie Partia Ludowa dysponuje większością bezwzględną 159 miejsc na 266, co pozwoli jej wydłużać procedowanie ustaw proponowanych przez rząd lub lewicę w parlamencie. W senacie PSOE ma tylko 62 miejsca, a skrajnie lewicowa koalicja wokół Podemos – 20. Jedną z pierwszych zapowiedzi ludowców po upadku rządu Rajoya było sformułowanie zamiaru „poprawienia” własnej ustawy budżetowej w senacie. A to oznacza, że Pedro Sánchez i jego partia będą musieli bronić budżetu, przeciw któremu głosowali w maju w Kongresie Deputowanych.

Taki rząd może nie przetrwać, ale w sytuacji, w której znajduje się dzisiaj Hiszpania, może także dużo zepsuć. Partie separatystyczne znów rządzą w Katalonii i mogą wykorzystać sytuację, aby wymusić na Madrycie różne ustępstwa. Podobnie mogą czynić baskijscy nacjonaści.

Napływ nielegalnych imigrantów do Hiszpanii zwiększa się z roku na rok, ale pod rządami Rajoya Hiszpania lepiej radziła sobie z nielegalną imigracją niż Grecja i Włochy. Natomiast nowi sojusznicy socjalistów są zwolennikami otwartych granic. Czy Hiszpania stanie się nową otwartą bramą do strefy Schengen?

Konstruktywne wotum nieufności z 1 czerwca było pierwszym, skutecznie przeprowadzonym od wejścia w życie konstytucji w 1978 r. i miało ono niestety miejsce w najmniej odpowiednim dla Hiszpanii momencie. Postępowanie Rajoya i Sáncheza, którzy przedłożyli interesy partyjne nad interes kraju, bardzo źle świadczą o poziomie hiszpańskich elit politycznych. Rząd Sáncheza powstał dzięki przyzwoleniu Rajoya i z poparciem w hiszpańskim parlamencie tych, którzy Hiszpanii nie lubią.

W grudniu 1935 r., kilka miesięcy przed początkiem hiszpańskiej wojny domowej, ówczesny lider obozu prawicowego José Calvo Sotelo miał stwierdzić, że lepsza jest Hiszpania czerwona niż złamana. Niedługo Hiszpania może okazać się podobnie jak wtedy zarówno czerwona, jak i złamana.



Trzecia Świątynia



Tomasz P. Terlikowski

Czy Trzecią Świątynię Jerozolimską wzniesie dopiero Mesjasz, kiedy przyjdzie? A może trzeba ją wznieść, aby mógł przyjść? To teologiczne pytanie ma wbrew pozorom ogromne znaczenie geopolityczne

O tym, jak wielkie emocje budzi ta sprawa, przekonał się ambasador Stanów Zjednoczonych w Izraelu, gdy ultraortodoksyjny portal informacyjny opublikował jego fotografię, na której trzyma w rękach zdjęcie odbudowanej na Wzgórzu Świątynnym Trzeciej Świątyni. Palestyńczycy i wyznawcy islamu, dla których miejsce to także jest święte, bo stoi na nim trzeci co do ważności meczet islamu, natychmiast rozpoczęli protesty, a ambasada Stanów Zjednoczonych zaczęła wyjaśniać, że ambasador David Friedman nie wiedział, jakie zdjęcie trzyma w rękach, ani nie został uprzedzony, że fotografie zrobione mu w trakcie wizyty w mieście Bene Berak mogą zostać wykorzystane. „Stanowisko USA jest jasne:

wspieramy status quo w rejonie Wzgórza Świątynnego/Haram al-Sharif” – napisała Ambasada USA w Izraelu.

KONFLIKT ŚWIĘTOŚCI

O co chodzi w całym tym sporze? To oczywiste. Wzgórze Świątynne należy obecnie do muzułmanów, którzy modlą się tam w Kopule na Skale i w meczecie Al-Aksa. Miejsce to jest według nich trzecim w hierarchii świętych miejsc islamu, bo to właśnie tam Mahomet odbyć miał swoją „nocną podróż” na koniu Al-Burak z Mekki do Jerozolimy i stamtąd (a dokładnie ze skały, na której zbudowano później Kopulę na Skale) wstąpić miał do nieba wraz z aniołem Gabrielem. Dla Palestyńczyków zaś oba te miejsca nie tylko są święte z przyczyn religijnych, lecz także pozostają istotnym symbolem ich tożsamości narodowej.

Problem polega na tym, że Wzgórze Świątynne jest święte także dla Żydów. Według nich to właśnie z tego miejsca Bóg wziął ziemię, z której stworzył Adama, w tym miejscu Abraham ofiarował swojego syna Izaaka, według Talmudu tam również Jakub śnił o aniołach zstępujących i wstępujących do Nieba, a zdaniem Rasziego tam także Rebecka i Izaak modlili się o dzieci. W tym wreszcie miejscu stały dwie Świątynie

Jerozolimskie, które były centrum kultu starożytnego Izraela.

Od zburzenia przez Rzymian Drugiej Świątyni w roku 70 Żydzi obchodzą dzień kalendaryzacji dzień ten przypada w lipcu lub sierpniu) jako dzień postu dla upamiętnienia zburzenia świątyni. Każde ortodoksyjne nabożeństwo żydowskie zawiera w sobie modlitwy o odbudowę świątyni, przepisy dotyczące ofiar czy sposobu sprawowania kultu świątynnego traktowane są jako objawienie Boże, a praktykujący ortodoksyjni Żyd ma pełną świadomość, że bez odbudowy świątyni nie ma mowy o pełnym praktykowaniu jego religii. Wszystko to sprawia, że pamięć o świątyni (a przypominać o niej ma także fakt, że w ortodoksyjnym domu jego fragment pozostaje niepomalowany) jest istotnym elementem tożsamości religijnej ortodoksyjnych Żydów, i to mimo że już w czasach Jezusa (a także wcześniejszych) centrum codziennego życia religijnego ogromnej większości Żydów była synagoga, gdzie modlono się i studiowano Torę.

To właśnie dzięki synagogom, rozsiadnym po całym ówczesnym świecie, Żydzi przetrwali zniszczenie świątyni, koniec liturgii świątynnej i głębokie przekształcenie judaizmu. Synagoga jednak – i każdy ortodoksyjny Żyd jest tego świadom – jest czymś mniej istotnym, a zatem ważnym



Wzgórze Świątynne w Jerozolimie

FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

Przynajmniej raz wyznawcy ultraortodoksyjnego (a warto przypomnieć, że w Izraelu legalny status mają tylko rabin ortodoksyjni, a synagogi reformowana czy konserwatywna, o rekonstrukcjonistycznej nie wspominając, pozbawione są tam statusu prawnego) byli blisko zrealizowania planu odbudowy świątyni. Było to w czasie wojny sześciodniowej, gdy wojska izraelskie zajęły Wzgórze Świątynne, a rabin polowy Shlomo Goren wezwał do zburzenia meczetów i odbudowy świątyni. 8 czerwca dokonał on nawet stosownych pomiarów, które miały umożliwić odbudowę. Jeśli się to nie udało, to z powodu sprzeciwu gen. Mosze Dajana, który dogadał się z muzułmanami i zablokował pomysły ortodoksów. Powody były oczywiste: zburzenie dwóch niezwykle istotnych dla muzułmanów meczetów wywołałoby – to niemal pewne – ogromną reakcję świata muzułmańskiego, a to oznaczałoby poważne problemy dla bezpieczeństwa Izraela. Niejasna byłaby także reakcja świata, w tym Stanów Zjednoczonych.

Trzecim zaś powodem był sprzeciw naczelnego rabinatu Izraela wobec wchodzenia na Wzgórze Świątynne. Motywowany on był tym, że nie jest jasne, gdzie znajdowało się Święte Świętych, do którego wstęp miał tylko arcykapłan, a to oznacza, że przez przypadek religijni Żydzi mogliby wejść w to miejsce i narazić się na ciężki grzech. W efekcie przywrócono muzułmański zarząd nad wzgórzem. Ani Goren, ani inni zwolennicy odbudowy świątyni nigdy się z tym jednak nie pogodzili. On sam próbował jeszcze wchodzić na teren dawnej świątyni, a także przekonywać rabinat, że ustalił dokładnie, gdzie znajdowały się święte dla Żydów miejsca, ale nie udało mu się przekonać pozostałych rabinów ani tym bardziej państwa Izrael.

W niczym nie uspokoiło to jednak atmosfery wokół Wzgórza Świątynnego. Co jakiś czas ultraortodoksi próbowali się na nie wdzierać, by je opanować, a nawet wysadzić meczet Al-Aksa czy Kopułę na Skale. Sytuacja zaogniła się, gdy w lutym 1987 r. otwarto The Temple Institute (Instytut Świątyni) z wystawą obrazującą wygląd i wystrój nowej, odbudowanej świątyni. Dwa lata później ubrany w szaty kapłańskie Yehoshua Cohen wraz z członkami ugrupowania The Temple Mount Faithful próbował położyć kamień węgielny pod Trzecią Świątynię. Próba się nie powiodła, ale w tym samym czasie rozpoczęła się szeroka akcja promowania tego pomysłu. Jej elementem, poza wykładami i wystawa-

mi w Izraelu i USA, były także: utworzenie szkoły Ateret Cohanim, mającej przygotowywać przyszłych kapłanów, a także powołanie przez izraelskie Ministerstwo ds. Religii specjalnej komisji świątynnej.

Od tego momentu wciąż w tej sprawie coś się dzieje. W 2010 r. np. w osiedlu Micpe Jerycho na Zachodnim Brzegu grupa ortodoksów pod kierunkiem rabina Jehudy Krojznera rozpoczęła budowę repliki Świątyni Heroda, i to w proporcjach naturalnych. Ma tam także powstać szkoła dla przyszłych kapłanów. I choć nie brakuje chętnych do finansowania takich prac, to jednocześnie wielu z rabinów, i to nawet ultraortodoksyjnych, zwraca uwagę na liczne problemy, jakie związane byłyby z odbudową świątyni. Nie jest jasne, w którym miejscu zbudować Święte Świętych. Co ma stanowić Arkę Przymierza, która pozostaje istotnym symbolem jedności Boga z narodem żydowskim? Jak wybrać nowego arcykapłana? Jak sprawić, by odrodziła się klasa kapłańska? I wreszcie czy wolą Boga nie jest, by cierpliwie czekać na powrót Mesjasza, który odrodzi świątynię?

TO KWESTIA PROROCTWA

Spór, jaki rozpala do pewnego stopnia środowiska żydowskie, jest jednak ważny także z perspektywy części amerykańskich ewangelikalnych protestantów. Oni – i to przynajmniej od połowy XIX w. – wierzą, że to właśnie w okolicach Jerozolimy odbędzie się wielka ostatnia walka między Bogiem a Szatanem, między Królestwem Boga a Antychrystem, a Żydzi odegrają w niej ogromną rolę. Odrodzenie Izraela, ustanowienie Jerozolimy stolicą państwa żydowskiego to w ich oczach istotne elementy wypełniania się proroctw. Dlatego tak mocno naciskali oni na przeniesienie ambasady USA do Jerozolimy, i to nawet wbrew bezpośredniemu interesom politycznym. W ich oczach bowiem to kwestia wypełniania się proroctw, a nie czystej polityki. Z ich punktu widzenia odbudowa świątyni, a przynajmniej związane z nią potężne zamieszanie, byłoby kolejnym etapem wypełniania się proroctwa, które mogłoby przyspieszyć przyjście (dla nich ponowne, dla Żydów pierwsze) Mesjasza. Wielka wojna z tym związana to byłyby tylko swoiste konwulsje towarzyszące wypełnianiu się czasu. Ciekawe, jak wizje teologiczne wciąż wpływają na politykę, i to nawet w odniesieniu do kraju, którego ogromna większość obywateli jest niewierząca, jak to jest w przypadku Izraela.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

elementem wiary żydowskiej – w jej ortodoksyjnej wersji – jest nadzieja na to, że na Wzgórzu Świątynnym zostanie odbudowana, zgodnie z wszelkimi normami, świątynia, a Mesjasz odnowi w niej kult ofiarny. Część ortodoksyjnych Żydów jest zdania, że z odbudową świątyni trzeba czekać na Mesjasza, i nie domaga się prób odbudowania jej współcześnie.

Inni wskazują, że powrót do tradycji świątynnej, kultu ofiarniczego, kapłaństwa oznacza gigantyczną rewolucję w religii, która opiera się na studiowaniu świętych tekstów i centralnej roli rabinów (którzy – warto przypomnieć – kapłanami nie są), a nie jest wcale jasne, czy judaizm by ją przetrwał. Wierni liberalnych i konserwatywnych synagog (popularnych w Stanach Zjednoczonych) w ogóle porzucili przekonanie, że świątynia jest im do czegokolwiek potrzebna i nawet własne synagogi (choć to wbrew Tradycji) określają mianem temple, czyli właśnie świątyni. Nie brakuje jednak ortodoksyjnych i ultraortodoksyjnych rabinów, którzy uważają, że odbudowanie świątyni jest koniecznością.

Mają oni zresztą mocne argumenty, bo w Talmudzie Jerozolimskim można przeczytać, że „każde pokolenie, w którym Świątynia nie została odbudowana, jest traktowane tak, jakby Świątynię zburzyło” (Yoma 1, 1).

Wielkie trio słynnego amerykańskiego rodu Hadid. Siostry Bella (z lewej) i Gigi (z prawej) z matką Yolandą

FOT. MARC PIASECKI/GETTY IMAGES





Joanna Bojańczyk

Dzięki koneksjom rodzinnym, celebryckim lub arystokratycznym nieznana siostra, córka czy wnuczka gwiazd staje się znana. Nazwisko przyciąga uwagę

Z dwóch równie atrakcyjnych dziewczyn startujących w zawodzie modelki górami będzie zawsze ta, która ma gwiazdorskie koneksje. Pozyskiwanie modelek z socjety, arystokracji albo „rodzinnych” celebrytów jest normalnym procederem w branży mody. Dzięki nim nieznana córka, siostra, wnuczka gwiazd z miejsca staje się znana dzięki swoim powiązaniom. Wiadomo – nazwisko przyciąga uwagę, a zatem i klientów. Tak jest w przypadku

to, co było w Moss najważniejsze, to prawdziwie aktorska umiejętność przemiany. Umiała przeobrazić się z dziecka w wampa, z wysportowanej dziewczyny w ekstrawagancką gwiazdę. Była przekonująca w każdej roli. Przez chwilę wydawało się, że po skandalu z narkotykami – sfotografowano ją in flagranti – jej kariera jest skończona. Jednak nic z tego. Kontrakty reklamowe wróciły, burzliwe życie romansowe zakończyło się małżeństwem z gitarzystą grupy The Kills – Jamiem Hincem.

I właśnie na ślubie Kate w roku 2011 zwrócono uwagę na jej przyrodną siostrę Charlotte, zwaną Lottie. Czy pojawiła się nowa Moss? – zastanawiała się media. Nastolatka o drobnej figurze, oczach rannej sarny wyglądała intrygująco: miała twarz dziecka i wyraz dojrzałej kobiety. Jednak na modelkę była za młoda. Trzeba było czasu, aby zobaczyć, jak się sprawdzi w nowej roli. I sprawdziła się. Mimo że jest niższa (170 cm) niż jej sławna siostra, co dla zwykłej dziewcz-

że w świecie, w którym wszyscy ścigają się w chwaleńcu najzdrowszym trybem życia, mówi to modelka, 61-letnia Jerry Hall. Słyszając tę deklarację, Gwyneth Paltrow musi doznawać szoku nad talerzem surowego jarmużu i sałatki z glonów...

Ekspansji Jagger, która z niezbyt wier-nym Mickiem Jaggerem wytrzymała 25 lat, cieszy się życiem. Szczyt kariery ma za sobą. Pięćset okładek, telewizja, teatr oraz burzliwe życie z rockmanem, które zakończyło się rozwodem w roku 1999.

Wprawdzie nie wszystkie modelki weteranki chcą, by córki szły w ich ślady, ale pani Rolling Stone nie ma nic przeciwko temu. – Jestem dumna. Chyba jestem jedyną matką, która ma dwie córki modelki – powiedziała dziennikowi „The Guardian”. Rzeczywiście – 34-letnia Lizzie Jagger i 26-letnia Georgia May Jagger już wystartowały w zawodzie. Piękną Georgię do zawodu predestynują loki blond, duże usta, smukła sylwetka oraz – last but not least – związki rodzinne. Przerwa między zębami odziedziczona

Grunt to nazwisko

arystokratycznej modelki Cary Delevingne czy Stelli Tennant, której dziadek był diukiem.

PIĘKNA SIOSTRA

Dziennikarze wielokrotnie zastanawiali się, na czym polega fenomen popularności Kate Moss. Nazywano ją „waif” – zabiedzona, wychudzona, sierota. Mówiono, że uosabia ideał współczesnej dziewczyny: delikatnej, wyluzowanej, beztroskiej. Spekulowano, ile może ważyć: podobno nie więcej niż 43 kg przy wzroście 172 cm. Jednak

czynny z ulicy mogłoby być przeszkodą w karierze modelki, to i tak została umieszczona na liście „Special bookings”. Zostały jej oszczędzone męczące, nudne i długotrwałe castingi oraz pozowanie do katalogów tanich bluzek. Nepotyzm ma swoje dobre strony. Przynajmniej dla niektórych.

MATKA I CÓRKI

„Piję kawę i wino, palę, opalam się, robię wszystko, czego nie powinnam robić. Mój fitness to seks, praca w ogrodzie i zmywanie naczyń”. Trudno uwierzyć,

po tacie w jej przypadku może być tylko czarującym znakiem rozpoznawczym.

Dziedziczy się jednak nie tylko cechy genetyczne, lecz także posady. Podobnie jak w przypadku Isabelli Rossellini oraz jej córki Elettry – i tu stanowisko ambasadorki zapachu jest dziedziczne. Dwie dekady temu Jerry Hall była twarzą ikonicznego zapachu lat 90. – Angel Thierry’ego Muglera. Teraz piękna Georgia przejęła funkcję po mamie. Jednak Angel to nie wszystko. 26-letnia Georgia ma już za sobą parę atrakcyjnych kontraktów. Figurując na liście agencji

Independent Models, pracowała już dla Chanel, Versace, H&M, Miu Miu, Vivienne Westwood.

NARODZINY GWIAZDY

Jednak panny Moss i Jagger bledną przy dynastii, którą tylko Ameryka potrafi wyprodukować. Obok Kardashianów najsłynniejszym obecnie klanem fashion biznesu jest ród Hadid. Jego założycielka, holenderska modelka Yolanda Hadid, to dama w średnim wieku, a główne bohaterki – jej córki – to gwiazdorskie modelki.

Protoplastka zdobyła popularność, grając w telewizyjnym reality show „The Real Housewives of Beverly Hills”, który w latach 90. wyświetlał kanał Bravo. Urodę, pieniądze oraz kilka zasad postępowania w życiu odziedziczyły córki: jasnowłosa Gigi i brunetka Bella, obecnie ikona Diora. Dziewczyny należą już do tego pokolenia modelek, których sukces mierzy się liczbą fanów na Instagramie. 23-letnia Gigi ma ich ponad 40 mln, do tego 20 okładek miesięcznika „Vogue”. 21-letnia Bella – „tylko” 18 mln.

A początki były skromne. Yolanda urodziła się w roku 1964 na holenderskiej wsi. Ojciec projektował koszule i choć często zabierał dziewczynkę do swojej pracowni, to o wielkim świecie mody nie miała jeszcze pojęcia. Jednak jej urody trudno było nie zauważyć. Jasne oczy i włosy, długie nogi. W wieku 16 lat została modelką fryzjerską, a wkrótce na lokalnym pokazie wystąpiła już jako prawdziwa modelka. Szybką ścieżkę kariery rozpoczęła kontraktem w agencji Eileen Ford Models, najlepszej stajni wyścigowej modelingu.

Od razu została wkręcona w tryby fashion biznesu, ale w odróżnieniu od koleżanek nie uległa jego pokusom. Nie brała narkotyków, nie dała się uwieść rozrywkom. Jak prawdziwa Holenderka знаła wartość pieniędzy. Za pierwsze oszczędności kupuje mieszkanie w Los Angeles. W 1994 r. wychodzi za biznesmena z branży nieruchomości Mohameda Hadida. Na razie jest zrujnowany, ale Yolanda ufa mu i wierzy, że podniesie się z kryzysu. Ze związku rodzą się dzieci: Gigi, Bella i Anwar. Po drugiej córce Yolanda postanawia rzucić karierę modelki: „Piętnaście lat cygańskiego życia wystarczy”. Jednak mąż nie wywiązuje się z zobowiązań wobec rodziny, zdradza żonę. Yolanda rzuca Mohameda i życie glamour w Beverly Hills, przenosi się na farmę w okolicy Los Angeles. Rekompensatą za



Na Charlotte Moss zwrócono uwagę na ślubie jej sławnej siostry

FOT. IMP FEATURES/FORUM



Kariera Kate Moss niemal została pogrzebana przez skandal związany z narkotykami

FOT. BACKGRID UK/FORUM

przykreść rozstania jest czek, który uzyskuje od męża. Mowa jest o 3,5 mln dol. Jednak stosunki z Mohamedem Yolanda utrzymuje – eksmąż radzi jej, żeby nie zrywała kontaktów ze środowiskiem, bo zostanie samotna do końca życia.

Bierze tę radę poważnie. Na kolacji poznaje producenta muzycznego z Hollywood – Davida Fostera, który ma na koncie 16 nagród Grammy. Pięknej rozwódce oferuje więcej niż propozycję pracy w telewizji. To miłość od pierwszego wejrzenia. Panna młoda idzie do ślubu w wyszywanej perłami sukni, która waży 45 kg... Po czym Foster buduje dla nie tak już bardzo młodej pary rezydencję, która posłuży także jako scenografia do reality show. Powierzchnia 1000 mkw., widok na ocean i – jakżeby inaczej – z basenem.

Życie było dotąd dla Yolandy wyjątkowo łaskawe, ale w roku 2012 pojawiają się problemy. Czuje się wciąż zmęczona, nie może pracować, czytać, pisać. Cierpi na bóle głowy i mięśni. Diagnoza: choroba z Lyme, czyli borelioza. Wkrótce potem małżeństwo z Fosterem zaczyna się chwiać. Pałac w Malibu zostaje wystawiony na sprzedaż. Kupiec znajduje się szybko, mimo wysokiej ceny – 20 mln dol. Yolanda kupuje za to penthouse na Manhattanie. Na pocieszenie zostaje jej jeszcze ranczo w Pensylwanii.

Sprawy finansowe mają się nie najgorzej. W trakcie sprawy rozwodowej majątek Yolandy Hadid (została przy nazwisku pierwszego męża) zostaje oceniony na 45 mln. Sprawy rodzinne też nieźle. Klan Hadid trzyma się razem – dzieci przyjeżdżają do Pensylwanii, gdzie spotykają się z matką, a córki jeżdżą konno, tak jak ona kiedyś w Holandii.

Córki odnoszą same sukcesy: Gigi wprowadzie rzuca studiowanie psychologii, ale za to sama lub z siostrą zalicza największe wybiegi mody, okładki najlepszych pism i kampanie reklamowe. Miu Miu, Versace, Max Mara, Anna Sui, Fendi, BMW, Marc Jacobs, Tommy Hilfiger... W 2016 r. zostaje wybrana na międzynarodową modelkę roku. Ciemnowłosa Bella o twarzy sfinksa na wybiegach pracuje od 16. roku życia, więc nie miała czasu skończyć studiów fotografii w nowojorskiej Parsons School of Design. Ma za to za sobą wszystkie możliwe okładki, fashion weeki i jedno z najwyższych w branży kontrakty reklamowe.

To prawda – w rodzinie najlepiej wychodzi się na zdjęciach. Zwłaszcza na zdjęciach mody.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



DYSKRETNY TRIUMF KOMUNIZMU

W socjalistycznej Wenezueli ludzie mogą teraz za darmo jeździć metrem. Przemieszczać się między 53 stacjami można ot tak, bo automaty do biletów stoją powyłączone. Przyczyna jest mocno związana z komunizmem w gospodarce – otóż nie ma już w Wenezueli pieniędzy na prowadzenie materiałów do produkcji biletów. A nawet gdyby były, to trudno byłoby nadążyć ze zmianami cen przy szalejącej hiperinflacji w tym kraju.

FOT. THERRY MONASSE/GETTY IMAGES

ZAKAZ INFORMOWANIA O WŁADZY

Izraelski poseł do Knesetu Miki Zohar ujawnił w mediach, że jego partia Likud będzie dążyła do tego, by media nie mogły informować o śledztwach prowadzonych wobec urzędników państwowych bez uzyskania wcześniej zgody prokuratora generalnego. Poseł argumentował, że teraz media mogą naruszać dobre imię polityka bez dowodu na jego winę. Ależ to jest genialna myśl legislacyjna! I jaka wolnościowa oraz demokratyczna! A najbardziej zadowolony z takiej inicjatywy na pewno będzie premier Benjamin Netanjahu, wobec którego – tak się jakoś składa – toczą się liczne dochodzenia w sprawach korupcyjnych.

AGENT SPECJALNEJ TROSKI

W jednym z klubów nocnych w Denver bawił się agent FBI. Podczas tanecznych popisów – nie tylko obserwowanych przez innych, lecz także, jak się potem okazało, nagrywanych smartfonami – tak się

zapędził, że podczas wykonywania salta wypadł mu z kabury pistolet. Dalej było tylko gorzej. Bo kiedy agent się schylił, by podnieść broń, niespodziewanie z niego wypalił i ranił jedną z bawiących się tam osób. A potem po prostu sobie odszedł. Ostatecznie agent trafił do aresztu, skąd odebrał go przełożony z FBI. Agencja poinformowała, że wszczęła w tej sprawie specjalne śledztwo.

BÓJKA PODCZAS OPERACJI

Złamany nos, uraz czaszki i oka – tym zakończyła się operacja w szpitalu we francuskim Lisieux. Wszystko przez nieporozumienie między urologiem i anestezjologiem. Ich spór eksplodował, gdy pacjent leżał już przygotowany do zabiegu. Wówczas jeden z medyków próbował wbić w serce drugiego nożyczki. Zapobiegli temu pielęgniarze, którzy rozdzielili krewkich lekarzy. Potem skupili się na zabiegu – ten się powiódł – ale już po jego zakończeniu wznowili bitkę i urolog rozbił na głowie anestezjologa laptopa. Niebawem obaj staną przed sądem, grozi im utrata prawa do wykonywania zawodu. ©

Łukasz Zboralski



**PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU**

PIECZEŃ RZYMSKA

Wielka Rewolucja Włoska

Dla większości polskich mediów zagranica to zwierciadło istniejące wyłącznie po to, żeby Polska mogła się w nim ładnie przejrzeć. Dlatego chciałbym uświadomić PT Czytelnikom, że w Italii wraz z nieoczekiwanym powstaniem rządu kontestatorów doszło do rewolucji, która wywróciła porządek wszech rzeczy.

Trzęsące od ćwierć wieku Italię tradycyjne partie lewicy i prawicy poszły w odstawkę. Co trzeci Włoch oddał głos na Ruch Pięciu Gwiazd – ugrupowanie rewolucji społecznej wyczarowane w Internecie przez błazna Beppe Grillo. Współtworząca z Ruchem nowy rząd antyunijna

Liga dostała w marcu tylko 17 proc. głosów, ale dziś może liczyć na 30. Niebawem powinna stać się pierwszą partią Italii, choć jej lider Matteo Salvini wyznaje poglądy lokujące go na prawo od Iwana Groźnego.

Do tej dramatycznej zmiany sympatii politycznych doszło, mimo że wszystkie włoskie media oraz perorujący w nich eksperci i politycy nie zostawili na Ruchu oraz Lidze suchej nitki. Teraz diagnozują, że władzę przejęli barbarzyńcy i faszysty. Rozziew między tym, co mówią i piszą, a tym, co myślą i czują Włosi, stale rośnie. Ponad 60 proc. Włochów wspiera ten rząd, a 20 proc. nie ma zdania.

Wydawałoby się, że klęska powinna skłonić ludzi do refleksji i rachunku sumienia. Nic takiego się nie stało. Nadal, w nieznośnym poczuciu wyższości, udzielają pouczeń. Podobnie, choć z jeszcze większą arogancją, na przejęcie władzy przez eurosceptyków zareagowali mędrcy w Brukseli. Najwyraźniej wszystkim im umknęło, że w sporej części z ich winy coś w Italii pękło, coś się zmieniło bezpowrotnie.

A świat się zmienia szybko. Na promie na Capri para Niemców okradła neapolitańskiego robotnika. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



Globalna wojna celna



Tomasz Wróblewski

Jak wszystkie wielkie wojny, tak też i ta, druga globalna wojna celna, jest efektem błędnych kalkulacji i nadmiernej ufności w potencjał swojej broni

Ostatni raz, kiedy wszyscy nakładali sankcje przeciwko wszystkim, był 17 czerwca 1930 r. Wtedy też pierwsze strzały oddali Amerykanie i prezydent Herbert Hoover przekonany był o samowystarczalności Stanów Zjednoczonych. I wtedy też nikt nie marzył o świecie, w którym każdy wielki gracz stara się zniszczyć

wszystkich wokół, a przy okazji sam siebie wpędza w kryzys gospodarczy. Nikt nie wierzył i wciąż nie wierzy, że druga strona w ostatniej chwili nie ugnie się pod presją, a raz rozpetane piekło doprowadzi do prawdziwej wojny.

Kryzysu oczywiście jeszcze nie ma. Przeciwnie, północna Europa cieszy się najlepszą koniunkturą od dekady. Stany Zjednoczone ostatni raz rozwijały się w takim tempie 20 lat temu. Chiny wychodzą z zapaści, a ich firmy inwestujące na Zachodzie znowu złapały wiatr w żagle. I choć kilka ośrodków analitycznych otwarcie wieszczy już gwałtowne spowolnienie, to politycy nie spieszą się z zażegnaniem transgranicznych sporów. Ameryka Trumpa dodatkowo wierzy, że znowu posiada najpotężniejszą broń świata. Łańcuchowe sankcje, które złamały rosyjską ofensywę na Ukrainie, zmusiły Iran do negocjacji atomowych,

Koreę Północną do rozmów denuklearyzacyjnych, a Chiny do urealnienia juana. Europa po przejściach – kryzysach, bankructwach i brexicie – odzyskuje przekonanie, że może być równorzędnym mocarstwem z Ameryką. A Chiny – że posiadły receptę na przełamanie tysiącletniej dominacji anglosaksońskiej cywilizacji.

ESKALACJA

O tym, jak bardzo wszyscy mogą się mylić, niech świadczą fakty – ciąg sankcji, kontrsankcji i eskalacja wzajemnych pogroźek. Po tym, jak Stany Zjednoczone obłożyły zaporowymi cłami stal i aluminium z Chin, Rosji, Japonii, Korei Południowej, Europy, Kanady i Meksyku, Europa nałożyła sankcje na amerykańskie whisky, motorówki, sok żurawinowy i motocykle Harley Davidson. Chiny odpowiedziały własną porcją sankcji

wartych ponad miliard euro, ale już muszą się szykować na kolejne kontrsankcje Ameryki i pierwsze restrykcje handlowe ze strony Unii Europejskiej. Na każde z nich UE ma gotową odpowiedź, podobnie zresztą jak Stany Zjednoczone mają gotową odpowiedź na europejskie, kanadyjskie i meksykańskie kontrsankcje.

Jak to możliwe, że w ciągu zaledwie dwóch lat świat z najbardziej zglobalizowanej rzeczywistości od połowy XIX w. został sparaliżowany niekończącą się liczbą agresywnych taryf i kontrtaryf?

Sporo w tym miejscu można by napisać o międzynarodowych instytucjach, które wyrwały się spod demokratycznej kontroli i razem z globalnymi korporacjami zaczęły tworzyć równoległą ponadnarodową rzeczywistość. O tym, że gdzieś po drodze w gmatwaniu praw, przywilejów podatkowych i wymyślnych produktów finansowych zgubiony został interes małych graczy. Rodzinnych firm, pracowników i nade wszystko tradycyjnej lokalnej gospodarki czy lokalnych wiejskich społeczności. Wyborców, którzy może i utracili swoje znaczenie na globalnym rynku, ale nie stracili wpływu na swoje rządy i teraz dają o sobie znać.

Wciąż nie wiadomo, jak potoczyłyby się losy światowego handlu, gdyby nie innowacyjne sankcje – skuteczne metody wywierania presji za pomocą nowoczesnych instrumentów finansowych.

NOWE NARZĘDZIE

Po raz pierwszy zastosowano je wkrótce po ataku terrorystycznym na nowojorskie wieże WTC w 2001 r. Prezydent Bush solidarnie z innymi państwami NATO wdrożył nieznane wcześniej narzędzie finansowe do śledzenia transakcji osób i ugrupowań podejrzanych o działalność terrorystyczną. Zaczęło się od śledzenia powiązań grup terrorystycznych, które na krótko przed zamachem wykupywały opcje na spadek wartości ubezpieczycieli mających w swoim portfelu zagrożone nieruchomości. Następnie z laserową precyzją specjalne jednostki National Security Council, wspomagane ekspertami Federal Reserve (odpowiednika polskiego banku centralnego), atakowały każdy bank czy instytucję, która – świadomie czy nie – brała udział w finansowaniu grup terrorystycznych. Te, które natychmiast nie pozbyły się podejrzanych powiązań, traciły prawo do transakcji dolarowych, a z nimi każdy, kto deponował

tam pieniądze czy brał kredyty. Narzędzie okazało się piekielnie skuteczne. I to ono, a nie wojska NATO, tak naprawdę pokonało Al-Kaidę.

O tym, jak sankcje zmusiły Iran do powrotu do stołu negocyjacyjnego, wszyscy słyszeli, ale tak naprawdę ostatecznym dowodem skuteczności nowej amerykańskiej broni było obłożenie „fiskalną infamią” we wrześniu 2005 r. banku w Macao – Banco Delta Asia. Ten od lat bezkarnie prał koreańskie pieniądze z działalności przestępczej Kim Dzong Una. Cieszył się bowiem cichym poparciem rządu w Pekinie i gwarancjami chińskiego skarbu państwa. I rząd w Pekinie ani myślał ustąpić. Do czasu. Tydzień po wprowadzeniu łańcuchowych sankcji 34 proc. klientów wycofało z banku 133 mln depozytów. Dla państwa takiego jak Chiny to nie jest porażająca suma. Jednak kiedy w kolejnym tygodniu następne chińskie instytucje współpracujące z Banco Delta Asia straciły zdolność operacyjną wszędzie od

wych relacjach handlowych i przewagą, której Waszyngton nie miał od czasów bomby zrzuconej na Nagasaki. Skutecznie stosował ją do wymuszania „poddania” w różnych rejonach świata. A to do ścigania muzułmańskich terrorystów czy amerykańskich obywateli chowających swoje pieniądze przed urzędem podatkowym, a to do paraliżowania rosyjskich instytucji zaangażowanych w zbrojną interwencję na Ukrainie. Walcząc z terrorem, z oszustwami bankowymi francuskich czy niemieckich banków, ba, nawet z potężnymi szwajcarskimi bankami, które odmawiały wypłacenia odszkodowań żydowskiemu organizacjom (łącznie 1,9 mld dol.) rzekomo reprezentującym właścicieli kont osób zamordowanych podczas II wojny światowej. Nawet te się złamały.

Historia uczy nas jednak, że każda superbroń szybko znajduje swoich naśladowców albo gwałtownie zmienia reguły gry, stawiając cały świat przed nowymi wyzwaniem. Odpowiedzią na globalne

Każda firma musi przestrzegać warunków amerykańskich sankcji, jeśli chce posługiwać się dolarami w swoich transakcjach

Australii do Kanady, chiński bank rezerwy nie był już tak skory do ratowania banku w Macao. Po trzech tygodniach bank oficjalnie zerwał relacje z Pjongjangiem, pieniądze należące do rodziny Kima poszły w większości na spłatę zobowiązań wobec chińskiego skarbu. Po tym żaden z chińskich banków nie próbował już, przynajmniej oficjalnie, pośredniczyć w transakcjach koreańskiej rodziny.

JAK BLOKUJĄ USA

W praktyce każda firma, niezależnie od tego, gdzie się znajduje, musi przestrzegać amerykańskich sankcji, jeśli chce posługiwać się dolarami w swoich transakcjach.

We współczesnym świecie nie potrzeba dywizji wojsk do blokowania przejść granicznych czy flotylli do blokad morskich. Wystarczy zablokować przelewy finansowe. Nikt na świecie nie posiadał tej umiejętności w takim stopniu i w takiej skali, w jakich udało się to Stanom Zjednoczonym.

To najpotężniejsza broń dająca Ameryce niepowtarzalną pozycję w świato-

sankcje może być rozpad zunifikowanego systemu monetarnego – sytuacja, w której kraje strefy euro i lokalne instytucje finansowe respektują tylko euro i odmawiają współpracy w programie amerykańskich sankcji. To samo robią Chińczycy czy Rosjanie, choć ci ostatni nie mają tu większych szans z uwagi na ograniczony rozmiar swojej gospodarki. Rosja może natomiast przystępować do jednej czy drugiej strefy, usiłując wzmocnić swoją pozycję przetargową.

Dzisiaj to jeszcze fikcja. Przepaść, w której nikt nie wie, gdzie tak naprawdę znajduje się dno. Wciąż bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz wymuszenia ustępstw przez którąś ze stron. Chociaż nie spodziewamy się tu natychmiastowych efektów.

Jak na skalę międzynarodowych napięć amerykańska gospodarka zachowuje się zaskakująco spokojnie. Czerwiec zapowiada się wyśmienicie na amerykańskim rynku pracy, z bezrobociem już dziś najniższym od 18 lat (3,8 proc.), zamówieniami w przemyśle najwyższymi od 2008 r., ze wzrostem w budownictwie



USA obłożyły zaporowymi cłami stal i aluminium z Chin
FOT. GETTY IMAGES

znacząco wyższym od prognoz. To oczywiście można sobie tłumaczyć efektem odłożonym w czasie i reakcją na czynniki wewnętrzne. W pierwszej chwili po wprowadzeniu sankcji wzrosło zatrudnienie amerykańskich hut i stalowni, które w maju pracowały na 80 proc. swoich możliwości. Wojna naftowa rozgrywająca się w tle wojen celnych daje Ameryce dodatkową przewagę dzięki energetycznej samowystarczalności, jest w stanie utrzymać przewagę rynkową, a surowce, które eksportuje do Europy – węgiel i gaz – osiągają historyczne ceny.

WYGRA TRUMP?

Niewykluczone też, że rynki patrzą dalej, niż nam się to wydaje, i w swoim optymizmie szacują, iż wojna musi się skończyć zwycięstwem Trumpa. Amerykański ambasador w Niemczech, któremu powierzono rolę głównego negocjatora w wojnie celnej z Europą, Richard Grenell, twierdzi, że możliwe jest ponowne zawieszenie amerykańskich sankcji pod warunkiem ponownej rewizji niemieckich wydatków na zbrojenia, które wbrew wcześniejszym ustaleniom rządzącej koalicji w Berlinie mogą ostatecznie wzrosnąć z 1,2 proc. do 1,5 proc. PKB I kolejne możliwe ustępstwo – unijne wsparcie dla amerykańskich sankcji w Iranie. Niby drobne, ale w rzeczywistości najważniejsze. Byłoby to uznanie przywództwa monetarnego dolara i niekwestionowanie sankcyjnej

mocarstwowości Stanów Zjednoczonych. Uznanie prawa Stanów Zjednoczonych do dyktowania światu, kto może posługiwać się bronią finansowych sankcji, a kto może od nich zginąć.

Linie demarkacyjne zostały wytyczone, warunki pokoju są znane. Jednak wojna zamiast słabnąć, się wzmacnia. Strony najwyraźniej mierzą odporność przeciwnika. Dla Europy zapadającej się

**Podjmując wojnę z Ameryką,
Europa musi sobie
odpowiedzieć na pytanie:
Czy na koniec jest się w stanie
bronić jako jedność?**

na południu w kolejny włoski kryzys, na rok przed wyborami do europarlamentu w atmosferze rosnących eurosceptycznych nastrojów, załamanie handlu z Ameryką może być gwoździem do trumny.

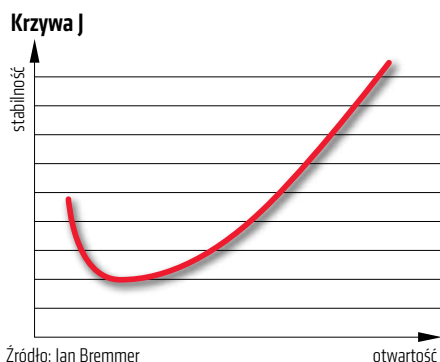
W Ameryce, niezależnie od dobrych nastrojów makroekonomicznych, co rusz na powierzchni optymizmu pojawiają się bańki pesymizmu. Dostarczający ponad połowę krajowych żurawin stan Wisconsin (których największymi rynkami eksportowymi są Holandia i Kanada) ostrzega przed utratą jednej

trzeciej swojej produkcji rolnej. Stan w przeważającej mierze głoszący na Trumpa i to też ten sam stan, w którym swoją siedzibę ma obłożony sankcjami Harley Davidson. Akcje największych amerykańskich producentów whisky w zeszłym tygodniu spadały po kilka procent, antycypując załamanie europejskiego eksportu. Nie muszą dodawać, że Kentucky to republikańska ostoja?

Chiny celują w amerykańskie soję, kurczaki i pszenicę. Z kolei w ich przypadku utrata rynków zbytu połączona z blokującymi europejskimi taryfami na produkcję przekierowaną z Ameryki może oznaczać poważną zapaść i niemożliwość finansowania ambitnych reform wewnętrznych. Stąd też pewnie pierwsze ustępstwa w tej wojnie. Chiny po rozmowie telefonicznej dwóch przywódców ogłosiły wycofanie koncesji taryfowych na 128 produktów.

Wciąż mamy zbyt wiele niewiadomych i niezbadanych procesów, żebyśmy mogli stwierdzić, w jakim kierunku to się potoczy.

Amerykański politolog i ekonomista Ian Bremmer, od lat zajmujący się wpływem sankcji gospodarczych na sytuację polityczną i dobrobyt państw, stworzył krzywą, która może tłumaczyć nam niektóre zachowania. W tym gotowość Chin do negocjacji. Bremmer badał wpływ sankcji na sytuację gospodarczą państw w zależności od ich uzależnienia od wymiany handlowej.



Po lewej stronie krzywej znajdują się takie kraje jak Korea Północna i Kuba, których reżimy są stabilne i odporne na sankcje właśnie dlatego, że są odcięte od reszty świata. Stany Zjednoczone nakładają sankcje na Kubę od połowy poprzedniego wieku – bez większych sukcesów.

Po prawej stronie, na samej górze krzywej, są kraje otwarte na świat. USA są stabilne mimo zaangażowania w świecie. Ich zewnętrzne relacje handlowe są jednak bardzo zdywersyfikowane, a dodatkowo kraj ma ogromny potencjał kompensowania źródeł energii czy konkretnych dóbr własną produkcją.

Na samym dole krzywej znajdują się takie państwa jak Rosja – w pełni uzależnione od zewnętrznego świata. Niewiele wyżej są Chiny.

Państwa takie jak Niemcy znajdują się w prawej wznoszącej części gdzieś w dwóch trzecich krzywej jako kraje stabilne i otwarte, bo dysponujące szerokimi relacjami ze światem, ale w przypadku skompilowanych sankcji mogą płynnie ześlizgiwać się w dół. Gdybyśmy na krzywej umieścili Unię Europejską jako całość, to pewnie znaleźlibyśmy ją po prawej stronie, blisko Stanów Zjednoczonych. Stąd też Donald Trump, kiedy mówi o Europie, chce prowadzić oddzielne rozmowy z każdym z państw, a nie z Brukselą. Unika spotkań z Tuskiem i kpi z Junckera.

Pytanie, na które Europa musi sobie odpowiedzieć, podejmując wojnę z Ameryką, brzmi tak: „Czy na koniec jest w stanie bronić się jako jedność?”. Pytanie do Trumpa: „Czy na koniec przejdzie do historii jako drugi Ronald Reagan, który przywrócił świetność Ameryce, tnąc podatki, czy jako prezydent Hoover, który też obniżył podatki, ale przede wszystkim swoją wojną celną doprowadził do wybuchu II wojny światowej?”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Krok po kroku, jak doszło do drugiej globalnej wojny celnej

- **11 stycznia:** amerykański sekretarz handlu donosi o wynikach dochodzenia w sprawie wpływu importu wyrobów hutniczych na bezpieczeństwo narodowe;
- **19 stycznia:** amerykański sekretarz handlu informuje o wynikach dochodzenia w sprawie wpływu importu aluminium na bezpieczeństwo narodowe;
- **22 stycznia:** prezydent Trump zatwierdza zalecenia dotyczące nałożenia ceł ochronnych na pralki oraz ogniwa słoneczne i moduły;
- **28 lutego:** publikacja programu politycznego prezydenta Trumpa i roczne sprawozdanie „w sprawie wolności gospodarczej i sprawiedliwej wymiany handlowej”;
- **6 marca:** Komisja Europejska wprowadza cła antydumpingowe na chińskie wyroby stalowe;
- **7 marca:** KE przedstawia plan UE dotyczący przeciwdziałania restrykcjom handlowym USA w odniesieniu do stali i aluminium;
- **8 marca:** ogłoszenie amerykańskich ceł na import stali (25 proc.) i aluminium (10 proc.), obowiązujące od 23 marca, z wyłączeniem wybranych państw;
- **16 marca:** KE rozpoczyna publiczne konsultacje w sprawie amerykańskich ceł i ewentualnych unijnych środków odwetowych (wykaz produktów UE);
- **21 marca:** komisarz Malmström spotyka się z sekretarzem handlu USA Rossem w celu jak najszybszego znalezienia środków zaradczych przeciw wojnie celnej;
- **22 marca:** kancelaria prezydenta Trumpa ogłasza wprowadzenie sankcji względem Chin;
- **22 marca:** chińskie ministerstwo handlu wprowadza cła antydumpingowe na papier fotograficzny z UE, ze Stanów Zjednoczonych i z Japonii;
- **23 marca:** Stany Zjednoczone wzywają WTO do potępienia chińskich wymogów licencyjnych dotyczących technologii;
- **23 marca:** Chiny wprowadzają obowiązkowe koncesje na amerykańskie produkty ze stali i aluminium;
- **26 marca:** KE zarządza analizę środków ochronnych na wypadek, gdyby sankcje amerykańskie spowodowały napływ nadwyżek stali i aluminium do UE;
- **27 marca:** Chiny wszczynają dochodzenie antydumpingowe przeciwko produktom fenolowym stosowanym do farb importowanych z USA, UE, Korei, Japonii i Tajlandii;
- **3 kwietnia:** USA publikują listę produktów importowanych z Chin, które mogą podlegać 25-procentowym taryfom. Publiczne przesłuchanie odbędzie się 15 maja;
- **5 kwietnia:** Chiny publikują listę amerykańskich produktów, które będą podlegać kontrtaryfom w wysokości 25 proc. W tym samym dniu składają wniosek o konsultację w WTO, twierdząc, że amerykańskie „taryfy stali i aluminium są działaniami protekcyjnymi”;
- **17 kwietnia:** Chiny wprowadzają tymczasowe cła antydumpingowe na amerykańskie ziarna zbóż;
- **20 kwietnia:** Chiny wprowadzają cła antydumpingowe na import gumy butylowej ze Stanów Zjednoczonych, z UE i Singapuru;
- **24–27 kwietnia:** prezydent Macron (24 kwietnia) i kanclerz Merkel (27 kwietnia) spotykają się z prezydentem Trumpem w sprawie poprawy wzajemnych relacji handlowych;
- **27 kwietnia:** Trump publikuje specjalny raport o przestrzeganiu własności intelektualnej, na liście państw obserwowanych lądują Grecja i Rumunia (jako jedyne państwa członkowskie UE) i Chiny jako państwo szczególnego zagrożenia;
- **1 maja:** przedłużenie do 1 czerwca zwolnienia UE z ceł importowych ze stali i z aluminium;
- **3–4 maja:** delegacja handlowa USA spotyka się z chińskimi urzędnikami w sprawie relacji gospodarczych;
- **8 maja:** prezydent Trump i prezydent Xi przez telefon omawiają warunki dwustronnej współpracy handlowej. Rozmowy nie przynoszą większego efektu. Rezultatem jest zbliżająca się perspektywa ciągłych ograniczeń handlowych i środków odwetowych, oprócz stali i aluminium obejmujących ponad 1,3 tys. importowanych chińskich produktów o wartości ok. 50 mld. dol., prawdopodobnie z myślą o chińskich sektorach high-tech i przemysłowym;
- **1 czerwca:** USA wprowadzają karne cła na stal i aluminium z Unii Europejskiej;
- **1 czerwca:** UE, Meksyk i Kanada zapowiadają wprowadzenie sankcji odwetowych wobec Stanów Zjednoczonych.



Stefan Sękowski

Podatek bankowy, od deszczu, wyższy ZUS czy niekorzystne dla niektórych zmiany w PIT – rząd Prawa i Sprawiedliwości wprowadza nowe daniny oraz podwyższa stare. Tak samo jak poprzednicy

Dwie rzeczy są pewne na tym świecie – śmierć i podwyżka podatków oraz innych danin przez kolejne rządy. Przynajmniej od jakichś 10 lat: wcześniejsze rządy albo próbowały to robić, albo – tak jak w XXI w. za „drugiego SLD” czy „pierwszego PiS” – mieliśmy do czynienia z obniżkami, w takich segmentach jak CIT i PIT dla przedsiębiorców (za premiera Leszka Millera) czy wprowadzenie dwóch stawek PIT, obniżka składki rentowej lub wprowadzenie ulgi na dzieci (w latach 2005–2007). To już jednak pieśń przeszłości: za rządów Platformy Obywatelskiej zaczęła się cicha rewolucja fiskalna, polegająca na wprowadzaniu coraz to nowszych podatków i podwyższaniu starych, często w sposób trudny do rozpoznania na pierwszy rzut oka, choć zauważalny w portfelach zainteresowanych.

I teraz to się nie zmienia. Także w kwestii fiskalizmu PiS wchodzi w buty swoich poprzedników. Wprowadzając nowe podatki, podwyższając stare czy wygodnie moszcząc się w warunkach, które PO i ludowcy przygotowali partii Jarosława Kaczyńskiego.

CZY SŁOŃCE, CZY DESZCZ

W zależności od tego, jak liczyć, PiS wprowadził bądź podwyższył co najmniej kilkanaście nowych i starych podatków bądź paropodatków. 6 czerwca – w tegoż roczny Dzień Wolności Podatkowej – Sejm uchwalił ustawę wprowadzającą „opłatę emisyjną”, z której pieniądze mają pójść na rozwój elektromobilności. Zapłacą za to kierowcy (opłata podniesie ceny benzyny o ok. 10 gr za litr), ale nie tylko, bo wraz z ceną paliwa rosną także ceny towarów. Było to już drugie podejście – za pierwszym razem w ubiegłym roku PiS wycofał się z wprowadzenia podobnej daniny. Jednak wprowadził inne. Na początku 2016 r. wprowadzono tzw. podatek banko-

wy w wysokości 0,0366 proc. nałożony na nadwyżkę aktywów, takich instytucji jak banki, spółdzielcze kasy oszczędnościowo-kredytowe czy firmy ubezpieczeniowe. Wpływ z tego podatku wyniosły np. w ubiegłym roku 4,3 mld zł. Jako że każdy podatek może zostać przerzucony, przynajmniej część tych pieniędzy wyłożyli klienci banków. Taką tezę potwierdzają zresztą badania ekonomistów, np. dr. Marcina Wiśniewskiego z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, który w artykule „Przeznaczalność podatku bankowego w Polsce – próba oceny zjawiska” wskazuje, że w tym okresie wzrosło oprocentowanie nowych kredytów, zwłaszcza konsumpcyjnych, podobnie jak spadło oprocentowanie

znana danina (choć mająca stosunkowo niewielkie znaczenie fiskalne) jest podatek dochodowy od osób fizycznych. W zakresie PIT mieliśmy do czynienia ze zmianą wymuszoną przez wyrok Trybunału Konstytucyjnego, który nakazywał podwyższenie kwoty wolnej od podatku. Wcześniej wynosiła 3091 zł rocznie i jako niższa niż minimum socjalne uderzała w tych, którzy – mimo że zarabiają bardzo niewiele – i tak muszą część oddawać fiskusowi w postaci PIT. PiS postanowił jednak nie podwyższyć kwoty wolnej wszystkim, ale – stosując skomplikowany algorytm – wprowadzić obniżkopodwyżkę. W efekcie niższy podatek zapłaci ok. 4 mln osób. To

Fiskalizm à la PiS

depozytów (choć można było zaobserwować to już wcześniej). Może mieć to wpływ na udzielanie kredytów przez banki.

To nie wszystkie nowe opłaty. Od stycznia tego roku wzrosły opłaty za odprowadzanie wody deszczowej (w zależności od gminy i budynku może to być kilkadziesiąt, a może i kilkaset złotych rocznie), wprowadzono także nową opłatę recyklingową (20 gr), doliczaną do toreb foliowych. Z kolei w 2021 r. dojdzie do tego jeszcze „opłata mocowa”, wynosząca – według zapowiedzi – kilka złotych miesięcznie, doliczana do rachunku za prąd. Ponadto od 2019 r. palacze e-papierosów i tzw. nowatorskich wyrobów tytoniowych zapłacą w cenie dodatkową akcyzę.

PODWYŻKA PRZES OBNIŻKĘ

Sporo działa się także, jeśli chodzi o istniejące już podatki. Najbardziej

dużo, ale zdecydowana większość ok. 23 mln osób (od tego roku zarabiających między 13 tys. a 85 528 zł rocznie) nie odczuje z tego powodu żadnych korzyści. Z kolei stracą ci, którzy i tak przechodzą przez drugi próg podatkowy, bo od niego kwota wolna zaczyna maleć do zera (do 127 tys. zł rocznie).

A tych jest coraz więcej, ponieważ PiS – wzorem poprzedników – nie waloryzuje drugiej stawki podatkowej. Wynosi ona 85 528 zł rocznie i z powodu rosnących dochodów coraz więcej osób wpada w drugi próg. Dzieje się to sukcesywnie: o ile w 2009 r. takich osób było 387 tys., o tyle w 2015 r. już 710 tys. Przez kolejny rok liczba „bogato-

szych Polaków” wzrosła do 754 tys., co oznacza, że przez sam brak waloryzacji tylko przez rok PiS podwyższył podatki 44 tys. Polaków – i to bez formalnego podwyższania podatków! Podobnie zresztą jak wszystkim prowadzącym działalność gospodarczą: w tym roku składki na ZUS (wraz z dobrowolną składką chorobową) wyniosły 1228 zł. Od kiedy PiS doszedł do władzy, wzrosły one o 236 zł. Te składki mają być „zwrotne”, gdy dany przedsiębiorca

z ustawą zasadniczą (sprawa wniesiona przez prezydenta nadal czeka na rozpatrzenie). Gdy taka osoba przejdzie na emeryturę, będzie ona wyższa, niż gdyby trzydziestokrotność została zachowana – martwić się będą tym jednak rządzący za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat.

PLANY, PLANY

Do tego dochodzą podatki, które PiS chciał bądź chce wprowadzić, ale na razie nie są ściągane – i nie wiadomo, jakie będą ich losy. Uchwalając w 2016 r. „podatek handlowy”, rząd chciał ściągnąć pieniądze z hipermarketów (czyli także z ich klientów), jednak już dwukrotnie zawieszano jego obowiązywanie. Ma wejść w życie od początku przyszłego roku, o ile zgodzi się na to Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej – Komisja Europejska uważa bowiem, że jest sprzeczny z prawem unijnym. Do tego dojdzie jeszcze być może planowana „danina solidarnościowa”, z której wpływy mają być przeznaczone na pomoc osobom niepełnosprawnym, nałożona na osoby zarabiające ponad milion złotych rocznie, w wysokości dodatkowych 4 proc. dochodu. Ta zmiana, która – jeśli wejdzie w życie – dotknie ok. 25 tys. osób, będzie oznaczała także m.in. odejście od liniowego PIT dla przedsiębiorców.

kolejna, zapowiadana przez premiera Morawieckiego – do 9 proc.) obejmie niecałe 10 proc. wszystkich drobnych przedsiębiorców, gdyż większość z nich rozlicza PIT.

CORAZ WYŻSZY RACHUNEK

Wprowadzane przez obecny rząd zmiany mają niewątpliwie na celu zwiększenie progresywności systemu podatkowego w Polsce, jednak w ostatecznym rozrachunku uderzają we wszystkich. Zmiany w podatkach bezpośrednich odciażają najuboższych (i do brze!), jednocześnie mają na celu wyższe opodatkowanie tych, których rząd uważa za bogatych. Nawet jeśli uznamy, że zarabianie ponad 5 tys. zł miesięcznie na rękę to już jest ten moment, od którego należy się dokładać w ponadproporcjonalnie większym stopniu do budżetu, to i tak ci, którzy zarabiają mniej – ale nie bardzo mało – na tych zmianach nie zyskują, a wręcz tracą, bo uderza się w nich podatkami pośrednimi. Warto też przypomnieć, że już osiem lat (w tym prawie trzy lata rządów PiS) obowiązuje ustanowiona „tymczasowo” na trzy lata podwyżka VAT – podatku, który dotyka przede wszystkim osoby biedniejsze.

Te daniny różnią się oczywiście od siebie. Niektóre mają cel „wychowawczy”, tak jak np. opłata od worków foliowych, inne mają wspomóc utrzymanie ważnej infrastruktury (opłata wodna). Jednak jako że nie są rekompensowane w innych miejscach, wszystko przekłada się na obraz rosnącego fiskalizmu w Polsce. Jak obliczyło Forum Obywatelskiego Rozwoju, „w 2017 roku »Rachunek od Państwa« na jednego mieszkańca wyniósł 21 491 zł i był o 1338 zł wyższy niż rok wcześniej, a wydatki państwa rosły szybciej od gospodarki”. Te pieniądze nie pochodzą bezpośrednio z podatków, także z długu publicznego, który będziemy (i nasze dzieci) spłacać w przyszłości. W tym roku Dzień Wolności Podatkowej, obliczany przez Centrum im. Adama Smitha, wypada co prawda 6 czerwca – trzy dni wcześniej niż rok temu – jednak to efekt wzrostu gospodarczego, nie zaś spadku wydatków publicznych, które nadal rosną. Nawet więc, jeśli niektórzy cieszą się z nowych rządowych wydatków, to warto mieć świadomość, że rząd wystawia nam za to rachunek. Coraz wyższy – w czym PiS nie różni się od poprzedników.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u Nowa Konfederacja.



przejdzie na emeryturę lub (oby nie!) coś mu się przytrafi i będzie musiał skorzystać z innego świadczenia. Nie zmienia to jednak faktu, że obecnie musi zapłacić wyższą składkę, podobnie jak będzie musiał zapłacić ją ktoś, kto przekroczy próg 127 tys. zł rocznego dochodu, o ile Trybunał Konstytucyjny uzna zniesienie tzw. trzydziestokrotności za zgodne

Oczywiście są także podatki, które PiS obniża – jak choćby wspomniany już PIT dla najuboższych poprzez podwyższenie im kwoty wolnej. Jednak bywają też obniżki pozorne, takie jak obniżenie stawki CIT do 15 proc. dla tych przedsiębiorstw, których przychód ze sprzedaży nie przekroczył 1,2 mln euro rocznie. To wspaniale, tyle że ta obniżka (tak jak



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Każdy wnuk dziedziczy dług

W TVN wyemitowano materiał o pięcioletnim chłopcu z Łodzi, od którego ZUS oczekuje spłaty długu jego dziadka. Długu powstałego przed narodzinami wnuka, gdy dziadek prowadził działalność gospodarczą, nie płacąc składek ubezpieczeniowych.

Matka chłopca po śmierci swego ojca odrzuciła obciążony zadłużeniem spadek, jednak uczyniła to tylko we własnym imieniu, ale już nie w imieniu swego dziecka, które dopiero za kilka miesięcy miało przyjść na świat. Nie wiedziała, że nie czyniąc tego, naraża je, a tak naprawdę siebie – bo przecież pięciolatek nie ma własnych dochodów – na spore kłopoty. Wyszło to na jaw, gdy po jakimś czasie ZUS wystąpił do sądu, aby zgodnie z prawem obciążony długiem spadek po dziadku pięciolatka nabyła gmina Łódź.

Jak ostatecznie skończy się sprawa chłopca i jego mamy z Łodzi, na razie nie wiadomo. Wiadomo za to – i to aż nadto dobrze – jak się skończy sprawa wszystkich polskich wnuków, które już są na świecie (więc i tego z Łodzi) oraz tych, które się dopiero narodzą – jeśli chodzi o odziedziczony przez każdego z nich dług publiczny Rzeczypospolitej Polskiej. Dług zaciągnięty w ich imieniu przez rządzących Polską polityków – zaciągnięty za wiedzą i co najmniej milczącym przyzwoleniem ich dziadków i babć oraz ojców i matek. Otóż będą musiały ten dług spłacić. A mówimy o kwocie naprawdę niemałej i w dodatku wciąż przyrastającej.

Polski dług publiczny – w łwiej części także wobec ZUS – powiększany jest bowiem bez przerwy, dniem i nocą – zarówno ten jawny, jak i ten ukryty – i wynosi teraz, a więc w chwili, gdy piszę te słowa: 1 032 629 650 385 zł (dług jawny) i 3 290 021 500 158 zł (dług ukryty). Rzecz jasna, gdy państwo czytają te słowa, jest on już dużo, dużo wyższy (jego aktualny stan można sprawdzić pod adresem: www.dlugpubliczny.org.pl).

Na jednego wnuka i jedną wnuczkę – już narodzone oraz te, które dopiero się narodzą – długu do spłacenia wypada teraz tyle, ile na każdego obywatela Polski: ponad 27 tys. zł – długu jawnego – i prawie 87 tys. zł – długu ukrytego.

W dodatku tego mocno zadłużonego „spadku” – w odróżnieniu od dziedziczonych po krewnym spadku obciążonego długiem – nie można w majestacie prawa nie przyjąć, odrzucić go, wyłączając się w ten sposób z obowiązku jego spłaty. W przypadku tej „schedy” – tego długu publicznego – są tylko trzy wyjścia: albo spłacać go aż do ostatniego dnia i ostatniego grosza – zwykle w coraz wyższych i wyższych podatkach, albo wraz z całym państwem ogłosić bankructwo, albo wyemigrować.

Polskie wnuki, obciążone już na starcie potężnym zobowiązaniem finansowym, własnym dziadkom i babciom oraz ojcom i matkom mogą „podziękować” za to, że pozwolili wybranym przez siebie politykom utopić ich – być może na całe życie – w długach. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Zuckerberg vs Gutenberg

Analiza tego, na co wydajemy pieniądze w Polsce, na podstawie wag kategorii towarów i usług w koszyku inflacyjnym prowadzi do ciekawych wniosków. Od dekady na żywność i napoje przeznaczamy stabilnie 24 proc. wszystkich wydatków. To spore zaskoczenie, bo wraz z bogaceniem się społeczeństwa udział żywności w wydatkach powinien maleć, np. u Niemców wynosi tylko 10 proc. Jednak są też dobre strony życia w kraju

Silnie spada udział wydatków na sprzęt audio, foto i komputery, usługi związane z kulturą oraz na książki i gazety

o średnim dochodzie na mieszkańca: procentowo znacznie mniej niż Niemcy wydajemy na użytkowanie mieszkania i na transport.

Nawiać w strukturze zakupów spożywczych: kupujemy mniej pieczywa i surowego mięsa, a więcej przetworów z ryb i owoców morza. Pijemy mniej mleka, za to jemy więcej jogurtów i deserów mlecznych. Rosną wydatki na owoce, dżem, miód, wyroby cukiernicze i czekoladę, a maleją na cukier. Na kawę wydajemy dwa-trzy razy tyle co na herbatę, rośnie spożycie wód i soków. W sumie można powiedzieć,

że odżywiamy się coraz bardziej europejsko i zdrowo, tylko pijemy dużo kawy, no ale to pewnie z powodu niewyspania i stresów w pracy. Rośnie spożycie alkoholu, za to od dwóch lat silnie maleją wydatki na tytoń. W sumie wygląda na to, że mamy coraz zdrowsze płuca i coraz większe problemy z wątrobą.

Więcej wydajemy na ubrania, ale na buty już nie. Koszty użytkowania mieszkania są stabilne, ale warto zwrócić uwagę na znacząco rosnący z roku na rok udział opłat czynszowych, prawdopodobnie jednocześnie rosną ceny wynajmu i liczba osób wynajmujących mieszkania. Niestety, wraz ze wzrostem cen usług medycznych i starzeniem się społeczeństwa rośnie także udział wydatków na zdrowie, za to nie wydajemy więcej na leki. Z roku na rok coraz mniej wydajemy na usługi transportowe. Silnie spada udział wydatków na sprzęt audio, foto i komputery, usługi związane z kulturą oraz na książki i gazety. Zuckerberg wygrywa z Gutenbergiem. Po kilku latach spadków znowu więcej wydajemy na restauracje i hotele oraz rekreację.

Takie zmiany przyniosła miniona dekada. Jak będzie w kolejnej? Z pewnością wzrosną wydatki na zdrowie, a wraz z szybkim wzrostem płac w końcu zacznie spadać udział żywności w naszych wydatkach. No i pewnie pojawi się nowa kategoria: roboty, sztuczna inteligencja i wirtualna rzeczywistość. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: KOKTAJLER BREVILLE BLEND-ACTIVE PRO

Są soczyste, słodkie i pełne różnych wartości odżywczych. Na działkach, straganach i w supermarketach coraz więcej jest truskawek i innych świeżych owoców. Warto więc codziennie przygotować sobie do biura zdrowy koktajl, który z powodzeniem może zastąpić np. tuczający batonik.

Dobłą zmianę diety – umożliwiającą przygotowywanie soków, a także modnych smoothies czy drinków proteinowych – chętnie wspierają producenci AGD, którzy starają się maksymalnie ułatwić proces szybkiego przygotowywania koktajlu do pracy. My wzięliśmy do testów kielichowy blender marki Breville.

Niewielkie urządzenie o nowocześniejszym, eleganckim wyglądzie jest solidnie wykonane i proste w obsłudze (obsługujemy je za pomocą jednego guzika, który trzeba przytrzymać podczas blendowania produktów). W modelu Blend-Active owoce rozdrabnia się od razu w półlitrowym bidonie, co eliminuje konieczność przelewania koktajlu i brudzenia niepotrzebnych części. Dużą zaletą tego



modelu jest też możliwość mycia w zmywarce zarówno bidonu, jak i pokrywki blendera. Sporym ułatwieniem, umożliwiającym zabranie bidonu np. na siłownię lub wyprawę rowerową, jest czarny pokrowiec z neoprenu, który

zapobiega wysiłgiwaniu się bidonu z dłoni, a także utrzymuje temperaturę napoju. Nieźle sprawdza się też nieprzeciekająca pokrywka blendera.

Urządzenie pracuje cicho i szybko radzi sobie z miksowaniem owoców. W testowanym modelu można również kruszyć lód, blendować orzechy, zmrożone banany czy truskawki oraz inne twarde składniki. Mimo niewielkiej mocy silniczka (zaledwie 300 W) koktajler bardzo dobrze sobie radzi: nie zostawia żadnych grudek, a jednocześnie się nie przegrzewa. Trzeba jednak pamiętać, że urządzenie tego typu świetnie się sprawdzi, jeżeli robimy na raz tylko jeden lub dwa koktajle. Jeśli ktoś ma dużą rodzinę, to lepiej przemyśleć zakup blendera z większym pojemnikiem. Szkoda również, że w komplecie jest tylko jeden bidon, a nie dwa. Testowany koktajler jest jednak świetnym gadżetem dla tych, którzy chcieliby się zdrowo odżywiać, a nie przepadać za jedzeniem owoców.

Cena: 269 zł.

© © Jacek Przybylski

GRILLOWANIE NA ROWERZE

Yes, yes, yes! Koniec bezproduktywnego spalania kalorii podczas jazdy na rowerze. Od teraz dzięki Knister Grill można jechać rowerem i jednocześnie zająć się pysznymi, grillowanymi kielbaskami w sosie BBQ. Od razu jednak trzeba wyjaśnić, żeby tego szczęścia nie było zbyt wiele – wytwarzana podczas jazdy brykiem energia nie ma nic wspólnego z funkcjonowaniem grilla, żarzeniem czy opiekaniem. Knister Grill to po prostu grill nożowy na węgiel drzewny, który dzięki specjalnie wysuwanym nożom i zabezpieczeniu można prosto przymocować do kierownicy roweru i albo posilać się, jadąc, albo wybierając się na piknik, zapiekać przysmaki już w drodze. Jednym słowem – nigdy wcześniej deklaracja: „Ty zmroziś wódeczkę, a ja przywiozę grilla” nie brzmiała tak prawdziwie. Producent zapewnia, że urządzenie wyposażone jest w dwie „zoptymalizowane” strefy opiekania, jedna jest przeznaczona do pieczenia steków, a druga do mniejszych potraw, takich jak boczek, pomidory cherry, kawałki cukinii, cebula etc.

Swoją drogą chciałbym zobaczyć reakcję policyjnego patrolu, np. na Marszałkowskiej, w sytuacji, gdy funkcjonariuszy minie kopący jak traktor rower wydzielający w dodatku aromat grillowanej kaszanki.

Grill węglowy transportowany rowerem to pomysł może nieco ekscentryczny, ale na Kickstarterze nie brakuje chętnych na zakup urządzenia. Aby stać się jego właścicielem, trzeba zapłacić ok. 500 zł i czekać na dostawę w lipcu.



FOT. MATERIAŁY PROSOWE

GŁOŚNIK BEZ SMARTFONA

Czasami po przyjeździe z pracy do domu, po godzinach użerania się z korektą i redakcyjnym sekretariatem, po

prostu padam ze zmęczenia i marzę jedynie o relaksie przy dobrej muzyce i latem – lodowato zimnym napoju. Padam to głośnik, który – jak twierdzą jego twórcy – może odtwarzanie dobrej muzyki zapewnić niemal w każdych okolicznościach, i to bez konieczności

ściągnięcia i ustawiania playlist na smartfonie. Ma zapewniać łatwy dostęp do ulubionych list odtwarzania, stacji radiowych i podcastów już po przekręceniu pokrętki. Jak to działa? Wystarczy skonfigurować gadżet, a następnie włączyć Wi-Fi. Urządzenie łączy się z Internetem i samo wyszukuje interesującą nas muzykę, stacje radiowe i audycje. Dźwięk jest całkiem niezły, albowiem Padam wykorzystuje wysokiej klasy 30-watowy wzmacniacz, który zapewnia dwukrotnie większą moc niż popularne na rynku głośniki Bluetooth. Energia elektryczna jest przenoszona na energię akustyczną przez przetworniki oraz dwa pasywne czujniki poprawiające głębie basu. Padam na Kickstarterze kosztuje 800 zł, a dostawa urządzenia ma się rozpocząć w grudniu. © ©



Wojciech Wybranowski

Najlepsze szpitale w Polsce

FOT. FOTOLIA



Katarzyna Pinkosz

Są w Polsce specjaliści, którzy leczą na światowym poziomie. I szpitale, których wyniki leczenia nie odbiegają od najlepszych ośrodków na świecie

Po usłyszeniu diagnozy pacjent często musi zmagać się nie tylko z chorobą, lecz także szukać dla siebie lekarza i miejsca leczenia. Często od tego, czy dobrze go wybierze, zależy, czy chorobę uda się pokonać. Wyniki leczenia w Polsce bardzo się różnią, w zależności od szpitala. Pacjenci są tego coraz bardziej świadomi, dlatego chcą podejmować decyzje, gdzie się leczyć, na podstawie obiektywnych danych.

W wielu krajach informacje o wynikach leczenia można znaleźć na stronach szpitali, które publikują statystyki przeprowadzonych operacji, występujących powikłań,

działań niepożądanych. W Polsce tego typu rozwiązania ma wprowadzić zapowiadana ustawa o jakości w ochronie zdrowia. Po to, żeby ułatwić znalezienie najlepszych placówek, powstał ranking szpitali tygodnika „Wprost” i wydawnictwa Termedia. Autorzy wzięli pod lupę m.in. zakres dostępnej diagnostyki, liczbę wykonywanych zabiegów, współczynnik zakażeń pooperacyjnych.

LAURY W LECZENIU SERCA

Jeśli chodzi o leczenie kardiologiczne i kardiochirurgiczne, to od lat wiodą prym ośrodki na Śląsku, w Warszawie i Gdańsku. W tym roku na pierwszym miejscu – zarówno jeśli chodzi o kardiologię, jak i kardiochirurgię – uplasowało się Śląskie Centrum Chorób Klinicznych w Zabrze kierowane przez prof. Mariana Zembalę. W ubiegłym roku wykonano tam najwięcej w Polsce operacji wszczepienia zastawek i 45 przeszczepów.

Tuż za ośrodkiem w Zabrze w kardiologii uplasowało się Uniwersyteckie Centrum Kliniczne (UCK) w Gdańsku,

które zajęło również wysokie, szóste miejsce w kardiologii. Klinika Kardiologii i Chirurgii Naczyniowej UCK wykonała najwięcej w Polsce zabiegów TAVI – przeszskórnego wszczepienia zastawki aortalnej. Drugie miejsce wśród najlepszych szpitali kardiologicznych (i czwarte w kardiochirurgii) przypadło Górnośląskiemu Centrum Medycznemu im. prof. Leszka Gieca Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach. Na trzecim miejscu w obu kategoriach znalazł się – podobnie jak przed rokiem – Instytut Kardiologii w Aninie. W Klinice Kardiologii i Transplantologii, kierowanej przez prof. Mariusza Kuśmierczyka, w 2017 r. wykonano tyle samo przeszczepów co w Zabrze. W 2018 r. klinika przygotowuje się do łączonego przeszczepu serca z wątrobą u pacjenta z tzw. sercem jednokomorowym.

W Polsce przeprowadzane są niemal wszystkie najbardziej skomplikowane operacje kardiochirurgiczne, a w leczeniu zawałów jesteśmy jednymi z europejskich liderów. Niestety, sukcesy kardiologii

interwencyjnej często są marnowane przez brak właściwej opieki nad pacjentami po wyjściu ze szpitali w poradniach specjalistycznych.

NAJLEPSI W ONKOLOGII

Wyniki leczenia nowotworów są w Polsce gorsze niż w Europie Zachodniej, co jest spowodowane m.in. zbyt późnym zgłaszaniem się do lekarzy, przewlekłością diagnostyki, długim oczekiwaniem na leczenie, brakiem jego kompleksowości, ograniczoną dostępnością do najnowszych leków. – Ponad 2,6 tys. podmiotów w Polsce ma podpisane umowy na realizację pakietu onkologicznego, a tak naprawdę 17 szpitali realizuje pakiet onkologiczny w ponad 50 proc. Chcielibyśmy premiować te ośrodki, które leczą więcej chorych, mają doświadczenie i lepsze wyniki leczenia – mówi prof. Adam Maciejczyk, dyrektor Dolnośląskiego Centrum Onkologii, prezes Ogólnopolskiego Zrzeszenia Publicznych Centrów Instytutów Onkologicznych.

Największe szanse na wyleczenie nowotworu daje leczenie chirurgiczne. Już po raz drugi w rankingu w kategorii chirurgii onkologicznej pierwsze miejsce zajęło Centrum Onkologii w Bydgoszczy. Katedra i Klinika Chirurgii Onkologicznej wraz z Oddziałem Klinicznym Chorób Piersi, prowadzona przez prof. Wojciecha Zegarskiego, przoduje w leczeniu nowotworów układu pokarmowego, szczególnie jelita grubego. Wykonuje rocznie ok. 500 operacji nowotworów jelita grubego i jest pod tym względem jednym z największych ośrodków w Europie. Funkcjonuje tu nie tylko Breast Cancer Unit (ośrodek kompleksowego leczenia nowotworów piersi), lecz także pierwszy w Polsce Colorectal Cancer Unit zajmujący się wielospecjalistycznym leczeniem raka jelita grubego.

Kolejne miejsca w kategorii „Chirurgia onkologiczna” zajęły: Szpital Uniwersytecki w Krakowie, Szpital Morski w Gdyni, Centrum Onkologii-Instytut w Warszawie. Szpital Uniwersytecki w Krakowie zajął też pierwsze miejsce w kategorii „Urologia”. Klinika Urologii i Urologii Onkologicznej, kierowana przez prof. Piotra Chłostę specjalizuje się w uroonkologii. Przeprowadza się tu wszystkie zabiegi uroonkologiczne oraz zabiegi z powodu schorzeń nienowotworowych. Drugie miejsce w urologii zajął Szpital Uniwersytecki im. dr. Jurasza w Bydgoszczy, a trzecie – Wojewódzki Instytut Medyczny w Warszawie.

Szpital Uniwersytecki w Krakowie zwyciężył też w kategorii „Ginekologia”. Oddział Kliniczny Ginekologii i Onkologii, kierowany przez prof. Kazimierza Pityńskiego, specjalizuje się w leczeniu zmian przednowotworowych szyjki macicy metodami tradycyjnymi, elektrochirurgicznymi i laserowymi, a także w leczeniu zaburzeń statyki narządu rodowego metodami z użyciem tkanek własnych organizmu i materiału sztucznego. Klinika, jako pierwsza w Polsce, otrzymała certyfikat Europejskiego Towarzystwa Ginekologii Onkologicznej. Tuż za Szpitalem Uniwersyteckim w Krakowie w tej kategorii uplasowały się Wojewódzki Szpital Zespolony w Elblągu oraz Szpital Specjalistyczny im. Świętej Rodziny w Warszawie.

O ile w onkologii najważniejszą rolę odgrywa chirurgia, o tyle w leczeniu nowotworów krwi – dobór leczenia farmakologicznego, przeszczepienie szpiku (gdy to jest możliwe) oraz leczenie paliatywne. W kategorii „Hematologia” pierwsze miejsce zajął Uniwersytecki Szpital Kliniczny we Wrocławiu. Tuż za nim znalazł się Samodzielny Szpital Kliniczny WUM przy ul. Banacha (Klinika Hematologii i Onkologii, kierowana przez prof. Wiesława Jędrzejczaka) oraz warszawski Instytut Hematologii i Transfuzjologii. – W każdym województwie jest obecnie pełnoprofilowy ośrodek hematologiczny, otwierane są też kolejne ośrodki przeszczepiania komórek krwiotwórczych. Ze względu jednak na starzenie się społeczeństwa i zwiększającą się skuteczność leczenia (większość nowotworowych chorób krwi stało się chorobami przewlekłymi), potrzeby rosną szybciej. Hematologia jest tą dziedziną, w której występuje niedobór łóżek szpitalnych, a opieka ambulatoryjna jest niewydolna – podkreśla prof. Jędrzejczak, krajowy konsultant ds. hematologii.

Problemem w hematologii jest też dostęp do najnowocześniejszych leków. – Często jest ograniczony, chociaż staramy się, aby leki dostawali przynajmniej chorzy najbardziej potrzebujący. Innowacyjnością staramy się nadrobić niedostatki w finansowaniu – dodaje prof. Jędrzejczak. Faktem jest, że polscy hematolodzy są cenieni na całym świecie.

CHOROBY RUCHU I ZMYŚŁÓW

Schorzenia ortopedyczne, okulistyczne, laryngologiczne często pozostają w cieniu, gdyż zwykle nie odbierają życia. Pogarszają za to znacznie jego jakość. W leczeniu schorzeń narządu ruchu w Polsce

przoduje zdecydowanie Otwock. Szpital Kliniczny im. prof. Adama Grucy w Otwocku w 2017 r. przeprowadził ponad 8,6 tys. operacji, zarówno tak skomplikowane jak skracanie i wydłużanie kończyn, jak i operacje endoprotezowania. – Chorzy następnego dnia po operacji endoprotezowania są pionizowani, a po kilku dniach mogą opuścić szpital na własnych nogach. Jeśli potrzebują rehabilitacji, to trafiają na nowoczesny oddział rehabilitacji – mówi prof. Wojciech Marczyński, kierownik Kliniki Ortopedii, zastępca dyrektora szpitala ds. nauki i szkolenia. Tuż za szpitalem w Otwocku w rankingu „Ortopedia” uplasowały się Kliniczny Szpital Wojewódzki w Rzeszowie oraz szpital w Piekarach Śląskich.

Do upośledzenia jakości życia prowadzą też problemy ze słuchem i wzrokiem. Niedosłuch ma nawet 60 proc. dorosłych, a ok. 1,5 mln osób w Polsce może doświadczać w nocy epizodów bezdechu, które przyczyniają się m.in. do chorób serca. Otolaryngologia to jednak nie tylko poprawa jakości słuchu i oddychania, lecz także wykrywanie i wczesne leczenie nowotworów tej części ciała. Z rankingu wynika, że otolaryngologicznie najlepiej leczyć się w Szpitalu Klinicznym UM w Poznaniu, Wojskowym Szpitalu Klinicznym w Krakowie i Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Białymstoku.

Cieszy fakt, że dzięki lepszemu finansowaniu od ubiegłego roku nieco skróciły się w Polsce kolejki do operacji zaćmy. Nadal jednak są tak długie, że wielu pacjentów decyduje się na zabieg za granicą, mimo że polscy okuliści i polskie ośrodki są cenione na całym świecie. W kategorii „Okulistyka” zwyciężyła Katedra i Klinika Okulistyki Samodzielnego Publicznego Klinicznego Szpitala Okulistycznego, kierowana przez prof. Jacka Szaflika, tuż za nim uplasowały się Klinika Okulistyki Wojskowego Uniwersytetu Medycznego w Warszawie, kierowana przez prof. Marka Rękasa, oraz Oddział Okulistyki Dorosłych Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach.

Ranking szpitali pokazał, że w Polsce mamy znakomitych specjalistów i jest gdzie się leczyć na dobrym poziomie. Niestety, w stosunku do potrzeb tych dobrych miejsc jest zdecydowanie za mało.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

MONIKA DŁUGOSZ: 80 proc. chrapących to mężczyźni. Dlaczego?

DR MARCIN BRODA: Powodem jest m.in. inna budowa ciała, męskie hormony, a także większa skłonność mężczyzn do używek, a zarówno picie alkoholu, jak i palenie papierosów nasilają ryzyko występowania chrapania. Podobnie jak otyłość.

To uciążliwe dla osoby, która z chrapającym dzieli sypialnię. Może być też niebezpieczne dla samego chrapącego?

Tak, dlatego że chrapanie jest objawem zaburzeń oddychania podczas snu. Najłagodniejszym. Drugim stopniem tych zaburzeń jest spływanie oddychania, a trzecim – obturacyjny bezdech senny. Permanentnie powtarzający się proces niedotlenienia podczas snu powoduje niedotlenienie wszystkich organów: wątroby, nerek, ośrodkowego układu nerwowego, serca. To jedna z przyczyn pojawienia się nadciśnienia, skłonności do udarów, choroby niedokrwiennej serca, zaburzeń rytmu serca.

Około 21 proc. wypadków samochodowych może być spowodowanych przez kierowców cierpiących na bezdech podczas snu. Mają gorszą koncentrację, przysypiają za kierownicą. UE wydała nawet niedawno dyrektywę zobowiązującą do badania kandydatów na kierowców pod kątem występowania bezdechów śródsennych.

Jak można się przekonać, że osoba, która chrapie, ma też bezdechy podczas snu?

Partnerka (lub partner) może zwrócić uwagę w nocy na to, że chrapący w pewnym momencie przestaje oddychać, a potem nagle wybudza się głośnym chrapnięciem. W ciągu dnia często odczuwa senność, drzemie przed telewizorem, czasem na spotkaniu towarzyskim. Może mieć

Z dr. Marcinem Brodą, laryngologiem z Centrum Medycznego MML rozmawia Monika Długosz

Bezdech to ryzyko zawału

poranne bóle głowy, zaburzenia libido.

Są badania, które to sprawdzą?

Przeprowadzamy dokładny wywiad z osobą chrapącą, a często także z partnerem. Następnie badamy laryngologicznie nos, gardło i krtani. Jeśli istnieje podejrzenie bezdechu, to zlecamy badania dodatkowe. Jednym z nich jest polisomnografia: specjalna aparatura podczas snu sprawdza utlenowanie krwi, czynność serca, częstotliwość chrapania, ruchy klatki piersiowej, czynność mózgu, pozycje przybierane we śnie.

Dzięki temu możemy sprawdzić, czy pacjent miał bezdechy, jak wiele ich było, czy są to bezdechy obturacyjne związane z obecnością przeszkody w przepływie powietrza przez górne drogi oddechowe, którą można usunąć, czy bezdechy centralne spowodowane nieprawidłową pracą ośrodkowego układu nerwowego.

Jeśli potwierdzimy bezdech lub inne zaburzenia oddychania podczas snu, to staramy się określić miejsce, w którym dochodzi do przyblokowania przepływu powietrza. Wykonujemy badanie fiberoendoskopowe, zwykle w trakcie

tw. snu farmakologicznego imitującego sen fizjologiczny. Obserwujemy, w którym miejscu może dochodzić do zapadania się tkanek, blokady przepływu powietrza. Za pomocą tomografii – w MML dysponujemy tzw. tomografią stożkową, badanie trwa kilka sekund, nie dochodzi do silnego napromieniania pacjenta – można ocenić, czy przyczyną jest np. skrzywienie przegrody nosa, przerost małżowin nosowych, obecność polipów nosa, przerost nasady języka, wiotkość podniebienia miękkiego, przerost migdałków podniebiennych. Następnie planujemy leczenie.

Jak leczy się bezdech?

Sposób leczenia zależy od przyczyny. Gdy jest to przerost podniebienia miękkiego, można wykonać zabieg przy użyciu techniki radiotermoabblacji – koblacji. Często wykonuje się go ambulatoryjnie: trwa 40–50 minut, w znieczuleniu miejscowym. Elektrody wprowadzamy w tkanki miękkie. Po kilku tygodniach pojawiają się zrosty śródkankowe, które usztywniają podniebienie – staje się ono bardziej sprężyste, nie ma skłonności do zapadania się i nie blokuje przepływu powietrza. Podobny zabieg wykonuje się przy przerostie małżowin nosowych. Jedną z najnowszych metod jest zabieg małoinwazyjny przy zastosowaniu lasera diodowego w technice palisadowej. Różni się od koblacji tym, że stosujemy tu śródkankowo włókna lasera. W przypadku skrzywienia przegrody nosowej zabiegi można wykonać w trybie chirurgii jednego dnia. W większości przypadków pacjent tego samego dnia wychodzi do domu. Metody zabiegowo-operacyjne są coraz mniej inwazyjne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

System ochrony zdrowia jest niedofinansowany. To fakt. Wiele się mówi o konieczności całościowego podejścia do zarządzania szpitalem, jednak są sytuacje, kiedy dług jest tak duży, że jedynym ratunkiem jest kredyt. Niełatwo go uzyskać, zwłaszcza na korzystnych warunkach. Przykład dwóch szpitali z Podkarpacia pokazuje, że znalezienie instytucji finansowej, która zaufa nam na tyle, żeby udzielić kredytu na przeprowadzenie procesu restrukturyzacji, jest możliwe.

KROK PO KROKU

Bank Gospodarstwa Krajowego udzielił pożyczki dwóm zadłużonym szpitalom na Podkarpaciu – Klinicznemu Szpitalowi Wojewódzkiemu nr 1 w Rzeszowie oraz Klinicznemu Szpitalowi Wojewódzkiemu nr 2 w Rzeszowie (trzecie miejsce w rankingu najbardziej zadłużonych szpitali w Polsce).

Najpierw Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego (właściciel obu podmiotów) przeanalizował działalność szpitali, wyciągnął wnioski i rozpiął postępowanie przetargowe na przeprowadzenie audytu zewnętrznego szpitali wraz z opracowaniem programu naprawczego oraz przygotowaniem strategicznego dokumentu dla województwa na kolejne lata. Zadanie to przypadło w udziale firmie zewnętrznej specjalizującej się w doradztwie restrukturyzacyjnym w podmiotach leczniczych.

Kolejnym krokiem było poszukanie instytucji finansującej zainteresowanej udzieleniem kredytu na wdrożenie programu naprawczego, w którym jednym z kluczowych elementów jest restrukturyzacja zadłużenia. W obecnej sytuacji rynkowej nie jest to proste. Szczególnie w sektorze ochrony zdrowia ze względu na specyfikę i ryzyko w branży. Kluczowym elementem pozyskania instytucji finansującej dla rzeszowskich szpitali było posiadanie realnego programu naprawczego dla jednostek, wpisującego się w strategię działania Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podkarpackiego. Dokumenty niezbędne w tym procesie przygotowała firma doradcza. We wnioskach aplikacyjnych znalazły się m.in. opis audytu i wskazania możliwych oszczędności oraz szczegółowy plan naprawczy wraz z analizą finansową w trzech wariantach (każdy z przygotowanych wariantów różnił się wielkością kwoty oszczędności).



Dług w szpitalu? Da się z tego wyjść

Od długów nie ma ucieczki. Dyrektorzy zadłużonych szpitali prędzej czy później będą musieli je zrestrukturyzować, np. śladem dwóch szpitali na Podkarpaciu

BGK udzielił wspomnianym szpitalom kredytów o łącznej wartości 209 mln zł. Warto dodać, że zostały one przyznane na korzystnych warunkach finansowania (preferencyjne oprocentowanie – 2,5 proc., okres spłaty – 25 lat, okres karencji – trzy lata, prowizja za zaciągnięcie kredytu – 0,05 proc.).

KONSEKWENCJA I KONTROLA

Nie sztuka jednak planować, sztuka konsekwentnie wdrażać i kontrolować zmiany. BGK udziela finansowania na przeprowadzenie procesu restrukturyzacji podmiotu leczniczego pod warunkiem posiadania realnego planu naprawczego.

Dodatkowo szpital powinien mieć narzędzia, które będą pozwalać na przeprowadzenie procesu nadzoru i kontroli realizacji programu restrukturyzacyjnego. Istotne jest bieżące raportowanie sytuacji w stosunku do założonego planu rocznego (skonstruowanego w postaci budżetów zadaniowych na poszczególne komórki organizacyjne).

Posiadanie mechanizmów kontroli jest zabezpieczeniem dla banku – daje szansę na sukcesywne wdrażanie planu i spłatę kredytu.

Za wieloma dużymi sukcesami szpitali stoją wyspecjalizowane firmy konsultin-

gowe, które przygotowują cały proces, tworzą analizy, biznesplany, budżety, wypełniają wnioski aplikacyjne, prowadzą projekty i rozliczają dotacje. Korzystanie z ich usług jest normą na polskim rynku i warto sięgać po ich wiedzę oraz doświadczenie. Każda ocena z zewnątrz przynosi świeże spojrzenie na działalność i może nieść pozytywne skutki, trzeba się tylko otworzyć na zmianę. Dodatkowo jest to pierwszy krok do budowania zaufania instytucji finansujących, bo wskazuje na długofalowe podejście do tematu zadłużenia.

Audytem powinny się zajmować firmy zewnętrzne, niemające powiązań ani z zamawiającym, ani ze szpitalami.

Podsumowując: warto spojrzeć na zmiany w szpitalu jako na zaplanowany, logiczny proces. I warto go kontrolować, bo sam plan to dopiero początek.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ZUK Know How sp. z o.o.

tel. 91 489 22 80,

e-mail:

knowhow@knowhow.com.pl

www.knowhow.com.pl



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Jeździec polski

O życiu Aleksandra Józefa Lisowskiego herbu Jeź, sławnego polskiego zagończyka, twórcy osławionych formacji lekkiej jazdy pustoszących Moskwę, ciągle wiemy niewiele. W odtworzeniu jego życiorysu nie pomagają brak dobrej biografii i liczne mity na temat lisowczyków.

Nie wiemy, kiedy się urodził człowiek, który – jak zwykle w historii Rzeczypospolitej – był banitą i awanturnikiem, zanim został bohaterem. Historycy przyjmują, że było to gdzieś między 1575 a 1580 r. w Wielkim Księstwie Litewskim, dokąd w połowie stulecia przeniosła się z Prus Królewskich jego rodzina. Pierwszy raz pojawił się w 1601 r., w czasie wyprawy na Wołoszczyznę przeciwko hospodarowi Michałowi Walecznemu. Później walczył na Inflantach, gdzie zasłużył się nieciekawie – 19 grudnia 1604 r. przyczynił się, jak pisał Jan Karol Chodkiewicz, do zawiązania konfederacji wojskowej, która spustoszyła Litwę. Lisowski dostał za to banicję, z której niewiele sobie robił, schronił się bowiem pod skrzydła wroga hetmana – Janusza Radziwiłła. Pobity razem z nim w rokoszu Zebrzydowskiego, pod Guzowem w 1607 r., uciekł do Moskwy i zaciągnął się w szeregi wojsk wspierających Dymitra Samozwańca w walce o carską koronę.

Wbrew temu, co można by sądzić, pierwsze oddziały zagończyków, którymi dowodził wówczas Lisowski, składały się z... Kozaków dońskich, których można by uznać za protoplastów późniejszych lisowczyków. W maju 1608 r. pułkownik dowodził 200-konną rotą kozacką, polską i około tysiącem dońców. Z tymi siłami rozbił pod Zarajskiem siły Iwana Chowańskiego i Zachara Lapunowa, zajął Michajłów, Kołomnę, a potem poniósł porażkę na Niedźwiedzim Brodzie i wrócił do obozu



FOT. WIKIPEDIA

w Tuszynie. W 1609 r. miał już pod rozkazami 5 tys. Kozaków i ledwie 50 polsko-litewskich petyhorców. Wspólnie z Janem Piotrem Sapiehą oblegał świętą dla prawosławia ławrę Troicko-Siergiejewską.

Kiedy w 1609 r. Zygmunt III Waza uderzył na Moskwę i obległ Smoleńsk, Lisowski, zapominając o urazach, przyłączył się do króla, stając się wiernym żołnierzem Rzeczypospolitej. Gdy nieopłacone wojsko zawiązało w roku 1612 konfederację w Rohaczewie i zawróciło do kraju, pozostał na pograniczu, dając odpór wojskom moskiewskim. To wszystko pokazuje, że śmiało możemy rozprawić się z kolejnym mitem – ludzi pozostających pod komendą pułkownika nie nazywano lisowczykami, ale „ludźmi pana Lisowskiego”.

12 stycznia 1615 r. Lisowski wydał uniwersał, zapowiadający wszystkim hultajom w Rzeczypospolitej, że winy zostaną im darowane, jeśli stawia się pod jego rozkazy. Z zebraniem w taki sposób wojskiem przeprowadził jeden z najbardziej niesamowitych zagonów, przemierzając tysiące kilometrów. Najpierw podszedł pod Briańsk, nękając przeciwnika szybkimi wypadami. Następnie zaskoczył pod Karaczewem i pobił na głowę przysłane z pomocą miastu

siły Jurija Szachowskiego. Wkrótce przeciwko oddziałom Lisowskiego wysłano kniazia Dymitra Pożarskiego, oswobodziciela Moskwy z rąk polskich.

Do bitwy doszło nad rzeką Orzeł. Moskale najpierw zepchnęli ludzi Lisowskiego do obozu, jednak pułkownikowi udało się zebrać oddziały i zmusić wroga do ucieczki. Nadchodzący Pożarski nie zdecydował się na bitwę i zamknął się w taborze. Lisowski wyruszył zatem na Bołchów, spalił Biełow i Lichwin, zajął Peremyszl. Przechodząc w dwa dni i dwie noce 170 km! Rozbił pod Rzewem znaczne siły moskiewskie i pomknął ku północy – zamierzając dojść do Oceanu Północnego, czyli do Morza Karskiego, nie wiadomo jednak, czy rzeczywiście tam doszedł. Wiadomo, że spod Hulecza wyruszył do Romanowa i nad Wołgę. Następnie zbliżył się do Moskwy, podszedł pod Murom i Kasimów, rozesał na wszystkie strony podjazdy, paląc, grabiąc i mordując. Później zawrócił ku granicom Rzeczypospolitej. Strach przed Lisowskim był tak wielki, że żaden oddział moskiewski nie śmiał niepokoić jego sił w czasie jego powrotu.

Lisowski powrócił pod Smoleńsk i zaczął przygotowywać się do nowej wyprawy na Moskwę. W trakcie tych przygotowań rozchorował się i 11 października 1616 r. zmarł. Jeżeli wierzyć źródłom – od dawnej rany w nogę zadanej strzałą z łuku. Dopiero u schyłku jego życia i po śmierci, jak podaje Henryk Wisner, gdzieś między styczniem 1615 a marcem 1617 r. doszło do wykształcenia się odrębności pułku, którego żołnierze stworzyli własne prawa, zaczęli wybierać dowódców i w końcu sami zaczęli uważać się za lisowczyków. Ich dalsze dzieje to gigantyczny rozdział historii militarnej Rzeczypospolitej. ©

ANTONI PAWLICKI W RAJU WEGE

Szakszuka to taka izraelska jajecznica, doskonała potrawa na śniadanie, jej podstawą nie są jednak jajka, ale pomidory. W Izraelu dużo osób nie je mięsa, więc jako wegetarianin miałem tam prawdziwy kulinarny raj. Bardzo mi się podobają śniadania w izraelskich hotelach, gdzie tak jak wszędzie na świecie serwowane jest ono w formie szwedzkiego stołu, ale nie ma tam wędlin (czyli czegoś najgorszego, jeśli chodzi o mięso, bo mocno przetworzonego i pełnego konserwantów), za to dużo różnych warzyw. W jakimś sensie takie śniadania są podobne do tych, do których jestem przyzwyczajony w polskiej kuchni – czyli składających się przede wszystkim z jajek i warzyw. Dla osób o podobnych upodobaniach kulinarnych szakszuka może być ciekawą odmianą od np. jajecznicy na maśle.

Składniki:

- 4 pomidory (świeże lub z weków)
- 2–3 jajka
- 1 cebula
- 2 ząbki czosnku
- pietruszka, kolendra lub szczypiorek
- sól, pieprz

Przygotowanie

Posiekany czosnek i cebulę szklimy na odrobinie oliwy z oliwek. Dorzucamy drobno pokrojone pomidory (najlepsze będą świeże, ale np. zimą możemy użyć weków), przykrywamy patelnię i gotujemy. Gdy pomidory będą miękkie, wbijamy do nich jajka w taki sposób, w jaki wbijamy je na patelnię, robiąc to jak na jajka sadzone. Przykrywamy i gotujemy, by białko się ścięło, a żółtko zostało płynne. Nie używam do tej potrawy żadnych przypraw, jedynie posypuję na wierzchu solą i pieprzem do smaku. Koniecznie też posypmy z wierzchu czymś zielonym, np. pietruszką, kolendrą lub szczypiorkiem. Do dania można też dodać innych ulubionych warzyw, np. zielonej lub czerwonej papryki. ©©

oprac. raw

Antoni
Pawlcki jest
aktorem.



FOT. JAKUB POLAKIEWICZ/ADWIS/GETTY IMAGES



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Kotlet in vitro

W roku 2050 na ziemi będzie 10 mld ludzi. Jak ich wyżywić? Rozwiązań trzeba szukać już dziś. I już się pojawiają. Kuchnia przyszłości może mało przypominać tę, którą znamy. I chociaż byśmy tego dzisiaj nie chcieli, będzie częściowo pochodziła z laboratorium. W Stanach Zjednoczonych nad wyprodukowaniem mięsa bez hodowli zwierząt pracuje już kilka start-up'ów. Jednym z nich jest Memphis Meats, firma założona przez trzech inżynierów z Uniwersytetu Minnesoty: Umę Valeti, Nicholasa Genovese i Willa Clema. Ich cel: uzyskanie mięsa z komórek pobranych ze zwierzęcia i następnie pobudzenie ich do wzrostu za pomocą bioreaktora. Sprawa nie jest tak utopijna, jak się może wydawać, skoro w Memphis Meats zainwestowali już Richard Branson i Bill Gates.

Inny pomysł na danie mięsne ma firma Impossible Foods, również amerykańska. Jej hamburger to nie żadna SF, to rzeczywistość. Kosztuje 13 dol., a konsumenci zagłosowali na niego portfelami. W roku 2017 sprzedano 1,3 mln sztuk, w tym roku – już 2,5 mln.

Nie przeszkadza im, a może właśnie pomaga, że produkt ten nie zawiera ani grama mięsa. Jego białko pochodzi ze zboża, z kartofli i oleju kokosowego, a podobieństwo do mięsa zapewnia rodzaj syntetycznej krwi, która powstaje z hemu – składnika pożywnego z korzenia soi.

A może pizza? I to na dodatek świeżo wyjęta z drukarki. Skoro drukarka



FOT. FOTOLIA

może wyprodukować ludzkie organy, to dlaczego nie miałyby zrobić czegoś tak prostego jak pizza? Amerykańska firma BeeHex eksperymentowała i udało się – przynajmniej tak twierdzą twórcy. Jak udało się upiec włoski placek? Składniki w proszku wrzucane są w postaci „nabojów”, następnie – dzięki odpowiedniemu programowi – układają się na cieście w odpowiedni sposób. Pomysłodawcy zapewniają, że rezultat jest bardzo smaczny.

Hmm... Wierzmy, ale mimo zachęt na razie nie skorzystamy. Może więc jogurt bez mleka? Start-up Perfect Day stworzył syntetyczne mleko na bazie drożdży, do których wstrzyknięto DNA krowy. Dodano trochę cukru i fermentacja sprawiła, że powstało mleko bez laktozy i bez glutenu, które według uczonych pozwala zaoszczędzić 98 proc. wody i 65 proc. energii potrzebnej do wyprodukowania zwykłego mleka.

No cóż – nauka to rzecz ciekawa. Jednak na razie cieszymy się świeżymi kalafiorami, fasolką i młodymi kartoflami. I miejmy nadzieję, że pożyteczne wynalazki amerykańskich naukowców dotrą do nas jak najpóźniej. ©©

NASZ TEST: AUDI A7 SPORTBACK

Intygująca, smukła, dynamiczna i inteligentna. Sylwetka nowej „siódemki” przywołuje do myśli Natalie Portman czy Evę Green w seksownych, designerskich sukniach. Model A7 to bowiem na tyle udane połączenie eleganckiej limuzyny z uwodzicielskimi liniami coupé, że piesi na światłach przyglądają się temu modelowi tak, jakby nagle znaleźli się w galerii sztuki. Wrażenie na sąsiadach i sąsiadkach z pewnością zrobi zaś fantastyczna animacja światła reflektorów podczas odblokowywania i zamykania pojazdu.

W KABINIE

Mierzące niemal 5 m auto ma zaledwie 1,42 m wysokości. Wnętrze jest jednak zaskakująco przestronne. Miejsca nie brakuje zarówno z przodu, jak i z tyłu. Bagażnik ma 535 l (po złożeniu siedzeń kufer oferuje 1390 l).

W luksusowej, futurystycznie wykończonej kabinie największe wrażenie robi jednak wszechobecna technologia. Główną część deski rozdzielczej stanowią dwa dotykowe ekrany cyfrowe. Na górnym o przekątnej 10,1 cala wyświetlane są m.in. informacje o pojeździe, wskazówki nawigacji. Z kolei dolny wyświetlacz o przekątnej 8,6 cala umożliwia sterowanie klimatyzacją, a także odręczne wprowadzanie tekstu. Obsługa obu ekranów jest intuicyjna i wygodna, choć na ekranach szybko gromadzą się odciski palców.

Za kierownicą znajduje się też wirtualny kokpit o przekątnej 12,3 cala. Teoretycznie dostępne jest też sterowanie głosem – można np. powiedzieć nawigacji, dokąd chciałoby sięjechać. Kilkusetkiłometrowy test pokazuje



jednak, że akurat ten element wymaga jeszcze dopracowania.

JAZDA

To limuzyna dla tych prezesów, którzy zamiast być wożonymi, wolą sami zasiąść za kółkiem. A7 z trzylitrowym silnikiem Diesla o mocy 286 KM od 0 do 100 km/godz. przyspiesza w 5,7 s. Wersja benzynowa jest jeszcze szybsza i pierwszą setkę osiąga w 5,3 s. My podczas testu jeździliśmy audi z jednostką wysokoprężną. Wprawdzie jest ona wyposażona w nieco gorszą, ośmiobiegową skrzynię biegów i starszą wersję napędu quattro niż wersja benzynowa, jednak audi prowadzi się szybko i pewnie. Nie ma też żadnego problemu z dynamiczną jazdą po zakrętach. A7 jest również fantastycznie wyciszone. Na wysoki komfort jazdy wpływa również pneumatyczne zawieszenie.

Diesel nie pali zbyt dużo – podczas testu średnie spalanie w cyklu mieszanym wyniosło 7,3 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

Audi A7 uzbrojone w pięć radarów, pięć kamer, a także sensory ultradźwiękowe oraz skaner laserowy oferuje aż 39 systemów wsparcia kierowcy, których głównym zadaniem jest zapobieganie kolizjom i wypadkom. Jeśli więc na autostradzie zaczniemy zjeżdżać ze swojego pasa ruchu, to komputer automatycznie skieruje nas z powrotem na właściwy tor. Jeżeli z kolei w mieście nie zauważymy, że przed maską wyrósł nagle pieszy, to A7 autonomicznie zacznie hamować. Z kolei asystent wydajności podpowiada, aby zdjąć nogę z gazu, zanim naszym oczom ukaże się biała tabliczka informująca, że wjeżdżamy na teren zabudowany. Auto odczytuje też znaki drogowe i potrafi samodzielnie zaparkować lub samo wjechać do garażu.

CENA

Za Audi A7 z silnikiem Diesla o mocy 286 KM trzeba zapłacić co najmniej 323,9 tys. zł. Wersja z jednostką benzynową o mocy 340 KM kosztuje 329 tys. zł. Kwota na fakturze szybko może jednak przekroczyć 400 tys. zł. Za pakiet sportowy S line trzeba bowiem dopłacić 22,9 tys. zł. Wykończenie w lakierze kryształicznym to koszt ponad 16 tys. zł. Wymiana standardowych foteli na S Sport kosztuje niemal 19 tys. zł. A to tylko niektóre z dostępnych opcji.

KONKURENCJI

BMW 6 Gran Turismo, Mercedes CLS, Porsche Panamera ☹☹

Jacek Przybylski



HISTORIA

DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA

MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA N. MORTON'A „KRZYŻACY W ZIEMI ŚWIĘTEJ 1190–1291”

80 zł

oszczędność 75 zł



PRENUMERATA ROCZNA

MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ KSIĄŻKA A. DEMURGER'A „TEMPLARIUSZE. PROCES 1307–1314”

81 zł

oszczędność 74 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO:

62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o.

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl a87b2c4414



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Włochy otwierają oczy

MARCIN MAKOWSKI: Po przeciągającym się kryzysie parlamentarnym Włochy mają nowy rząd. Na jego czele stanie premier Giuseppe Conte, a większość utworzy koalicja Ligi i Ruchu Pięciu Gwiazd. Twoja eurosceptyczna przepowiednia zdaje się sprawdzać.

MATTHEW TYRMAND: Nie jestem tym specjalnie zaskoczony, na temat schyłkowego stanu ówczesnej włoskiej polityki rozmawialiśmy bodaj rok temu. Włochy miały być, i są, antyunijnym liderem na południu Europy, wybijającym się w negatywnych nastrojach wobec wspólnoty na tle Grecji, Portugalii czy Hiszpanii. A te w Italii pogarszały się systematycznie przynajmniej od 20 lat. Spadała jakość życia, co dodatkowo spotęgowało wprowadzenie euro, przy zaokrągłaniu cen w górę przy przeliczniku z lirów. Poza tym Włochy mają najdłuższą linię wybrzeża na Morzu Śródziemnym, więc siłą rzeczy przyjmowały największą liczbę imigrantów z Afryki. Wszyscy widzieliśmy dramatyczne obrazy z wyspy Lampedusa. Szczególnie na południu kraju, gdzie drastycznie wzrosła przestępczość, ludzie mieli po prostu dosyć status quo oraz Unii, która rękoma Angeli

Merkel zafundowała cały ten efekt domina, wprowadzając politykę otwartych drzwi. A wszystko przy aprobacie Federiki Mogherini. Co ciekawe, choć partie podobne do Ruchu Pięciu Gwiazd osiągały dobre wyniki, np. we Francji czy w Niemczech, dopiero we włoskim parlamencie będziemy mogli zobaczyć w akcji koalicję dwóch populistycznych ugrupowań.

Od początku wspólne dogadywanie się obu partii wyglądało jak telenowela bez happy endu. Interweniować musiał prezydent Sergio Mattarella, zanosilo się na wcześniejsze wybory.

Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Chociaż obie partie miały silny mandat, żadna nie mogła utworzyć rządu większościowego, a prawdą jest, że różniły się choćby w kwestiach gospodarczych. Nie sprawa to jednak, że prezydent Włoch ma prawo torpedować utworzenie rządu, sugerując, iż nie podoba mu się kierunek, w którym zmierza. I że nie przyjmie zaprzysiężenia ministra finansów i przeciwnika euro, ekonomisty Paolo Savony. Elity nieakceptujące woli wyborców zachowywały się podobnie w 2010 r. w Grecji, lobbując powsta-

nie gabinetu Lukasa Papademos. W Rzymie również próbowano stabilizować sytuację z zewnątrz, wspierając premiera Mario Montiego – bankiera w stylu Goldman Sachs, zresztą byłego komisarza unijnego. Jak to się skończyło, wszyscy dzisiaj widzimy. Nie dzisiaj, nie jutro, ale kolejny kraj jest bliższy wyjścia z Unii. Słyszałem już nawet termin „quitaly”. Brzmi w sumie lepiej niż italexit. A skąd to się wszystko bierze? Właśnie z przeświadczenia, że ktoś w innym kraju na drugim końcu Europy jest mądrzejszy niż wyborcy.

Dokładnie te słowa wypowiedział komisarz europejski Günther Oettinger. „Rynki nauczą Włochów, jak głosować”. Co interesujące, w kontrze „o zaufaniu do demokratycznych wyborów” wypowiedział się Donald Tusk.

A co miał Tusk powiedzieć? On już wie, że wróci powalczyć politycznie w Polsce, więc musi podkreślać wartość mandatu, przyznawanego przez ludzi. To również sprawa, że dystansuje się nieco od wizerunku eurokraty, narzuconego Warszawie z góry, który tymczasowo wypełniał obowiązki na froncie unijnym, a teraz zostaje oddelegowany na odcinek krajowy. Nie można się jednak dać zwieść jego słowom. Na koniec dnia nikt w Brukseli nie ucieszy się z włoskich populistów, nie wyciągnie wniosków, nie prze-myśli, dlaczego południe Europy ma inne priorytety rozwoju niż północ, a w związku z tym nie może funkcjonować według tych samych, narzuconych biurokratycznie zasad. Jeśli ktoś nie wierzy, że ten centralizm i poczucie wyższości oznacza drogę ku zatraceniu Unii, to niech spojrzy choćby na Słowenię. W tym kraju w centrum kontynentu wygrała właśnie antyimigrancka partia SDS. Pora się obudzić. ©©

ROZMAWIAŁ MARCIN MAKOWSKI

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



JEDYNA debata polityków najważniejszych opcji
parlamentarnych, współtworzona przez **widzów** i **słuchaczy**

Nagraj pytanie, zostaw komentarz - 24h na dobę, 7 dni w tygodniu

ZADZWOŃ 22 645 24 00



7x24.

Niedziela 9:05

Zapraszam
Katarzyna Gójska

Debata **NA ŻYWO** z Polskiego Radia 24

Oglądaj Telewizję Republika również na: www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Przyganiał kocioł...

ANDRZEJ RZEPLIŃSKI: *Nawet nie myślałem o tym, moi poprzednicy też nie. Jestem przekonany, że nic jej nie grozi. Natomiast jeżeli ochrona została jej przyznana, to nie widzę w tym skandalu. Jest zbędna, ale zapewni komfort sprawowania urzędu.*

Tak były prezes Trybunału Konstytucyjnego skomentował przyznanie obecnej prezes ochrony. Rzepliński udzielił tyłu wywiadów, że nie musi pamiętać wszystkiego, co w nich naopowiadał, ale ja dobrze pamiętam jeden taki wywiad, w którym nie tylko przyznał, że

jego życie dybią nie tylko szaleńcy, lecz także być może służby specjalne własnego państwa.

ANDRZEJ RZEPLIŃSKI: *Wszystko jest możliwe. Jest możliwe również to, że nagle przejedzie mnie samochód. Jestem dyskretnie pilnowany przez policję. Pilnowany w sensie chroniony. Tu naturalnie, jak w przypadku pani Blidy – nikt nie wydaje żadnych poleceń, rozkazów. Są wariaci, wykręcenii, którzy czują się do tego upoważnieni.*

Dzisiaj ten sam Rzepliński z kiepsko skrywanym poczuciem wyższości komentuje ochronę przyznaną Julii Przyłębskiej, której nic nie grozi. Nie wiem, czy w sprawie Przyłębskiej były jakieś sygnały o możliwym zagrożeniu, nie może też tego wiedzieć Rzepliński. I akurat on jest ostatnim, który powinien zasadność ochrony prezesa TK komentować, skoro jeszcze dwa lata temu widział zagrożenie własnego życia. A przecież, umówmy się, zarówno on, jak i jego następczyni są w takim samym stopniu czynnymi politykami, choć po różnych stronach. Żadne nie jest i nawet nie próbuje udawać apolitycznego sędziego. I biorąc

pod uwagę temperaturę sporów, oboje mają prawo czuć się zagrożeni w podobnym stopniu, tak jak mają prawo czuć się zagrożeni inni politycy z obu stron polsko-polskiej wojny. Rzepliński na usprawiedliwienie swoich obaw przywołał Blidę, Przyłębska mogłaby przywołać Rosiaka. I naprawdę trudno rozstrzygnąć, które z nich ma większe powody do obaw o swoje bezpieczeństwo, bo w hodowli szaleńców oba obozy mają porównywalne sukcesy.

Napisałabym, że jestem niepoprawną idealistką, ale słowo „niepoprawna” dawno już przestało pasować. Jestem patologiczną idealistką, bo choć dawno już nie powinienam niczego od polskich polityków oczekiwać, ciągle potrafi zabołoc dramatyczny brak klasy. Bo tym dla mnie jest jakiegokolwiek komentowanie przez byłego prezesa TK ochrony przyznanej jego następczyni, bez żadnej wiedzy, jakie były powody, za to z ostentacyjną pewnością, że nie było żadnych. A gdy się jest politykiem, który dopiero co robił z siebie drugą Blidę, to po prostu kompromitacja. ©©

Komentowanie ochrony prezesa TK przez byłego prezesa, który dopiero co robił z siebie drugą Barbarę Blidę, to po prostu kompromitacja

jest dyskretnie chroniony przez policję, lecz także snuł opowieści na temat czyhających na niego zagrożeń. Przywołał nawet na tę okoliczność Barbarę Blidę, dając chyba do zrozumienia, że na

PODSŁUCHANE

Nikt się nie połapie

Panie Danielu, to jak, jesteście umówieni?

Tak, jasne, panie premierze, karta paliwowa dla pana już czeka w sekretariacie. Dziesięć tysięcy litrów, bezterminowa. To chyba wystarczy na długo?

Ale ja nie o tym. Chodzi mi o opłatę emisyjną...

A, to. Jasne, zgodnie z naszą rozmową. Tak się robi, żeby tego i tamtego, i w ogóle, nikt nic nie zauważy i gitara gra.

Można prosić jaśniej?

No, wie pan, ja sam nie nadążam za cenami, ani w hurcie, ani w detalu. Zresztą nie muszę, ludzi mam od tego. Więc co dopiero jakiś tam pierwszy lepszy Kowalski? Weźmie się tę opłatę, wciśnie gdzieś tam między kolejne podwyżki, a będą na pewno, bo Trump, Iran, Izrael i tak dalej... i nikt się nie połapie.

Na pewno?

Jasne! Jakies tam głupie dziesięć groszy na litrze, jak i tak zaraz i bez tego pewnie litr będzie po sześć.

No... a jak się ktoś będzie pytał, czy faktycznie wy to finansujecie? Coś panu pokażę. O, proszę.

Matko jedyna, co to jest?! Nic z tego nie rozumiem.

To jest standardowe rozliczenie za prąd. Z tego nikt nic nie rozumie. I my pokażemy coś podobnego.

©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Zachęcam do bojkotowania wszystkich konferencji, paneli, debat, w których zasiadają tylko mężczyźni”.

MAGDALENA ŚRODA,
na Twitterze



Milczenie

Prócz znanego porzekadła „Mowa jest srebrem, milczenie jest złotem” mieliśmy za dawnych stułeci sporo przysłów wysławiających milczenie, chociażby w wieku XVI: „Zacna to cnota kto milczeć umie” lub „Bezpieczniej milczeć niż mówić”. W drugiej poł. XVII w. pisarz Andrzej Maksymilian Fredro przekonuje: „Milczenie rzadko kto żałował, a mówności często”, nikogo tym nie bulwersując, każdy rozsądny bowiem zna tę prawdę, że gdyby głupiec był mądrzejszy, to by nie paplał, zyskując milczeniem szacunek przynależny myślicielom (biskup Ignacy Krasicki w „Pochwale milczenia” zwał milczenie „sprawcą myślenia”). Milczenie zresztą czasami dużo mówi, co podkreślał Cyprian Kamil Norwid utworem o wolności słowa (1869), gdzie czytamy, że „jest i wolność milczenia, nie tylko wolność słowa”, oraz że „wymownym może być milczenie”. Tego argumentu używał często prezydent Richard Nixon, autor określenia „milcząca większość”, wskazującego masy obywateli, które są w opozycji wobec Salonu (czyli wobec „politycznie poprawnych” tolerastów i „mainstreamowych” medialnych terrorystów), nie zabierając wszelako głosu publicznie. I gdy już jesteśmy przy prezydentach USA — warto wspomnieć największego wśród nich milczaka, Calvina Coolidge’a. Kiedy pewnego razu jego żona zachorowała, musiał iść sam na niedzielą mszę. Gdy wrócił, małżonka spytała go:

- Jak było na mszy?
- Dobrze.
- O czym mówił pastor?
- O grzechu.
- Co konkretnie?
- Był przeciw.

Coolidge zresztą lubił modlić się milcząc w pustym kościele, które to upodobanie dzieli z nim każdy, kto jak wielki kolumbijski myśliciel N. G. Dávila uważa, że „Bóg jest gościem ciszy”. Kilka lat temu mówił o tym samym dla „Do Rzeczy” (40/2015) znany podróżnik — polarnik Marek Kamiński: „— Człowiek głębiej wierzy podczas podróży, bo Bóg przychodzi w ciszy (...) Odczułem tę Jego obecność i bliskość wyraźnie podczas wypraw na Grenlandię i biegun północny, właśnie w tej ciszy, która wypełnia polarną bezdroża”. Poeci rodzimi uświęcali tego rodzaju predylekcje rymami, np. Konstanty M. Górski (XIX w.), co słał „ciszę elizejską”, czy Roman Brandstaetter (XX w.): „Błogosławieni cisi, /Albowiem w nich jest harmonia”. Brandstaetter (notabene autor sztuki „Milczenie”) twierdził również, że „Błogosławiona jest wiedza o ciszy”. Dokładnie tak samo zawsze uważali członkowie mafii sycylijskiej respektujący świętą regułę „omertà”, czyli żelazną solidarność przestępczą, której trzonem było „nie kłopotowanie” na kolegów, zgodnie zresztą ze sta-

rym sycylijskim porzekadłem: „Najlepsze jest to słowo, którego się nie wypowiada”. Tamto porzekadło przypominało mi się gdy prawie w tym samym czasie zmarli: prymus polskich oligarchów, Jan Kulczyk, którego kapitał był fundamentalnie „służbowy”, oraz prymus włoskiego świata przestępczego, Vittorio Casamonica, którego kapitał był fundamentalnie mafijny. Nieomal równocześnie (sierpień 2015) odbyły się we Włoszech i w Polsce pompacyjne pogrzeby, z chórami klakierów wygłaszających publicznie (do kamer i mikrofonów) wzruszające ty-rady o tym, jakim to szlachetnym człowiekiem, filantropem, dobroczyńcą tryskającym empatią był nieboszczyk. Duża część widowni słuchającej tych dytyrambów czuła zażenowanie, reinterpreterując sobie sentencję „Ciszej nad tą trumną!”.

Wracając do mafijnej reguły „omertà”, którą po sarmacku można objaśniać: „morda w kubel” lub też: „ani pary z gęby” — trzeba powiedzieć, iż jest to dyscyplina milczeniowa obowiązująca nie tylko w Cosa Nostra, także w uznanych (czyli uważanych za szacowne, a nie kryminalne) stowarzyszeniach typu Chatham Royal Institute (dla tego międzynarodowa elegancka terminologia „mordy w kubel” brzmi: „Chatham House Rule”, krócej: „reguła Chatham”)



Złotem lub tombakiem



bądź pono rządząca światem, sławna Bilderberg Group. Olgierd Domino: „To stary angielski obyczaj klubowy. W 1927 roku za-broniono członkom Royal Institute of International Affairs w Chatham dzielenia się z kimkolwiek uwagami, komentarzami, opiniami, cytatami z prowadzonych przez klubowiczów rozmów” (2015).

Milczenie wzmiankowane wyżej można nazwać dyskrecją, istnieje wszakże również milczenie będące obroną, które wywołuje spory medialne i jurysdykcyjne trwające stułecia. W pierwszej połowie XVI wieku Mikołaj Rey uważał takie milczenie za dowód popełnienia przestępstw: „To prawie obyczaj wilczy, /Gdy kto winien, tedy milczy”. Ewolucja liberalizacyjna poglądów sprawiła, że kilkaset lat później pisarz przedwojenny Wacław Sieroszewski wyrażał zdanie odmienne: „Milczenie to nie zbrodnia. W żadnym jej nie znajdziecie kodeksie” (1904). Teraz zaś adwokat Robert Nowacki mówi wprost: „Milczenie jest podstawowym prawem oskarżonego i nie może być interpretowane na jego niekorzyść. Sądy często podkreślały, że brak wyjaśnień ze strony oskarżonego nie może być traktowany jako milczące przyznanie się do winy, ani nawet jako wzmocnienie podejrzenia popełnienia przestępstwa przez oskarżonego (...) W żadnym wypadku nie wolno sądzić, że tylko winni milczą w obliczu oskarżeń” (2015).

Wreszcie — „last but not least” — nader ważna w obszarze milczeń sfera przemilczeń. Norwid: „Im więcej bywa uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej — tym głębszej, donioślejszej i bardziej piorunnej siły nabierają przemilczenia” (1882). Są ich różne rodzaje. Ten, który Niemcy zwą „Totschweigen” (zamilczenie na śmierć) — oznacza bojkot alias ostracyzm publiczny, chociażby „wycinanie” milczeniem pisarza/publicysty prawicowego/konserwatywnego przez krytyków/recententów/komentatorów lewackich/salonych. Inny rodzaj to przemilczanie niewygodnych kwestii i problemów:

Renomowani polscy dziennikarze chętnie publikują sążniste wywiady z najpopularniejszym u nas „polskim Żydem”, Sze-wachem Weisssem, byłym przewodniczącym izraelskiego parlamentu. On tak cudownie gawędzi o swojej miłości do Polski bądź polskości, i o tym jak wszędzie reklamuje i broni Polaków, że to chwytą człowieka za serce. Ale za głowę chwytą człowieka pytanie: dlaczego w tych wywiadach nie ma słowa o „gorącym kartoflu” dzisiejszych stosunków polsko-żydowskich, czyli o grożących nam roszczeniach jankeskich Żydów (300 miliardów dolarów)? Brak wymiany zdań à propos — to rażące przemilczenie, zważywszy, iż Szewach Weiss nie jest w tej kwestii neutralny, co prasa endecka wykorzystuje bez skrpułów, exemplum „Najwyższy Czas!”, „Gdy prezydent Duda wybierał się do Izraela, tamtejsza gazeta «Jerusalem Post» opublikowała list otwarty do niego, twierdząc, że naród żydowski domaga się załatwienia sprawy roszczeń reprzywatykacyjnych (...) Szewach Weiss, o czym mało kto wie, jest jednym z najważniejszych rewydykacyjnych aktywistów. Bardziej niż w umacnianie polsko-żydowskiej «przyjaźni» angażuje się w lobbowanie na rzecz «zwrotu» pożydowskiego mienia” (2017).

Nie tylko zresztą środowisko nacjonalistyczne wskazuje, iż żądania światowych organizacji żydowskich coraz częściej przybierają formę beczelnego szantażu (jak nie „wybulicie”, Polska będzie międzynarodowo nękana i dyskryminowana). Zazwyczaj się to medialnie przemilcza, dobrze pamiętając zmasakrowanie kilka lat temu magazynu „Forbes”, który ośmielił się wytknąć grube finansowe grzechy przywódcom żydowskich organizacji w III RP. Jankescy komentatorzy i publicyści obnażający roszczeniowe przekręty boją się mniej, czego dowodem chociażby sławna książka „Holocaust-Industry”, której autor, żydowski politolog Norman Finkelstein, udowodnił, iż rzekome rekompensaty za Shoah służą wpływom organizacjom żydowskim do cyklicznych (co parę lat powtarzanych) wyłudzeń o skali wręcz monsturalnej, czy też sądowy skandal z Jewish Claims Conference (wyszło na jaw, iż cały sztab tej głównej organizacji zajmującej się pozyskiwaniem odszkodowań dla ofiar Holocaustu to kanciarze rozkradający wszystko). ©©

Waldemar Łysiak

Kibicuj na 100%

USTRZEL DARMOWE WAKACJE

Jeśli Polska zostanie
mistrzem świata na Mundialu 2018,
zwrócimy Ci 100% wartości rezerwacji.*



KOŁOBRZEG • ŚWINOUJŚCIE • USTRONIE MORSKIE • SZKLARSKA PORĘBA
HOTELE W NAJPIĘKNIEJSZYCH KURORTACH™

Rezerwuj

*Regulamin promocji jest dostępny na
www.zdrojowahotels.pl/mundial



ZDROJOWA
HOTELS®

6prasa.pl a87b2c4414

+48 91 40 40 400
rezerwacja@zdrojowahotels.pl